Michal Viewegh

Ekomąż

STARA SZKOŁA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

EKOMĄŻ

Michal Viewegh

Przekład: Mirosław Śmigielski

STARA SZKOŁA

Podziękowania

Zazwyczaj unikam dedykacji, ale tym razem byłaby to wielka niewdzięczność. Dlatego muszę w tym miejscu podziękować swoim córkom Michaeli, Sarze i Basi – bez ich wsparcia i miłości tę pozornie humorystyczną powieść, powstającą w najcięższym okresie mojego życia, pisałoby mi się jeszcze trudniej.
Dziękuję również Rudolfowi Biermannowi, obu braciom: Józkowi, Jankowi i ich żonom Alenie i Janie oraz Martinowi Reinerowi, bez którego przyjacielskiej, pełnej poświęceń pomocy ta książka z pewnością by nie powstała – i właściwie dziękuję też mojej byłej żonie Veronice, o której w pewnym sensie można powiedzieć to samo…o

Michal Viewegh

PROLOG

To ja – staruszka. La Loba. Nie jestem królową, czarodziejką ani amazonką – jestem doulą. Tańczę z życiem i śmiercią. Jestem kobietą, która odrzuciła czółenka, i teraz biega z wilkami. Biegnijcie ze mną, moje siostry, zabiorę was z powrotem w rejony duszy, które kiedyś należały do nas.

Jak już wiele z was, drogie czytelniczki, wie – od początku byłam przekonana, że małżeństwo Mojmira i Hedviki było nowoczesną wersją soft pradawnej opowieści o Sinobrodym mordującym swoje żony. Na pewno ją znacie: niedoświadczona piękność poślubia lubieżne, bogate monstrum, które pozornie daje swej wybrance wolność, lecz w rzeczywistości zabija jej naturalny urok, talent i wolność… Jakby tego było mało – zaraz po pięćdziesiątych urodzinach tej cudzołożnej i wiecznie pijanej ludzkiej bestii pęka aorta i Mojmir beztrosko umiera, pozostawiając Hedvikę, obie córki i oczywiście mnie niemal bez środków do życia. A do tego potem – pięć minut po dwunastej i bynajmniej o to nieproszony – cudownie ożywa, ale śmierć kliniczna na wiele lat zmienia tego byłego mistrza świata w niezdarną, marudną ruinę. W pacjenta VIP.

Bajka się skończyła.

Obiektywnie trzeba jednak przyznać, że sposób, w jaki postanowił umrzeć ten zmęczony życiem czechosłowacki donżuan i alkoholik – tak, naprawdę z uwagi na dokładność historyczną trzeba nazwać go *czechosłowackim,* ponieważ dawny federacyjny slogan *rozkrzyczany i przepity* od zawsze pasuje do Mistrza jak ulał, należałoby go tylko uzupełnić o słowacki przymiotnik *pretrtkaný* czyli przepieprzony, cha cha cha! (Jeśli sięgnięcie do języka słowackiego wydaje się wam nieuzasadnione czy wręcz bezsensowne, uświadomcie sobie, drogie damy, że błyskawiczny wzrost popularności Mojmira zaczął się już w 1990 roku, czyli jeszcze przed definitywnym rozpadem federacji, zatem użycie słowackiego słowa jest elementem świadomej i kreatywnej stylizacji –

cytując świetną książkę Celii Brayfield *Jak napisać bestseller*.) Na czym to skończyłam? Już wiem. Obiektywnie trzeba przyznać, że sposób, w jaki ten federalny kurwiarz i moczymorda postanowił umrzeć, nie był pozbawiony pewnej turpistycznej elegancji – chociaż potem Mojmir jak zwykle wszystko spaprał i zostawił niedokończone… Co? Czy wy naprawdę nie wierzycie, że nasz najpopularniejszy pisarz mógł chcieć odejść z tego świata dobrowolnie? Ależ oczywiście, że swój efektowny zgon Mojmir zaplanował sam! I to po długich rozważaniach! Czy może wy, naiwne duszyczki, myślicie, że pęknięta aorta zaraz po pięćdziesiątych urodzinach, i to tuż za metą praskiego maratonu (czyli przed dziesiątkami kamer telewizyjnych, aparatów fotograficznych i tysiącami kibiców) to naprawdę przypadek? W takim razie dlaczego nie zaczął krwawić dziesięć minut wcześniej, bez widzów, na pustym brzegu Wełtawy lub jeszcze wcześniej, na całkowicie wyludnionym Karlinie? Powiem wam:

Bo nie było tam wystarczająco dużo reporterów.

Bo nie było tam wystarczająco dużo gapiów.

Dlatego!

I dlatego, że nie było tam Hedviki i dzieci. Nie było tam teścia siedzącego w swojej czarnej karecie z dwoma zmęczonymi końmi – gdzie…? No zgadnijcie! Gdzież by indziej, jak nie na Rynku Staromiejskim, wypełnionym od rana do późnej nocy turystami, którzy po męczących romantycznych spacerach stają się dla woźniców łatwym łupem.

Instynkt dramaturga, wybujałe ego oraz słabość do kiczowatych melodramatów po prostu nie pozwoliły Mojmirowi umrzeć bez widzów… Nasz wieczny pozer próbował odejść na oczach tysięcy osób, wśród których znajdował się wspomniany już teść, żona Hedvika oraz Sara i Basia

– dwie córeczki wchodzące w okres dojrzewania. Cóż za bezwzględność! I samolubność!

A do tego ten wypełniony po brzegi Rynek Staromiejski. Brakuje tylko kata i kosza, do którego po krwawej egzekucji pomocnicy wrzuciliby znaną całemu narodowi głowę Mistrza… Cha cha! Nawet ja muszę przyznać, że moment samobójstwa Mojmir wybrał naprawdę genialnie. Miało to wyglądać na tak zwane *nagłe pogorszenie stanu zdrowia* – co dzięki wysokiemu ubezpieczeniu na życie zapewniłoby wdowie i sierotom spłacenie hipoteki domu w Sazawie i jeszcze by nam, pogrążonym w żałobie, sporo zostało (jak zdołałam szybko obliczyć).

Ale przede wszystkim Mistrz wybrał idealne miejsce! Bo czyż można wyobrazić sobie lepsze plenery do nakręcenia kiczowatego melodramatu?

Ta lokalizacja ma wręcz hollywoodzkie parametry! Wyobraźcie to sobie: Mojmir ostatkiem sił wybiega z ulicy Paryskiej, gdzie – jak wszystkich innych zawodników – dopingują go tłumy kibiców odpowiednio poinformowanych, że nie jest ważne zwycięstwo, tylko udział, i że dziś zwycięzcami są właściwie wszyscy, czyli każdy, kto pokonał własne ograniczenia i tak dalej, bla bla bla – a wśród nich na wyraźne życzenie Mistrza znajduje się Hedvika z dziećmi i, o dziwo (nie cierpię sportu!), nawet moja stukilowa skromna osoba. Cha! W czasie tego długiego, nudnego widowiska nie udaje mi się znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego ktoś *dobrowolnie* przez kilka godzin obserwuje wychudzonych, sapiących i do tego obleśnie spoconych facetów.

Wąż z zawodników zmierzających do mety nawet po czterech godzinach wciąż wydaje się nie mieć końca. Zwycięzca, obaj pozostali medaliści oraz setki innych biegaczy od dawna są pod prysznicami, czy może nawet na kolacji – a mimo to do mety wciąż doczłapują kolejni uczestnicy. Mam wrażenie, że czym później panowie sportowcy

przybiegają, tym bardziej są zmęczeni. Pierwsza dwudziestka wyglądała całkiem nieźle, jak po lekkiej przebieżce – ale godzinę później dobiegają ledwo przytomne wywłoki. Nie powinno być na odwrót? – zastanawiam się. Przecież logicznie rzecz biorąc, zwycięzcy powinni być zmęczeni najbardziej, prawda?

Nawet nadbiegający Mistrz – ku mojej złośliwej radości – nie różni się zbytnio od tych wyczerpanych biedaków: wargi ma całkiem suche i ledwo powłóczy nogami, ale – tak jak przewidywałam – fałszywa duma nie pozwala mu przejść do chodu. Kiedy przygłupi spiker, który z jakiegoś niezrozumiałego powodu przedstawia widzom wszystkie tak zwane znane osoby, odczytuje na ohydnej, jaskrawozielonej koszulce Mojmira numer i dzięki liście startowej orientuje się, że to ledwo człapiące truchło to wielki Mistrz we własnej osobie (bez numeru by go nie poznał, chi chi chi!), zaczyna wykrzykiwać jego nazwisko, jakby nie był to zupełnie przeciętny pisarzyna, tylko przynajmniej przedstawiciel najwyższej szlachty, przybywający właśnie na bal Ludwika XVI. A tępa większość widzów natychmiast do niego dołącza.

A potem zaczyna się widowisko.

Akurat kiedy to żenująco służalcze skandowanie zmienia się w lizusowskie brawa, Mistrz wyraźnie zwalnia, zaczyna iść, a potem staje. Widać jak się zatacza. Wszyscy widzowie (oprócz mnie, rzecz jasna) szepczą przestraszeni. Chleba i igrzysk – myślę. Mojmir robi się całkiem blady. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, więc od razu zaczynam się bać, jaką narcystyczną brednię zaraz usłyszymy, ale z ust Mistrza tym razem nie wylatuje żadna złota myśl, tylko odrobina krwi, cha cha! Nie jest to bynajmniej krwawy gejzer, raczej słabiutki strumyczek, niemniej swoje wątpliwe przesłanie spełnia bez zarzutu. Większość ludzi – oczywiście wraz z Hedviką i dziećmi – zgodnie z oczekiwaniami wydaje z siebie

krzyk, a przez całą publiczność przebiega słyszalna fala lęku podszytego ekscytacją – jak na przykład wtedy, gdy tenisista psuje kluczowe uderzenie, a piłeczka zatrzymuje się na siatce.

Mistrz pada na ziemię.

– Kochanie? – krzyczy wystraszona Hedvika, i to niestety tak głośno, że dwaj fotografowie bulwarowych gazet natychmiast kierują na nas długie obiektywy swoich Canonów. Jednak po kilku kliknięciach znów obracają swe działa ku bardowi narodowemu leżącemu na bruku (jestem tym dość rozczarowana, miałam odrobinę nadziei, że poproszą nas o położenie się obok Mistrza i zapozowanie do rodzinnego zdjęcia). Kiedy Mojmir doświadczonym okiem dostrzega, że jest fotografowany, zaczyna poniekąd teatralnie kaszleć – i nawet efektownie wypluwa krew.

Idealne wyczucie czasu! – myślę.

Teraz nie mam już wątpliwości, że na widok pisarza plującego krwią w miejscu, przez które kroczyła czeska historia, żadne oko nie pozostanie suche… Operatorzy wszystkich głupich telewizji uświadamiają sobie przy akompaniamencie nasilającej się syreny pogotowia, jaki kapitał spadł im właśnie z nieba: ujęcia przedwczesnej śmierci literackiego celebryty w samym sercu Pragi jeszcze tego wieczora zobaczą nie tylko całe Czechy, ale również Słowacja, a może nawet widzowie w krajach, w których zostały kiedyś wydane płytkie powieścidła Mistrza. Jednocześnie fotografowie słusznie podejrzewają, że dzięki doskonałym ujęciom twarzy umierającego barda (z dość idiotyczną miną), leżącego w czarno-zielonym stroju Adidasa na zimnym bruku najsłynniejszego czeskiego placu, wzrośnie nie tylko wartość ich reportażu, ale – na krótką chwilę – również wartość samego pisarza. Nie po raz pierwszy zdarzyłoby się przecież, że niespodziewana śmierć podrzędnego gryzipiórka zmienia jego nędzne wypociny w bestsellery… A tym bardziej śmierć tak efektowna wizualnie!

Lecz mimo że oczekiwane dochody ze sprzedaży książek Mojmira z każdą sekundą rosną – Hedvika płacze. Rozumiem to: jej bezinteresowna i poniekąd sentymentalna dusza jest zdolna do ronienia łez nad tyranem… Ja, w odróżnieniu od niej, czuję jedynie wewnętrzną, głęboką radość. Wieloletnie okowy pękają – ale Hedvika jeszcze tego nie wie. Jej myśl wciąż jest zaciemniana przez irracjonalny smutek. Nie zrozumiała jeszcze, że śmierć Mojmira nie jest tragedią, tylko radosną reanimacją naszych pradawnych rejonów duszy. Nie wie, że nad rzekomymi stratami przeważają zyski. Biegnij ze mną, siostro ma, zabiorę cię w miejsca, które kiedyś należały do nas!

Od dawna nie byłam taka szczęśliwa.

Syrena karetki robi się coraz głośniejsza, a zgromadzony tłum rozstępuje się usłużnie przed jej błyskającym światłem. Auto hamuje, kierowca i lekarz wychodzą dumnie, odpychają gapiów, otwierają tylne drzwi, wyciągają nosze na kółkach, kładą je na bruku – i zaraz potem wyuczonym ruchem przenoszą na nie bezwładne ciało Mojmira. Cha! Przypinają go pasami i podnoszą, przy czym wysuwają się kółka i dokładnie w chwili, kiedy nosze osiągają wysokość podłogi karetki, sanitariusz szybkim ruchem zabezpiecza je i jedną ręką wsuwa do środka (tylko dla waszej informacji: wprawdzie w liceum już od pierwszej klasy byłam lepsza raczej w klasycznej *narracji*, ale również forma *opisu* – jak możecie się teraz przekonać – nigdy nie sprawiała mi większych problemów). Nagle Mistrz efektownie otwiera oczy, a jego wystraszony wzrok szuka Hedviki, która jednak stoi teraz po przeciwnej stronie karetki. Kiedy więc zamiast małżonki widzi mnie, uśmiecha się łobuzersko, a jego wargi zaczynają się poruszać.

– Cholera – stęka.

Hedvika natychmiast przybiega i staje obok mnie, żeby Mistrz ją widział.

– Co jest, kochanie? – pyta roztrzęsiona. – Co jest? Co się dzieje?

Mistrz kręci głową.

– Cholera – powtarza zachrypniętym głosem.

Po czym ten prostak podnosi rękę i wskazuje na mnie palcem.

– Już… jestem… w piekle…! – mówi.

Potem śmieje się przygłupio, ale zaczyna kaszleć i znów pluje krwią. Dusi się, a w jego oczach pojawia się tchórzliwy strach.

– Kochanie! – krzyczy Hedvika dość teatralnie.

Lekarz delikatnie ją odsuwa, siada obok Mojmira i sięga do drzwi karetki, by je zamknąć.

– Musimy jechać – mówi nam z poważną miną. – Wieziemy go do kliniki IKEM.

Drzwi zatrzaskują się głośno i rycząca karetka odjeżdża.

Nagle pojmuję, co to wszystko oznacza.

Jest to zupełnie jasne. Życie tego powierzchownego humorysty właśnie się skończyło – a wszystko, co się teraz dzieje, to tylko naturalny element rozpoczynającej się reinkarnacji Mojmira.

Był już najwyższy czas.

I

I

– Łatwe zwycięstwo, szybkie przekleństwo – mawiałam w przeszłości Mistrzowi tysiąckroć, na przykład gdy z tą typową dla siebie szowinistyczną dumą (przy okazji – czy też zauważyliście, że słowa szowinista i faszysta brzmią wręcz podejrzanie podobnie?) chwalił się swoim nowym volvo, nowo wymurowanym grillem ogrodowym, nowymi fotelami ratanowymi na taras (tak bezwstydnie drogimi, że natychmiast zapragnęłam sprzedać je po kryjomu i wysłać te sześćdziesiąt tysięcy koron naszemu adoptowanemu na odległość Tamilowi do Indii) albo kiedy z tym swoim zadufanym uśmiechem podawał Hedvice kopertę z potwierdzeniem wykupienia *rodzinnych* wczasów na Malediwach. Mnie jednak nigdy tam nie zabrał, tak jakbym do rodziny nie należała (i jakby nie wiedział, że uwielbiam te malownicze atole o wielkości większego boiska do piłki nożnej i że gdy w telewizji leci jakikolwiek reportaż o Malediwach – zawsze go oglądam!). Równie śmieszny bywał, gdy swoim przyjaciołom czy nawet zwykłym znajomym rozdawał bilety na premiery tych głupich filmów, które z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nakręcono na podstawie jego płytkich powieścideł – albo kiedy tak zwanych kolegów obdarowywał świeżym wydrukiem swojej najnowszej książki (i jeszcze tym zakłopotanym biedakom nieproszony podpisywał się na pierwszej stronie z miną, jakby dzięki tym bazgrołom wartość dziełka wzrastała wielokrotnie…).

Ale tego, że ów rzekomy olśniewający sukces mógł być wspomnianym *łatwym zwycięstwem,* Mistrz nie zamierzał do siebie dopuszczać.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – ostrzegałam go innym razem, ale nawet w tej formie najwyraźniej niczego nie pojmował i tylko szczerzył się do mnie bez słowa, jakbym nie była warta żadnej odpowiedzi.

– Kto wysoko lata, ten nisko spada! – nie wytrzymałam, mimo iż przeczuwałam, że znów zostanę pogardliwie nazwana skarbnicą wiedzy ludowej (albowiem właśnie tak Mistrz nazwał mnie bezczelnie kilka lat temu i od tego czasu powtarzał to zawsze, gdy przypominałam mu jakiekolwiek przysłowie, choć wbrew swej pozornej trywialności są one – jak wiemy wszyscy z wyjątkiem Mojmira – głęboką studnią ludzkiej mądrości i niewysychającym źródłem potwierdzanych przez pokolenia ludzkich doświadczeń). Kto się śmieje, ten się śmieje ostatni – myślałam, ale wolałam już nic nie mówić.

Zresztą osądźcie sami, kto z nas dwojga się mylił: czyż to nie było łatwe zwycięstwo (mam oczywiście na myśli ten szybki sukces, który wprawdzie trwa już ćwierć wieku, ale ostatecznie wywiał Mistrzowi nie tylko pieniądze z kieszeni, ale najwyraźniej również rozum z głowy? Cha cha! (Ale mam dziś wenę!) I czyż nie było pychą to, co – w fascynującej zgodności z innym rzekomo banalnym przysłowiem – kroczyło przed upadkiem Mistrza?

Upadek Mistrza nie nadszedł przecież zupełnie niespodziewanie. Oprócz wspomnianej pychy poprzedzały go również inne sygnały ostrzegawcze, z łatwością rozpoznane przez tych, którzy widzą i słyszą, lecz przeoczone przez butnego racjonalistę, od lat nonszalancko lekceważącego wszelkie przestrogi.

– Ten pański dziki rajd przez życie pewnego pięknego dnia skończy się wyjątkowo bolesnym karambolem! – ostrzegałam Mojmira wielokrotnie. – Wie pan, kim pan jest? Chwalipiętkiem nadętkiem!

– A pani jest strasznie nędzną poetką – odparł obojętnie.

I tak było prawie zawsze.

Ostrzeżenia – nie tylko te moje – pojawiały się, ale Mistrz pozostawał ślepy i głuchy.

Dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie – myślałam.

II

Przykładów tego z roku na rok coraz obrzydliwszego *przedmaratońskiego* hedonizmu Mojmira jest bez liku – choćby wspomniane już snobistyczne urlopy na Malediwach czy w Dolomitach, wszystkie te garniturki Hugo Bossa i olbrzymie volva, ale najwięcej według mnie mówią o Mistrzu te dwa: upodobanie do wina i ogólnie do alkoholu oraz *dwie* obrośnięte już żałosną legendą imprezy z okazji pięćdziesiątych urodzin.

Zatem najpierw coś na temat: Mojmir i alkohol.

Mam wyjątkowo dobrą pamięć i na nieszczęście Mojmira nie zapomniałam ani jednej rzekomo zabawnej pijackiej historyjki z jego młodości, na przykład jak w wieku szesnastu lat na wiejskiej potańcówce w Bystrzycy koło Beneszowa wraz z kolegą Feliksem upili się kilkoma kieliszkami *Starej myśliwskiej* albo jak rok później podczas tułaczki uwalili się po południu dwoma litrami wina Krew *byka* tak, że Mojmir narzygał sobie do śpiwora. Dlatego bez najmniejszych problemów mogę przy każdej okazji demaskować jego obecny winiarski snobizm z należytą uszczypliwością. Kiedy po raz sto pięćdziesiąty przegląda *Światowy atlas win* (wiedzieliście, że coś takiego istnieje?) albo wpycha swój grymaśny, snobistyczny ryj do jednego z tych absurdalnie dużych kieliszków z Flaccianellem, Brunellem di Montalcino lub Verrazzanem (żeby napisać te idiotyczne nazwy poprawnie, musiałam wygrzebać butelki z worka na szklane śmieci, bo Mistrz jak na złość akurat w tym tygodniu opróżnił całą lodówkę na wino), zawsze zgryźliwie przypominam mu wszystkie te *Klasztorne tajemnice* i inne trzynaste komnaty jego sommelierstwa.

– Niech pan się łaskawie ocknie, Mistrzu – mówię. – Przecież przez całą młodość pił pan, jak my wszyscy, wina z Praskiej Fabryki Win! Albo nawet te najtańsze bełty! Proszę teraz obłudnie nie udawać sommeliera!

– To nie jest obłuda, tylko zupełnie naturalna *ewolucja*, madame. E-wo-lu-cja – sylabizuje mi. – Nie wiem, czy słyszała pani to słowo podczas któregoś z tych waszych weekendowych kursów kobiecego rozwoju osobistego…

– Oczywiście, że wiem, co to jest ewolucja – mówię spokojnie. – Ale pan, Mistrzu, chyba nie wie, że ewolucja to również karkołomna figura akrobatyczna… Cóż za zbieg okoliczności, czyż nie?

– Takiego znaczenia tego słowa nie słyszałem – nie zgadza się Mojmir stanowczo.

– Aha. A niesłyszenie o czymś to przecież jasny dowód, że to nie istnieje, prawda? – odcinam się sarkastycznie. – Najwyraźniej jest pan kimś w rodzaju Kopernika gnozeologii!

Mojmir najwyraźniej nie zrozumiał mojej błyskotliwej riposty, bo nawet się nie uśmiechnął i wciąż siedzi ze skwaszoną miną.

– Bzdura – upiera się przy swoim.

– Wcale nie!

– Jasne, że tak! Zapytam o to kiedyś przy okazji szefa cyrku narodowego – mówi Mistrz, żeby przynajmniej, skoro już przegrał tę bitwę, zaimponować mi swoimi znajomościami (ale tym razem tylko wśród cyrkowców).

– Świetny pomysł – mówię. – Ale zajrzenie do słownika mogłoby w zupełności wystarczyć, cyrkowcu jeden…

I jeszcze coś: opis tego aspektu hedonizmu Mojmira nie byłby pełny, gdybym nie wspomniała o wszystkich tych wybornych winach, oczywiście tylko z absurdalnie drogich sklepów – ich właściciele chyba największą

hańbą okryliby się, gdyby sprzedali jakąś butelkę za mniej niż tysiąc koron – bo jeśli ktoś zobaczyłby, że Mistrz kupuje wino w Tesco czy nie daj Boże w Makro, byłoby to porównywalne do przyłapania radykalnego muzułmanina na obżeraniu się golonką w ramadanie. Cha, niezłe zdanko mi wyszło, co? Bo ja, w odróżnieniu od naszego słynnego autora prostych zdań o piciu i cudzołóstwie, wiem, co znaczy prawdziwie rosochaty styl autorski, a także w odróżnieniu od niego jestem świadoma, że (jak niezwykle dowcipnie stwierdziła moja koleżanka po fachu Susan Sontag), *sztuka to uwodzenie, a nie gwałt*.

Nie mogę też przynajmniej krótko nie wspomnieć o wszystkich tych *degustacjach* , których prawdziwym celem nie jest (jak uparcie przekonywał nas Mojmir) porównywanie różnych win krajowych i zagranicznych oraz ocena poszczególnych odmian czy roczników… Mojmirowi, Feliksowi i innym jego kompanom nigdy nie chodziło o te pseudospecjalistyczne farmazony na temat cukru resztkowego, taniny, przyjemnej kwasowości czy wspaniałego bukietu – tak naprawdę od zawsze interesowało ich, interesuje i będzie interesować tylko to, żeby napruć się jak bydło i ewentualnie resztką sił poderwać którąś z ładniejszych uczestniczek degustacji (też nawaloną jak stodoła)… I te alkoholowo-sodomistyczne orgie Mojmir ma czelność nazywać *niewinnym hobby*.… Czy ktoś może się dziwić, że Hedvika w końcu od niego odeszła?

III

Drugim doskonałym przykładem wszechogarniającego hedonizmu Mistrza są dwa snobistyczne rauty z okazji pięćdziesiątych urodzin. Dobrze słyszycie: *dwa*. Bowiem nasza osobistość, w odróżnieniu od was – zwykłych śmiertelników, nie zadowoli się *jedną*, choćby nawet najbardziej wystawną imprezą. Nie, najpopularniejszy czeski pisarz musi przecież swój życiowy jubileusz świętować podwójnie…

Tę żałosną megalomanię Mojmir na próżno próbuje wytłumaczyć tym, że są to okrągłe urodziny – i podobno w dodatku *abrahamowiny*, zatem święto wyjątkowo istotne, może nawet najistotniejsze, i tak dalej. Lecz za wszystkimi tymi banialukami skrywa się coś zupełnie innego: nasz gwiazdor w ten sposób demonstruje Hedvice, mnie i pozostałym gościom swoją rzekomą popularność… *Niestety jestem tak popularny i mam tak wielu przyjaciół, że po prostu muszę zorganizować dwie imprezy…* – tak brzmi ukryte przesłanie Mistrza. *Bardzo go cieszy* (jak kiedyś powiedział), *że na jego urodziny wybiera się taka masa ludzi, że na JEDNYM przyjęciu po prostu by się nie zmieścili, choćby Mojmir wyszedł z siebie…* Cha! *Przecież nie urządzi urodzin w Arenie O2, to byłoby nieco megalomańskie* – twierdzi obłudnie, choć wszyscy wiedzą, że właśnie tam świętowałby najchętniej.

W końcu wybiera modny (jakżeby inaczej) klub Jazz Dock i bez namysłu zaprasza tam około trzystu osób, a drugą, bardziej „kameralną" imprezę dla około pięćdziesięciu sąsiadów organizuje tydzień wcześniej w Karkonoszach, gdzie na dwie noce wynajmuje cały hotel. (Nie chcę być

przesadnie zgryźliwa, ale patrząc na te wszystkie przygotowania, tak bardzo wymagające pod względem organizacyjnym, logistycznym i oczywiście finansowym, mam wrażenie, że nie szykowaliśmy urodzin Mojmira, tylko powitanie Adolfa Hitlera przy jego pierwszym przyjeździe do Reichstagu… Cha cha! Dziś mam znowu wenę!)

Mnie niestety przypada w udziale obecność na *obu* imprezach… Ale nikt nie może mieć wątpliwości, iż Mistrzowi wiedzącemu z góry, że na obu rautach urżnie się jak świnia, chodzi przede wszystkim o to, żebym pilnowała mu żony i dzieci, prawda?

Ach, męska zazdrości!

Sądzę ciebie podług siebie, czyż nie?

Jubileusz we wspomnianym i zgodnie z oczekiwaniami skrajnie snobistycznym hoteliku w Karkonoszach (miał nawet własne pole golfowe…) dało się jako tako przeżyć – a kiedy córki Mojmira wraz z grupką zaprzyjaźnionych dzieci śpiewają Mistrzowi hit o *super tacie*, ani ja, ani nawet nasz butny racjonalista nie uchronimy się przed lekkim wzruszeniem. Świadomość, że to falliczne prosię jest w wyjątkowych sytuacjach zdolne do przejawienia ludzkich uczuć, napełnia mnie ostrożnym optymizmem.

– To było wzruszające – pociąga nosem Mojmir.

– Rzeczywiście – przyznaję mu rację, ale zaraz szeptem dodaję: – Czy teraz wreszcie widzi pan, ośle patentowany, co kładzie pan na szalę przez swoje miłostki. Naprawdę nie może pan sobie odmówić tych dziwek?

– Oczywiście, że widzę! – niespodziewanie przyznaje Mistrz szeptem.

Obserwujemy się wzajemnie. Przez krótką chwilę po raz pierwszy w życiu zaczynam mieć nadzieję, że nareszcie usłyszę od Mojmira coś prawdziwego – lecz on, jakby przestraszywszy się wypowiedzianej przed chwilą prawdy, tradycyjnie ucieka w tanie bon moty.

– Ale wie pani, jak to jest – szepcze z grymasem, a nawet tandetnie rozkłada ręce. – Mogę oprzeć się wszystkiemu prócz pokusy…

– Znam. Oscar Wilde. Cytował to pan już ze sto razy – karcę go tak głośno, że Hedvika i kilku innych gości spoglądają na nas pytająco. – Tyle że pan nie jest sybaryckim brytyjskim wykolejeńcem, tylko wciąż sobą… Tutaj. W Czechach. Ze swoją cudowną żoną i tymi wspaniałymi dziećmi. Kiedy wreszcie to pan zrozumie?

Mruga zaskoczony.

– Nie wiem – mruczy.

Już nawet nie jest w stanie mnie obrazić. Jego sytuacja zaczyna robić się poważna – myślę.

– To niech się pan postara – krzyczę na niego. – Jeśli jeszcze nie jest za późno – dodaję.

I jak się wkrótce okaże – bardzo proroczo.

IV

Jeśli po tej intymnej karkonoskiej debacie zaczęłam żywić skrytą nadzieję, że Mojmir mógłby znaleźć w sobie resztki ludzkich uczuć, czy wręcz że to poligamiczne bydlę mogłoby się jeszcze zmienić, jubileusz w Pradze brutalnie sprowadził mnie na ziemię.

Jazz Dock! Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym klubie na smichowskim (czy może małostrańskim) brzegu Wełtawy, położonym na ogromnym molu. Niemniej zachowanie wszystkich gości ostentacyjnie sugeruje, że jest tu naprawdę *in*, *trendy* i ogólnie bardzo *cool*. Chwalą Mistrza za świetny wybór miejsca… To obrzydliwe lizanie tyłka ma logiczny powód: większość gości stanowią dziewczyny i kobiety, z którymi Mojmir w przeszłości sypiał … Według moich obliczeń jest tu około pięćdziesięciu jego byłych kochanek, zatem na każdy rok życia (wraz z najwcześniejszym dzieciństwem) symbolicznie przypada jedna (niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie stoi za tym narcystyczne ego!). Dzięki wysportowanym postawom i skandalicznie młodemu wiekowi trochę przypominają mi (i wierzcie, że nie tylko mi) zespół gimnastyczek ze spartakiady, z jakiegoś absurdalnego powodu złożony z około piętnastu dorosłych kobiet, trzydziestu starszych juniorek, czterech młodszych juniorek i nawet jednej starszej żaczki (chi chi!), które – przy głośnym akompaniamencie kapeli o wstrząsająco lubieżnej nazwie G-Point Hunters – w niezbyt udanej choreografii kręcą się po klubie, zamawiają sobie koktajle z parasoleczkami, śmieją się symultanicznie i ciągle formują

najróżniejsze kręgi, gwiazdy i romby. Ale jedna rzecz łączy wszystkie te figury geometryczne: chcą natychmiast porozmawiać z Mojmirem.

A naszemu głupkowi bzyczenie tych pilnych pszczółek niezmiernie schlebia, więc z każdą dyskretnie rozmawia, permanentnie się uśmiecha, przytula je lubieżnie, a niektóre wybrane juniorki nawet całuje w policzki!

Aż wreszcie – wierzcie lub nie – bezwstydnie prosi zamówionego fotografa o duże zdjęcie grupowe, a temu biedakowi nie pozostaje nic innego, niż tę perwersyjną prośbę spełnić.

– Fotografował pan już kiedyś porno? – pytam go bez ogródek.

– Nie – mówi zakłopotany fotograf.

– Szkoda – odpowiadam sarkastycznie. – Takie doświadczenie mogłoby się panu teraz przydać…

Tymczasem Mistrz już naprawdę władczo zwołuje wszystkie swoje kochanki i byłe kochanki, a kiedy liczna grupa jego odalisek szokująco chętnie i szybko się ustawia, Mojmir bez grama wstydu zajmuje miejsce pośrodku – i jeszcze ciągnie ze sobą broniącą się (na próżno) Hedvikę, którą potem przy wszystkich obejmuje niczym swoją własność, bowiem nawet jej nie może zabraknąć wśród trofeów łowieckich, czyż nie? Hedvika jest przecież – jak wszyscy widzą – doskonałym okazem!

– Obrzydlistwo! – komentuję wraz z garstką pozostałych kobiet i dziewczyn, które podobnie jak ja nie zostały zaproszone do zdjęcia, ponieważ najwyraźniej nigdy z Mistrzem nie spały (albo spały, ale dziś znalazły w sobie odwagę, by sprzeciwić się temu odpychającemu pyszałkowi).

– Uwaga, wyleci ptaszek – mówi fotograf.

Co za idiota – myślę. Nie moglibyście, niekreatywne przygłupy, wymyślić wreszcie czegoś bardziej oryginalnego, na przykład choćby: uwaga, *zniknie chmurka i wyjdzie słonko?* Ale fotograf przerywa na kilka

sekund pracę, ponieważ jedna z tych kurew w ostatniej chwili się ruszyła, więc całą tę żałosną scenę musimy przeżyć ponownie.

– Ten ptaszek wylatywał już z tysiąc razy – mówię półgłosem, więc słyszą mnie tylko najbliżej stojące damy. I śmieją się.

Harem śmieje się z sułtana – myślę z żądzą zemsty.

Chi chi.

Ten niesmaczny występ podrywacza Mojmir prezentuje później na przemian jako *odważne, choć niedosłowne przyznanie się*, jako *częściowy urodzinowy coming out* lub (jeszcze bardziej bezczelnie) jako *niewinny przyjacielski gest wobec kobiet, z którymi kiedyś przeżył coś tak intymnego* (sic!), *że niezaproszenie ich byłoby draństwem*, a nawet jako *gest pojednania* – jak kiedy na budowę pomnika ofiar holokaustu wpłaca datek związek niemieckich weteranów wojennych, cha cha cha! Wszyscy wiemy, że przede wszystkim chodziło o tchórzliwą służalczość: po prostu bał się nie zaprosić wszystkich tych zdzir, z którymi kiedyś wymieniał nie tylko płyny ustrojowe, ale czasem też chlamydię i rzeżączkę – i dzięki temu automatycznie znalazły się na jego GUEST LIST…

Dlatego najprawdopodobniej pojawiła się tu każda, która dała Mistrzowi przynajmniej dwa razy – bo przecież pozwolić przelecieć się dwukrotnie to już *pełnowartościowy związek*, prawda? Natomiast jeśli Mistrz miałby zaprosić wszystkie, które dały mu chociaż *raz*, musiałby zorganizować urodziny w Hali Sportowej! Cha cha! (Chciałam napisać, że w Arenie O2, o której wszyscy wiedzą, jak jest olbrzymia, więc mój sarkazm byłby jeszcze boleśniejszy, ale potem przypomniałam sobie, że już raz tej nazwy użyłam, a pisarz zdecydowanie nie powinien się powtarzać – nie jestem jak nasz Mistrz, który od lat kradnie swoje własne pomysły!)

Przez cały czas stoję – razem z innymi najprawdopodobniej nieprzelecianymi przez Mistrza biedulkami – z boku całej tej sceny.

Hedvika również domyśla się, *dlaczego* tu stoję – tylko na razie nie dopuszcza tego do świadomości… A ja wiem, że tak, jak jest czas siewu i czas zbioru, tak również jej czas dopiero nadejdzie – i tak jak zawsze, tym razem również się nie mylę!

V

Jeśli myślicie, że pijackie i miłosne ekscesy Mojmira ograniczały się do wspomnianych degustacji win i imprez urodzinowych, powinniście wiedzieć, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Mówiąc szczerze i bez ogródek: Mojmir zawsze był, jest i będzie alkoholikiem i kurwiarzem, i to bez względu na to, czy akurat ma, czy też nie ma urodzin. Oczywiście najróżniejsze jubileusze, podobnie jak wesela, pogrzeby, gale czy nawet wywiadówki i spotkania wspólnoty mieszkaniowej – nie mówiąc już o tak zwanych spotkaniach autorskich czy targach książki – dramatycznie zwiększają ryzyko kolejnych ekscesów. Podobnie jak imprezy masowe przyciągają kieszonkowców, tak również Mojmir z cynicznym pragmatyzmem najchętniej polował w wodach, w których jest najwięcej ryb – czyli na spotkaniach ze swoimi czytelnikami. Po co miałby ganiać za ofiarą, skoro przypływa do niego dobrowolnie, prawda?

I po drugie: jeśli myślicie, że Mojmir choć raz poczuł wstyd za swój „przedaortowy" hedonizm – również jesteście w błędzie. Nie tylko, że nigdy nie czuł potrzeby przeproszenia – on był z tych gorszących przygód dumny!

– Hedonizm to dystans do życia – przekonuje mnie nawet dzisiaj, kiedy na wielkim stole w jadalni sazawskiego domu na próżno próbuje uporządkować dokumenty do zeznania podatkowego. – A ponadto jest to dzielny bój z Nicością. Hedonizm to zwycięstwo człowieka nad przerażającą krótkością ludzkiej wędrówki.

– Bzdura! – odpowiadam mu z kuchni. – Hedonizm to ordynarny sybarytyzm! Proszę więc nie stroić go w te pseudofilozoficzne banialuki!

– Hedonizm to synonim adoracji życia! – podnosi głos Mojmir i z jakiegoś niezrozumiałego powodu macha mi przed oczami plikiem rachunków za zakupione książki i artykuły biurowe, jakby były to sztandary jego wiecznego sybarytyzmu. – To triumf człowieka nad śmiercią!

– Brednie! – nie daję się ogłupić. – Hedonizm to pseudofilozoficzne alibi zwykłego życiowego egoizmu! Alibi nieodpowiedzialności. *Męskiej* nieodpowiedzialności!

Mam wrażenie, że Mojmir naprawdę zastanawia się nad moim stwierdzeniem – kiwa głową i stuka paznokciami w blat stołu.

– Znam też kilka hedonistek – odpowiada po chwili zmęczony. – Alkoholiczek, szybkodajek…

Mieszam sos, jeszcze trochę go zagęszczam.

– Ja niestety też, z pańskiego prywatnego portfolio – mówię kąśliwie, ale on jak zwykle słyszy tylko siebie.

– Znam też sporo kobiet, które potrafią wydać fortunę na parę butów lub torebkę… Powtarzam pani po raz sto pięćdziesiąty, że granica między sybarytyzmem i ascetyzmem nie prowadzi między płciami!

– Z tym się zgadzam – kończę triumfalnie. – Prowadzi między egoizmem i charakterem.

– O! – Mistrz uśmiecha się na pozór szyderczo, ale widać po nim, że trafiłam w czuły punkt. – Każę wyciosać tę złotą myśl w kamieniu!

Nawet kiwa głową, ale ten gest najwyraźniej dotyczy jakiegoś już zapomnianego rachunku, w który teraz wpatruje się z niedowierzaniem.

– Nie musi pan – odpowiadam, machając drewnianą łyżką, by trochę mu pogrozić, przy czym odrobina sosu koperkowego ląduje na

nierdzewnych drzwiach wysokiej lodówki, a ja po chwili ścieram go chusteczką. – Już ja zadbam o to, by została zapamiętana.

Kolejny rachunek Mistrza – podobnie jak wiele poprzednich – ląduje zgnieciony w koszu. Taki płatnik VAT byłby prawdziwym skarbem dla każdego urzędu skarbowego – myślę, ale nie mówię nic.

– Doprawdy? A jak zamierza to pani osiągnąć? – pyta Mojmir.

– Piszę o panu książkę – zdradzam obojętnie, oblizując łyżkę.

– W takim razie powodzenia – odpowiada skwaszony. – Jeśli przypadkiem by się nie sprzedawała, może pani chodzić po domach i rozdawać ją, tak jak świadkowie Jehowy rozdają „Strażnicę"…

Tylko Bóg wie, dlaczego Mistrz uważa to za dobry żart. Uderza dłonią w stół i śmieje się tak głośno, że rozdmuchuje rachunki po całym stole.

I wreszcie po trzecie (przyznaję, że czasem naprawdę bywam dość rozwlekła): jeśli wciąż sądzicie, że przedchorobowy hedonizm ograniczał się tylko do opisanych powyżej kwestii, musicie wiedzieć, że na tym grzechy śmiertelne Mojmira bynajmniej się nie kończą.

Doliczcie do nich uprzejmie jeszcze obżarstwo (obejmujące luksusowe restauracje i posiłki z pięciu dań, wszystkie te food festiwale, najróżniejsze imprezy sezonowe, na przykład Uczta św. Marcina w Trafionej Gęsi, Boże Narodzenie w Ambiente, czy Wielkanocne Jajko w Intercontinentalu, cha cha), wszystkie winiarnie, degustacje, sklepy z winami, Salony Win, Narodowe Banki Win, a do tego oczywiście narkotyki (marihuana, a kilka razy nawet haszysz i kokaina), czy wreszcie – jakżeby inaczej! – bary ze striptizem, kluby go-go, peep show, no i oczywiście burdele – od luksusowych, horrendalnie drogich domów publicznych aż po stosunkowo tanie, ordynarne speluny, o których nawet nie wstydzi się co jakiś czas mi wspomnieć, licząc na mój nieposzlakowany charakter (czyli w tym

przypadku konkretnie na to, że – jak kiedyś to grubiańsko określił – *chyba nie jestem taką świnią, żeby nakablować na niego Hedvice*).

Nie, nie jestem – ale czasami naprawdę tego żałuję.

Przypominam mu o tym wszystkim, kiedy porządkuje swoją księgowość.

– Haszysz paliłem tylko raz, a kokainę brałem łącznie jakieś trzy razy – protestuje bez emocji Mojmir. – Proszę więc, żeby łaskawie przestała mnie pani kreować na Hugona Haasa literatury czeskiej!

– Czyli jednak brał pan narkotyki! – krzyczę z kuchni radośnie. – Sam pan to przyznaje!

Mojmir nie odpowiada. Zastanawia się nad czymś, podczas gdy ja myję naczynia i wycieram płytę kuchenki. To się nazywa tradycyjny podział ról!

– Z rozrzewnieniem wspomina pan w duchu swój szczęśliwy okres narkotykowy, prawda? – mówię po chwili. – Niech się pan przyzna.

– Jasne – przytakuje trochę wyzywająco. – Ten króciutki epizod kokainowy był całkiem fajny.

– Doprawdy? – mówię kąśliwie. – Niestety raz byłam świadkiem pańskiego rauszu...

Wizja obiektywnej, trzeźwej relacji natychmiast Mojmira ożywia.

– Naprawdę? I co na przykład mówiłem?

Kładę pokrywkę na garnek z sosem, otwieram zmywarkę – jak zwykle cieszy mnie widok lśniących nierdzewnych drzwiczek – i z dziecięcą radością pozwalam, by twarz pogłaskał mi gwałtowny podmuch gorącego powietrza.

– Tego już nie pamiętam. Ale żadne słowne perły to nie były – mówię z przymkniętymi oczami. – Pamiętam tylko, że mówił pan najszybciej ze wszystkich, nikogo nie dopuszczał pan do głosu i plótł pan coś piąte przez dziesiąte...

– Świetna relacja, dzięki.

Przez chwilę milczymy. Wyciągam naczynia ze zmywarki i zbieram siły do kolejnej bitwy słownej. Do boju!

– Zatem marną apologetykę pańskiego okresu narkomańskiego mamy chyba za sobą, prawda? – mówię. – A co z burdelami?

– Jaką znów apologetykę? Kobieto, co ty bredzisz?

W takim razie niech te naczynia powyciąga sobie ze zmywarki sam – myślę obrażona i wycieram ręce w papierowy ręcznik.

– Apologetyka czyli obrona – wyjaśniam Mistrzowi uprzejmie – historyczna i racjonalna. Związku z teologią w pańskim przypadku raczej bym się nie doszukiwała.

– Hm – mruczy Mojmir bez zainteresowania. – Dobra.

Ale milczy.

– To co z tymi burdelami? – przypominam mu i gaszę w kuchni światło.

– A co ma być? Mam szczegółowo opisać pieprzenie? Nie podejrzewałem, że do pani zboczeń należy również podglądactwo...

Tak głupi dowcip nie jest wart żadnego komentarza.

– Idiota z pana – podsumowuję całą dyskusję i idę włączyć sobie program podróżniczy o Malediwach.

VI

Lecz znajdzie się jednak coś, co tymczasowo ograniczy hedonizm Mojmira: maraton.

Zaczyna się niepozornie: Mojmir dobrze wie, że po latach obżarstwa, alkoholizmu i cudzołożnych ekscesów musi schudnąć, rozpocząć abstynencję i monogamię, czyli, jak to się mówi, *zdjąć nogę z gazu* – więc paradoksalnie przyśpiesza.

Zaczyna biegać.

Najpierw oczywiście tylko chodzi – wprawdzie coraz szybciej, ale i tak nie zapowiada to żadnych osiągnięć sprinterskich. Ale potem dostaje od kogoś książkę *Born to run* i podobnie jak tysiące osób przed nim, on również tego dnia, kiedy z dawno niezaznanym żalem kończy czytać wspomniany bestseller, po raz pierwszy idzie biegać i stopniowo całkowicie oddaje się nowej pasji.

Pierwszego dnia przebiega zaledwie dwieście metrów, po czym musi ze wstydem znów przejść do chodu. Z trudem łapie oddech i poważnie zastanawia się nad tym, czy z tego szalonego pomysłu jednak nie zrezygnować.

Ale, o dziwo, nie rezygnuje.

Następnego dnia przebiega już około pół kilometra, ale podobno czuje się tak, jakby za kilka sekund miał umrzeć na zawał. Albo paść na środku ulicy, gdzie przejechałoby go pierwsze auto… Piecze go w płucach i kręci mu się w głowie, lecz mimo to nie rezygnuje. Kolejnego dnia twierdzi, że

żadnych objawów już nie odczuwa, chociaż przebiega ponad kilometr – ale dla pewności idzie na kontrolę, żeby lekarze potwierdzili mu, że serce ma zdrowe i bieganie czy nawet ewentualny maraton nie stanowią żadnego zagrożenia. I lekarze rzeczywiście to potwierdzają.

– Bieganie nie jest groźne, wręcz przeciwnie – dowiaduje się Mojmir. – Bieganie to sport oficjalnie polecany przez kardiologów. Wyważone, odpowiednie przygotowania do maratonu będą miały dobry wpływ na pana i na pańskie serce.

To zdanie Mojmir będzie później z poczuciem krzywdy powtarzać wszystkim.

Po konsultacji z lekarzami trenuje dalej – z coraz większymi obciążeniami. Bez problemu i większego zmęczenia (tak przynajmniej twierdzi) przebiega wiosenny półmaraton – a potem znów zwiększa jednostki treningowe. Dochodzi do tego, że biega dwa razy dziennie po piętnaście kilometrów. Wychodzi wcześnie rano, po powrocie przez trzy godziny pracuje, je obiad, drzemie przez dwadzieścia minut – i idzie na kolejną piętnastkę.

Tydzień przed maratonem przebiega trzydzieści kilometrów, a kiedy po zmroku, doczłapuje do domu, emanuje szczęściem.

– Śpiesz się powoli! – przypominam mu, bo szczerze się o niego martwię. Co będzie, jeśli następnym razem pan maratończyk po dwudziestu kilometrach wyzionie gdzieś w lesie ducha i zostawi Hedvikę, dzieci i mnie zdanych na marne trzy miliony koron z ubezpieczenia? – pytam proroczo.

Lecz Mojmir żadnych ostrzeżeń nie słucha. Codziennie rano i po południu wkłada któryś z tych swoich jaskrawych i zazwyczaj już dość śmierdzących dresów Adidasa z trzema paskami na barkach (starszy kapral maratonu w rezerwie! Cha cha!) i wciąż niezłomnie wybiega z sazawskiego domu w okoliczne górki…

Zamiast w wieku pięćdziesięciu lat wreszcie w życiu zwolnić, ten idiota jeszcze przyśpiesza. Typowa męska dialektyka, czyż nie?

I wszyscy wiemy, jak to się skończy.

II

I

Pomimo tego, że do kliniki dość wygodnie dojechałybyśmy komunikacją miejską, z Rynku Staromiejskiego wiezie nas tam jakiś niesympatyczny taksówkarz, którego polecił nam ojciec Hedviki (swoją karetę ciągniętą przez dwie zabiedzone szkapy zaparkował w pobliżu, a potem wmieszał się w tłum widzów, by na własne oczy zobaczyć kolejny życiowy triumf swojego słynnego zięcia). Jednak ja w ogóle nie ufam ani ojcu Hedviki, ani wspomnianemu taksówkarzowi, więc zwracam Hedvice uwagę, że jest to całkowicie zbędny wydatek i że w kolejnych latach będziemy – jak się wydaje – potrzebować każdej korony. Ale ten zdzierca już otwiera nam drzwi swojego zdezelowanego żółtego mercedesa.

– Możemy jechać osiemnastką do Nusli, a potem przesiąść się na autobus, na sto dwudziestkę trójkę – szepczę Hedvice stanowczo, ale ona w ogóle mnie nie słucha.

– Co? – mówi roztargniona.

Siada z przodu, a ja zrezygnowana wciskam się na tylne siedzenie.

Przedzieramy się przez zapchane ulice nabrzeża. Hedvika milczy i jest strasznie blada. Wyciągam z torebki puder i podaję jej go, ale nie chce. Udaje, że obserwuje rzekę, chociaż wiem doskonale, że nie dociera do niej prawie nic z tego, co widzi. Nagle nerwowo wyciąga z torebki telefon i informuje obu braci Mojmira o tym, co właśnie przydarzyło się Mistrzowi przy jego próbie aktywnego uprawiania sportu. Wiele hałasu o nic – myślę i w duchu się z tego śmieję. Oczywiście nie daję po sobie nic poznać, ale od

tego szybkiego ciągu wydarzeń czuję przyjemne podekscytowanie – i szczerze mówiąc, już nie mogę się doczekać wszystkich tych nieuniknionych zmian, które nadejdą w najbliższych dniach i tygodniach. Życie to ciągła zmiana – mówię do siebie wesoło, ale uświadamiam sobie, że przysłowia o życiu Mistrza chwilowo nie dotyczą.

Wysiadamy z taksówki pod kliniką, a Hedvika zaczyna pędzić jak szalona. Kiedy wchodzimy przez szklane drzwi, definitywnie zostawia mnie w tyle. Gdy wreszcie ją doganiam, już nerwowo wsłuchuje się w informacje od recepcjonistki – miłej i zadbanej damy, która wprawdzie nie jest już najmłodsza, ale ma dyskretny makijaż, a przede wszystkim wręcz cudną, niemal chłopięcą fryzurę.

– Dobrze. A jak nazywa się pani mąż? – pyta.

Hedvika szybko nabiera powietrza, jakby czekało ją jakieś trudne, wymagające siły zadanie, potem niepewnie wymawia nazwisko Mistrza, a po krótkim zawahaniu dodaje również imię.

Jeśli recepcjonistka wie, że chodzi o literackiego celebrytę, nie daje tego po sobie poznać, powtarza sobie tylko nazwisko półgłosem.

– Tak, wiem, zabrali go na kardiochirurgię – mówi. – Ale najprawdopodobniej jest już na pierwszym piętrze – wskazuje palcem na wprost i zaraz potem na górę. – Przy windzie są oznaczenia, ale na salę pani nie wpuszczą.

Hedvika dziękuje i w kolejnej sekundzie już pędzi we wskazanym kierunku.

– Mogą też panie poczekać na zewnątrz! – informuje mnie recepcjonistka.

Rzucam jej swój najpiękniejszy uśmiech i krótkie przepraszające spojrzenie, po czym udaję się za Hedviką. Przecież się nie pali. Śpiesz się powoli. Otwierają się drzwi windy. Hedvika wbiega do środka, a przy

fotokomórce stawia nogę w kremowym trzewiku. Kopciuszek – przychodzi mi od razu na myśl. Kopciuszek i Sinobrody. Bogate, lubieżne monstrum, które zabija naturalny urok, talent i wolność Kopciuszka.

Ale może – jeśli Bóg da – ziemskie godziny Mojmira są już policzone.

– Biegnij – ponagla mnie nerwowo Hedvika, lecz ja przywołuję na pomoc siły swej kobiecej dystynkcji i nie przyśpieszam. Zachowuję spokój i równowagę. Kocham siebie bez zastrzeżeń – powtarzam w duchu. Owszem, być może jestem, jak to się mówi, gruba, ale lubię żyć w tym dużym, silnym ciele. Życie jest dobre – i wygląda na to, że będzie jeszcze lepsze.

II

Mistrz podobno wciąż pluje krwią, więc wiozą go prosto na kardiochirurgię, gdzie rzeczywiście nie chcą nas wpuścić. Małe pomieszczenie przed salą operacyjną jest nieprzyjazne i zimne, ale na szczęście są tu dość wygodne tapicerowane ławki. Przestraszona Hedvika osuwa się na pierwszą z nich, a ja siadam obok. Jest tak blada, że przypomina mi się bajka o Krainie Lodu. Podnoszę oczy ku ścianie naprzeciwko i szukam ekranu telewizora. Na próżno. Nie mogę uwierzyć, że go tu nie ma! Myślę gorzko, ile Hedvika i ja płacimy za ubezpieczenie zdrowotne. Ale teraz nie mogę denerwować się takimi szczegółami – to jest jasne. Uzbrajam się w cierpliwość, bo wiem, że przede mną wiele godzin w niepewności. Często wzywają mnie do porodów domowych, więc jestem przyzwyczajona do długich oczekiwań, tyle że pomiędzy czekaniem na nowe życie a czekaniem na śmierć jest wyraźna różnica – czy wam się to podoba, czy nie. Porody dodają mi energii, natomiast umierające gryzipiórki, szczerze mówiąc, raczej mnie nudzą.

Po trzydziestu minutach nieprzerwanego cichego płaczu Hedviki jest jasne, że muszę się czymś zająć, bo oszaleję. Na długim korytarzu znajduję automat z kawą, wrzucam do niego niechrześcijańską kwotę i wciskam dwa razy odpowiedni przycisk. Zanoszę oba kubeczki do poczekalni i zmuszam Hedvikę, by do kawy zjadła kilka herbatników, które jak zawsze mam przy sobie. Ostatecznie większość z nich zjadam ja, ale z uwagi na dzisiejsze wyjątkowe okoliczności mogę sobie pozwolić na ten dietetyczny grzeszek. Któż martwiłby się dietą, gdy umiera jego bliźni? – myślę, choć wiem, że

ten *bliźni* jest dość naciągany, bo im dłużej znam naszego Mistrza, tym bardziej wydaje mi się obcy. I obrzydliwy!

Kawa – przynajmniej jak na szpital – na szczęście jest całkiem niezła, chociaż prawdziwe *espresso macchiato*, jak brzmiała kłamliwa nazwa na automacie, smakuje inaczej – natomiast moje herbatniki z polewą czekoladową są już trochę wyschnięte i twarde. Prawdę mówiąc, wolę te biszkoptowe ciasteczka Nestlé, bo są dużo delikatniejsze i łatwiej prześlizgują się przez gardło, a poza tym mają w środku nadzienie z cudownej galaretki owocowej, choć zawierają też więcej cukru, barwników i emulgatorów (ale któż z nas nigdy nie zgrzeszył, prawda?).

Po kolejnych trzydziestu minutach czekania zasypiam twardym snem i budzi mnie dopiero ręka młodego kardiologa, dotykająca lekko mojego ramienia. Otwieram oczy, spoglądam na zegarek i z zaskoczeniem stwierdzam, że spałam ponad dwie godziny. Jestem dość wypoczęta. Zmartwiona twarz lekarza oraz długość trudnej operacji wzbudza we mnie nadzieję, że ten szowinistyczny tyran wreszcie umarł – i od razu postanawiam przekonać Hedvikę, żeby pod żadnym pozorem nie uległa presji na modny pseudochrześcijański pogrzeb w ziemi i wybrała dla Mistrza oczyszczającą kremację (przyznaję bez bicia, że wizja *spalenia* ciała Mistrza ma według mnie dużo większy czar niż zwyczajne spuszczenie trumny do grobu). Jednocześnie wciąż obawiam się, żeby Mistrz przy tym typowym dla siebie egoizmie nie ożył złośliwie na stole operacyjnym (tak, złośliwie, mimo najlepszych chęci nie mogłabym nazwać tego inaczej) i nie wrócił nieproszony do mojego i Hedviki życia. Taka szansa nieprędko się powtórzy – przypominam sobie. W końcu aorta nie pęka ludziom codziennie, prawda?

Jednak felczer wciąż milczy z komicznie poważną miną. Nie mam wątpliwości, że rozważa typową, rzekomo etyczną kwestię, na ile może być

szczery wobec żony pacjenta w stanie krytycznym. Mówić, czy nie mówić, o co toczy się gra… A on wciąż tylko patrzy na Hedvikę i milczy jak sfinks.

– Jezus Maria, panie doktorze, co się dzieje? – nie wytrzymuję. – Proszę to z siebie wydusić!

Dopiero potem ten Hamlet medycyny (cha!) raczy poniekąd urażony poinformować nas, że Mistrz był w stanie śmierci klinicznej, ale żyje i chwilowo jest podłączony do sztucznego płucoserca. To brzmi bardzo obiecująco – myślę od razu, ale dobrze wiem, że bynajmniej nie oznacza zwycięstwa – od razu przypomina mi się bowiem stuletnia (!) babcia Mistrza ze strony matki oraz słynna żywotność tej gałęzi rodziny Mojmira (prababcia zmarła zaledwie trzy lata przed setnymi urodzinami). Jednak potem myślę o przedwczesnej śmierci ojca Mojmira – i cała sytuacja znów zaczyna jawić się w weselszych barwach.

Płomień nadziei rozpala się we mnie, kiedy główny kardiochirurg wynurza się z sali operacyjnej i idzie w naszą stronę. Hedvika zamiera. Ona również rozumie, że ta wielka, niemal jednolita czerwona plama na gumowym fartuchu to krew Mojmira.

– Bardzo mi przykro, ale pani mąż prawdopodobnie nie przeżyje – informuje lekarz Hedvikę bez ogródek, a jego szczerość wywiera na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Lubię jasne i rzeczowe komunikaty. *Niech wasza mowa będzie tak, tak; nie, nie...* Lecz po tej lapidarnej diagnozie Hedvika natychmiast omdlewa, więc kardiolog i akurat przechodząca młoda pielęgniarka zaczynają ją cucić. Sadzają Hedvikę na wózek inwalidzki, a ten miły, konkretny lekarz sprawdza jej puls.

– Zaraz się ocknie – informuje mnie z męską zwięzłością i wraca na salę. Pielęgniarka zabiera gdzieś Hedvikę. Nie wątpię, że ponownie wyjdzie za mąż. Lecz kiedy tylko tę myśl w duchu *wypowiadam*, od razu nabieram pewności, że nasz chorobliwie zazdrosny Mistrz zaraz do nas powróci.

Gdzie się podziewa? – myślę i rozglądam się po suficie. Może Mojmir jako duch wreszcie zrozumiałby, że kochać nie znaczy posiadać – śmieję się pod wąsem (oczywiście, że depiluję się regularnie, te *wąsy* to tylko metafora!). Wszystko płynie, wszystko się zmienia, a ja jestem pełna energii. Dobrze wiem, że Hedvika sobie poradzi, czuję to w swych wnętrznościach bardzo wyraźnie. Nie jestem jasnowidzką, ale jestem tą, która wie. Żyję z wami, drogie siostry. Jestem waszą grubą prababką, waszą matką, córką i wnuczką. Jestem waszą zapomnianą dzikością, waszym pradawnym kobiecym instynktem – mam siedem lat, sześćdziesiąt dwa oraz dwa miliony lat. Jestem młoda jak wczoraj narodzona wydra, jestem stara jak Matka Ziemia. Czy zauważyłyście, drogie siostry, jaką przyjemność sprawia wam dotykanie gliny w ogrodzie? Szukacie w niej mnie. Hedvika również mnie szukała. Mego spokoju i mojej mądrości.

Oczywiście wiem, że będę musiała jeszcze porozmawiać z Mistrzem, i już nie mogę się tego pojedynku doczekać.

III

Po czterdziestu minutach młody lekarz ponownie wychodzi z sali. Jest porządnie spocony, ale w moich oczach to tylko dodaje mu uroku.

– Gdzie jest pani Hedvika? – pyta.

– Zemdlała – informuję go ze swoim najsłodszym uśmiechem. – Pielęgniarka ją ocuciła i dokądś zawiozła.

Lekarz kiwa głową i najwyraźniej zamierza wrócić na salę.

– Jak to wygląda z Mistrzem? – pytam szybko. – To znaczy z Mojmirem? – tym *Mojmirem* próbuję zasugerować nasze bliskie powiązania rodzinne, lecz mimo to lekarz nie wygląda na przekonanego.

– Przepraszam, a pani to…? – zawiesza głos.

– Coś jakby siostra pani Hedviki – mówię. – Najbliższa rodzina.

Lekarz przez kilka sekund męsko rozważa tę sytuację, a potem mocno kręci głową. Mam wrażenie, że jest to najpiękniejszy gest na świecie.

– Niestety – mówi już zupełnie niepotrzebnie i wzrusza ramionami. – Przykro mi.

Jest oczywiste, że tę chwilę przeżywa (przecież wszyscy wiemy, że niespodziewana śmierć, a tym bardziej niespodziewana śmierć celebryty, stanowi przyjemną odmianę w nudnej pracy lekarzy), ale w ogóle nie mam mu tego za złe, również z powodu jego wyjątkowo pięknych warg, pośladków, a przede wszystkim dłoni. Obserwujemy się nawzajem. Rozumiem, że muszę się opanować i nie okazywać uczuć, ale i tak nie potrafię rozpłakać się na rozkaz, a nawet gdybym potrafiła, byłaby to

poniekąd przesadna reakcja, jak na *szwagierkę* – myślę. W końcu po krótkim namyśle uznaję, że wystarczy, jeśli kilka razy przełknę ślinę, tak jak tysiące razy widziałam w amerykańskich telenowelach. Jest to według mnie gest stosowny do stonowanego, cywilizowanego, euroamerykańskiego cierpienia – nie będę się przecież zachowywać jak histeryczna Cyganka czy przesadnie afektowana Murzynka z Etiopii, prawda? Sądząc po reakcji lekarza, wybrałam dobrze. Boże, błogosław Amerykę! Młody chirurg na chwilę kładzie mi dłoń na ramieniu, więc z czystym sumieniem mogę odwzajemnić ten gest, głaszcząc jego opaloną, umięśnioną rękę. Patrzymy na siebie. Ja na niego, a on na mnie. O Boże! – myślę. Opamiętuję się.

– Damy sobie radę – mówię wreszcie – jestem tego całkowicie pewna.

Lekarz odchodzi, ale jeszcze się do mnie odwraca! Przed naszym życiem otwiera się nagle mnóstwo ekscytujących możliwości. Czuję głęboki, wewnętrzny spokój i cieszę się tą nową wolnością…

Ale nagle przede mną staje Mojmir! To znaczy oczywiście *duch* Mojmira. Musiał prześlizgnąć się obok lekarza wracającego na salę.

Radość nie trwała zbyt długo.

IV

– Co się tu kurwa dzieje? – pyta przerażony duch Mojmira i z niedowierzaniem przygląda się swojemu nowemu, przejrzystemu ciału. Niestety wulgarna część jego osobowości przeżyła – myślę. Duch Mistrza najwyraźniej jest w szoku, natomiast ja odczuwam jedynie złośliwą radość z tego, że słodkie, egoistyczne życie Mojmira przed chwilą definitywnie dobiegło końca. Oczywiście jego ziemski byt, podobnie jak wszystkie inne ziemskie byty, natychmiast przerodził się w nowy, czysto astralny – lecz na tę fazę istnienia nasz racjonalista najwyraźniej nie był przygotowany: w tej chwili przypomina raczej zdenerwowanego klienta, którego wypraszają z restauracji dwie godziny przed zamknięciem. Cha cha! Stoi obok mnie w poczekalni przed salą operacyjną, a jego nowiutka postać podoba mi się równie bardzo, jak wszystkie inne ciała astralne, które widziałam. Ona również przypomina hologram.

– Gdzie jest moja żona? – mówi nerwowo duch Mojmira.

Uśmiecham się. Więzadła głosowe Mistrza napinają się i zaczynają wibrować.

– Co się dzieje z moją żoną? Gdzie jest Hedvika? – ryczy na mnie. – Mów, kurwa, babo przeklęta! Gdzie jest, do cholery?

Ale ciała astralne szowinistycznych prymitywów ani ich wulgaryzmy nie napędzają mi strachu.

– Zakładam, że chciał pan spytać, Mistrzu, gdzie obecnie znajduje się *wdowa*? – poprawiam go spokojnie z pedantyczną satysfakcją. Rozbawiona

patrzę wściekłemu hologramowi prosto w oczy (o ile *wizualizację oczu* można nazywać oczami). – Czyż nie mam racji? – dodaję niemal rozkosznie.

– Boże święty! – krzyczy duch Mojmira. – Wiedziałem, że jest pani świnią, ale naprawdę nigdy nie podejrzewałem, że aż tak bezduszną!

– Muszę przyznać – mówię celowo wesołym głosem, żeby ukryć, jak bardzo dotknęły mnie jego słowa – że zawsze śmieszy mnie, gdy Boga wzywa ogólnie znany kurwiarz. Ale *martwy* kurwiarz wzywający Boga jest jeszcze zabawniejszy.

– Niech się pani zamknie! – wrzeszczy na mnie.

Obserwuję go rozbawiona i nawet z niewymuszonym wdziękiem podpieram sobie dłonią prawy policzek (dokładnie tak, jak podczas rozmowy z mężczyznami robi to ta francuska aktorka, której nazwisko akurat wyleciało mi z głowy).

– U żywych kurwiarzy można to jeszcze jako tako zrozumieć, ale *trup* dziwkarza zmieniony w kaznodzieję? – mówię z paryską nonszalancją. – No *pardon!*

Pardon wymawiam oczywiście z francuską dykcją.

– Co do cholery dzieje się z Hedviką? – znów ryczy na mnie duch pisarza.

Staram się nie okazywać swojego przerażenia.

– Zemdlała – mówię w miarę możliwości spokojnie. – Młode kobiety mają skłonność do przypisywania śmierci męża przesadnie dużej wagi.

Nie jest w stanie na to odpowiedzieć. Najwyraźniej duch Mistrza to... wrak pierwowzoru. Cha! Moja przez lata raniona dusza świętuje zwycięstwo. Ale bądźmy obiektywni – myślę po chwili. Przecież pośmiertne rozdygotanie Mojmira łatwo zrozumieć. Wyobraźcie sobie na przykład, że przez całe życie niezachwianie wierzycie, że jeden plus jeden

to dwa, a nagle przychodzi ktoś, kto najzupełniej poważnie twierdzi, że jest inaczej. Wy macie jedną gruszkę, on ma jedną gruszkę – a kiedy on daje wam tę swoją, podobno macie w rękach już trzy… A może nawet siedem gruszek… A może nawet trzydzieści jeden… Zachowanie zdrowego rozsądku przy takim liczeniu bynajmniej nie jest łatwe – a chodzi przecież o zwykłe gruszki, których suma (mimo iż że skrajnie dziwna), może wam ostatecznie być obojętna. A teraz wyobraźcie sobie, że umieracie – a wasze życie mimo to trwa nadal, choć w bardzo szczególny sposób. Nie możecie się ruszać, nie możecie jeść ani pić, a nawet nie oddychacie – ale mimo to widzicie, słyszycie i myślicie. Mówicie! Jesteście bez wątpienia martwi, a przy tym ku waszemu przerażeniu wciąż widzicie wszystko wokół siebie! Na początku jest to oczywiście piekło, ale w końcu godzicie się z tym niewiarygodnym faktem – choć logiczne jest, że w pierwszych dniach i tygodniach bardzo cierpicie.

Dokładnie tak, jak teraz Mojmir.

Ów bardzo dobrze znany i dla każdego choć odrobinę poinformowanego człowieka całkowicie oczywisty fakt, że życie ludzkie na śmierci się nie kończy, albowiem po śmierci wszyscy żyjemy dalej w czysto duchowej formie, Mojmir od początku interpretuje jako *złośliwą i okrutną ironię losu*… Cha cha! Wszystko, w co przez całe życie wierzył, rozpadło się właśnie w drobny mak. Jego światopogląd legł w gruzach! Nasz butny racjonalista został rozebrany z garniturku Hugo Bossa i w jednej sekundzie dostał nowe, bynajmniej nie markowe, czysto astralne ciało. Fizyka, chemia, logika, statystyka, psychologia i socjologia nagle nie mają żadnego znaczenia… Przestaje się liczyć nawet – uwaga, uwaga – ta płytka filozofia życiowa Mistrza.

– Wszystko, czego przez pięćdziesiąt lat dowiedziałem się o życiu, okazało się nagle gówno warte! – mówi wściekle Mojmir.

– Za dużo się pan o tym życiu nie dowiedział…

– Pani niech się uprzejmie zamknie, madame!

Tak wkurzonego ducha naprawdę jeszcze nie widziałam. Wciąż jest dość zdezorientowany, ale całe jego przejrzyste ciało drży – gdyby krążyła w nim krew, duch Mojmira bez wątpienia poczerwieniałby ze złości. Rozumiem go. To logiczne, że w pierwszych godzinach po śmierci wszyscy przechodzimy przez fazę buntu. Zaprzeczamy temu, co jest ewidentne. Mojmir również na razie nie zgadza się na przyjęcie nowej roli. Za żadne skarby nie chce przyznać tego, co wprawdzie na własne oczy widzi i na własne uszy słyszy, ale w co przecież nie wierzy… Jest doskonałym przykładem niewolniczo racjonalistycznego ducha cierpiącego na fatalną utratę tożsamości: jest duchem, który nie wierzy w duchy! Cha cha! To mi się naprawdę udało! – myślę *w duchu.* Cha cha cha! Dzisiaj naprawdę jestem w formie.

O duchu Mojmira tego powiedzieć się nie da. Może ze mną rozmawiać, widzi mnie, ale w odróżnieniu ode mnie nie może ruszyć się nawet o milimetr.

– Więc jak, Mistrzu, czy wreszcie przyznaje pan, że ten legendarny, towarzyszący panu od zawsze racjonalizm, był ślepą uliczką? – droczę się z nim. – Że ten pański słynny *rozum* nie wystarczy, by zrozumieć świat?

– Niech się pani zamknie, madame!

Chętnie by mi przyłożył, ale nie może, bo jest duchem. Przejrzystym, niematerialnym duchem.

– No wie pan – mówię.

Postanawiam pokazać temu gryzipiórkowi, jak wygląda prawdziwa złota myśl.

– Panujcie nad swoimi skłonnościami do przemocy! – przemawiam głębokim męskim głosem (jakim w moich wyobrażeniach mówił również

Freud). – Przechodzicie przez fazę buntu, wiecie? Ściślej mówiąc: samozaprzeczenia. Jesteście duch, co nie wierzy w duchy!

Śmieję się. Automatycznie czekam, że za tę doskonałą parodię starego żydowskiego psychiatry zostanę poczęstowana kolejną zgryźliwą uwagą – ale duch Mojmira nagle zaczyna płakać.

Ten widok zadziwiłby nawet Freuda! – myślę. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że duchy potrafią łkać. Po raz pierwszy w życiu widzę ego Mistrza na kolanach – i w ogóle nie ma znaczenia, że chodzi o ego astralne. Powinnam chyba czuć zadośćuczynienie, ale zamiast tego stwierdzam z zaskoczeniem, że nagle jest mi Mojmira bardzo żal.

– No wie pan… Przecież chyba nie wiesza pan jeszcze rękawic bokserskich na kołku? – mówię pojednawczo.

– Wszystko, w co wierzyłem, legło w gruzach – zawodzi duch Mistrza. – Wszystko!

Zaczynam mieć dość tego jęku.

– Wszystko? Czyli co? – dopytuję się znudzona.

– Pyta pani poważnie? – jęczy podrażniony. – Fizycznie przestałem istnieć! Jestem pieprzonym żywym trupem!

To urocze, że chociaż normalnie otwiera usta, nie wydaje z nich oczywiście żadnego dźwięku, a mimo to rozumiem każde jego słowo… Te małe cuda nigdy nie przestaną mnie fascynować.

– Ale wygląda i mówi pan prawie tak samo. Jakoś wciąż pana rozpoznaję – śmieję się.

– Nie mogę pogłaskać swoich dzieci! Nie mogę dotknąć swojej żony! Nie mogę jej pocałować!

– No, to fakt – potwierdzam. – Będziecie musieli znaleźć jakiś inny sposób, żeby wyrazić żonie i dzieciom tę swoją tak zwaną miłość…

Moja cierpka żydowska ironia wprawia mnie w szczery zachwyt, ale Mistrz nawet się nie uśmiecha, a zamiast uznania zaczyna dziko machać w powietrzu swoimi astralnymi łapami, jakby próbował dotknąć znikających molekuł niedawnej obecności żony. Przypomina mi to stare zdjęcia kosmonautów w stanie nieważkości, którzy w swoim statku kosmicznym próbują złapać swobodnie latającą bańkę wody. Podczas gdy ja głupkowato chichoczę, duch Mojmira wydaje kolejne dwa głośne jęki, a potem zaczyna zaskakująco głośno szlochać. Brzmi to wprawdzie jak z bardzo starego gramofonu, ale na przekór temu przyjemnemu dźwiękowi retro nasz Mistrz wygląda smutno.

Jest duchem-wrakiem.

– Chłopie, otrząśnij się trochę! – mówię.

Z czystej złośliwości czochram mu włosy, żeby wizualnie przypomnieć mu, że sam nie może zrobić nawet tak prostej rzeczy.

– Niech pani idzie do diabła, madame – odcina się.

– Jak pan sobie życzy – odpowiadam zgryźliwie. – Tylko proszę nie zapominać, Mistrzu, że chwilowo jestem jedynym pańskim łącznikiem ze światem żywych…

Przez chwilę zastanawia się nad moją uwagą, a potem łapie się za swoją astralną głowę.

– O Boże – mówi z niedowierzaniem. – Co za poniżenie! Zatwardziały racjonalista przemieniony po śmierci w ducha! W żywego trupa! Coś takiego mógł wymyślić tylko sadysta!

– Przyznaję – odpowiadam ostrożnie – że na pierwszy rzut oka może to wyglądać jak ironiczna złośliwość, ale…

– To *jest* ironiczna złośliwość! – podnosi głos duch Mistrza. – Ty nie wierzysz w duchy, chłopczyku? No to zrobimy z ciebie ducha i zobaczymy, czy wrócisz na kolanach!

Wzdycham. Moja cierpliwość jest bezgraniczna.

– Może rzeczywiście tak to wygląda, ale…

Przerywa mi bezczelnie.

– Nie *wygląda*, tylko tak po prostu *jest*! – patrzy na mnie wściekły. – Więc niech mi pani kurwa nie wmawia, że moje poniżenie nie zostało gdzieś tam na górze wcześniej zaplanowane – dodaje groźnie.

Naprawdę nie miałam pojęcia, że duch może mówić wulgarnie, ale z drugiej strony: u Mistrza już nic mnie nie zaskoczy. Jak żyjemy, tak umieramy – myślę, a w tej samej chwili duch Mojmira całkowicie niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, nagle znika.

Cholera – pojmuję natychmiast. Szczęście mnie opuściło.

V

Oczywiście powłoka cielesna Mojmira wciąż tam leży – a Mistrz nagle znów jest żywy.

Tętno niespodziewanie powraca: te dwie zielone kreski na małym monitorze nad łóżkiem, jeszcze przed sekundą tak wymowne, tak cudownie proste, bez najmniejszego ostrzeżenia (mam na myśli ostrzeżenie dla nas, okrytych już żałobą) zaczynają formować się w dzikie amplitudy. Ten rozkoszny jednostajny pisk, tak dobrze mi znany z ulubionych szpitalnych seriali, nagle znów przechodzi w nieprzyjemnie głośny dźwięk bijącego serca – a ten męski szowinista, który jeszcze kilka sekund temu tak obiecująco wybierał się na tamten świat, teraz za sprawą jakiegoś cudu, czy może raczej niezrozumiałej Bożej protekcji (wiem, że bluźnię, ale w *tym* przypadku naprawdę nie mogę się powstrzymać) zupełnie nieoczekiwanie powraca do życia.

Oddycha.

Rusza prawą ręką

A potem już idzie z górki.

Po chwili nawet – wierzcie lub nie – siada na łóżku! Być może był tak *nieduchowo* wkurzony, może czuł tak *ziemską* wściekłość, że wrócił od tego na ziemię – myślę. Albo kruche siły reinkarnacji nie poradziły sobie z jego butnym ego. To wyjaśnienie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Fakty są takie, że wycieczka Mojmira do krainy umarłych dobiegła końca, zanim się na dobre zaczęła. Nigdy wcześniej nie widziałam

nic podobnego – ale jednak się to wydarzyło. Tu i teraz, na moich oczach. I tak jak we wspomnianych serialach, już przybiegają lekarz i pielęgniarka. Najwyraźniej byli razem w pokoju służbowym – pojmuję w mig.

– Uszanowanie, panie doktorze – witam go dość ponuro.

Zaszokowany starszy kardiochirurg przygląda się Mojmirowi – najwyraźniej nie wierzy własnym oczom.

– On żyje? – dziwi się dziecinnie.

Tylko ciebie nam tu brakowało, konowale – myślę.

– Chyba tak – mówi Mojmir i rozgląda się zdziwiony. – Chyba żyję.

Mam wrażenie, że romantyczna telenowela zmieniła się w jedną z tych przereklamowanych scenek Monty Pythona, które mnie zdecydowanie nie śmieszą – i w odróżnieniu od Hedviki i lekarza nie śmieję się również na widok tego zdezorientowanego błazna na łóżku.

– Kochanie… – szepcze przygłupio Mistrz.

Hedvice, której omdlenie dawno minęło i która teraz stoi tu zaskoczona podobnie jak wszyscy pozostali, to koszmarnie banalne powitanie najwyraźniej nie wydaje się przygłupie, bo od razu bez wahania obejmuje tego nieumytego maratończyka, w zamian za co on ją niehigienicznie obślinia.

Kolejny sen mojego życia skończył się, zanim się zaczął.

Na szczęście lekarz przynajmniej informuje nas, że żyjącego, ale rzekomo po długiej operacji wycieńczonego Mistrza, *na wszelki wypadek* wprowadzą na minimalnie dwie doby w śpiączkę farmakologiczną, więc możemy spokojnie iść się wyspać. Gdyby, nie daj Boże, pojawiły się jakieś komplikacje (przy tym słowie trochę się ożywiam), dadzą nam znać.

Proponuję, żebyśmy natychmiast wróciły do naszej rodzinnej siedziby w Sazawie, gdzie dzieci będą na świeżym powietrzu (i gdzie ponadto mam – o czym oczywiście taktownie nie wspominam – własny pokój i dużo

wygodniejszy materac na łóżku), ale Hedvika upiera się, że zostaniemy w Pradze, żeby *w razie potrzeby* dojechać do kliniki w piętnaście minut.

Chcąc nie chcąc – dostosowuję się.

Hedvika przez całe dwa dni jest jak ciało bez duszy, więc to na mnie spada gotowanie, sprzątanie, wyprowadzanie psa, pilnowanie obu dziewczynek na placu zabaw w pobliskim parku oraz wożenie ich tramwajem do kina. Boże, jak ja nie cierpię wszystkich tych *multipleksów* – a od wczoraj przede wszystkim tych tak zwanych seansów 4D, podczas których fotel co chwilę dziko podskakuje, puszczają na widzów wodę i dym, a do tego w plecy wbijają się bolesne imitacje naboi… I za wszystkie te cierpienia płaci się trzy razy więcej niż za normalny, i tak bezwstydnie drogi bilet!

Wychodząc z sali, nie omieszkałam poinformować o tym młodziutkiej kasjerki.

Po tych smutnych przeżyciach kategorycznie odmówiłam kolejnych wyjść do *jakiegokolwiek* kina i następnego dnia zabrałam dziewczynki do zoo, do którego z powodu rzekomego nawału pracy twórczej taty (aktualniejszy byłby chyba *zawał*, cha cha!) te biedulki nie chodzą od ponad trzech lat. Były więc tak zachwycone wszystkimi nowymi pawilonami i zwierzętami, że ku mojej wielkiej radości (w odróżnieniu od wczorajszego wyjścia do kina) tym razem ani razu nie wspomniały o swoim na wpół martwym ojcu – i to nawet w chwili, kiedy jakiś podstarzały, wyleniały gibon i jego tylko odrobinę lepiej wyglądająca kochanka kopulowali bezwstydnie tuż przed wytrzeszczonymi dziecięcymi oczami… (Czasami naprawdę żałuję, że ludzkość nie osiągnęła większego rozwoju w dziedzinie przenoszenia myśli, ponieważ akurat *to* zdanie bardzo chętnie bym Mistrzowi wysłała…)

VI

Po tych dwóch miłych rodzinnych dniach już we wtorek czeka nas żenująca scena pod tytułem *Wskrzeszenie Łazarza* – tę świętokradczą nazwę wymyśliłam ja, ale Hedvika twierdzi, że nie wydaje się jej zabawna. Z jednej strony ją rozumiem. Od rana jest tak zdenerwowana i bezpodstawnie podminowana, że pomyśleć by można, iż nie będziemy świadkami błahego zmartwychwstania Łazarza, ale czeka nas powrót do żywych samego Chrystusa… Cha cha… Dziś znów jestem w formie! Nasz Kopciuszek spędza w łazience prawie półtorej godziny, a kiedy wreszcie wychodzi, ma umyte włosy, całkowicie niepotrzebny makijaż i oczywiście pachnie perfumami. Oby nasz pacjent był w stanie to chociaż docenić – myślę prześmiewczo, ale nie mówię nic.

Na oddział anestezjologii i intensywnej terapii prowadzi nas aż dwóch felczerów. Młodszy, zaledwie czterdziestoletni doktorek ostrzega Hedvikę, że Mojmir jest obecnie *bardzo zdezorientowany.*

– Zawsze taki był – mówię błyskotliwie, ale Hedvika, a tym bardziej żaden z tych sucharów w białych płaszczach nawet się nie uśmiechają. Urażona wyciągam telefon i udaję, że czytam jakiegoś zabawnego SMS-a, żeby pokazać im, że jestem niezależna i mam własne, pełnowartościowe życie. Żona Mistrza znów jednak jest bliska płaczu. Próbuję trochę ją odstresować, więc wsuwam telefon do kieszeni i szybko opowiadam jedną kazuistykę z bardzo zabawnej książki amerykańskiego psychiatry Oliviera Sacksa *Mężczyzna, który mylił żonę z kapeluszem* – lecz pomimo iż historia,

którą wybrałam (opowiadanie tytułowe), jest naprawdę wyjątkowo zabawna, tym razem również nikt z obecnych się nie śmieje.

– To może być dla pani szok – mówi poważnie starszy lekarz, patrząc już tylko na Hedvikę. – Teraz, tuż po wybudzeniu ze śpiączki farmakologicznej, naprawdę może pani nie poznać.

To na*prawdę* przynajmniej trochę podnosi mnie na duchu. Czyli jednak moja poprzednia dowcipna uwaga została zapamiętana. Jednocześnie nie przestaję mieć nadziei, że Mojmir rzeczywiście Hedviki nie pozna, ponieważ wzajemna obcość przyniosłaby tym dwóm gołąbkom same korzyści… Hedvika wreszcie zrozumiałaby, co jest w życiu najważniejsze i zaczęłaby zajmować się istotniejszymi sprawami – uśmiecham się w duchu. I istotniejszymi ludźmi. Na przykład mną.

Stoimy przed drzwiami. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu przypomina mi się Boże Narodzenie z dzieciństwa: zawsze stawaliśmy z bratem przed drzwiami naszego skromniutkiego pokoju dziennego, kiedy tata zapalał w środku świeczki i zimne ognie – i dopiero gdy wszystkie płonęły, dzwonił małym, szklanym dzwoneczkiem z obdartą złotą farbą… Na druciku kiedyś wisiał koralik, ale później się stłukł, więc tata zastąpił go ciężarkiem wędkarskim. To wspomnienie niespodziewanie mnie wzrusza, co Hedvika błędnie interpretuje i kładzie mi rękę na ramieniu. Lekarz dla odmiany kładzie dłoń na klamce – ale nagle ogarnia go zwątpienie.

– Na pewno jest pani gotowa? – pyta Hedviki.

Znów nawet na mnie nie patrzy, ale muszę w duchu przyznać, ze młody felczer ma pewien talent dramatyczny. Jednocześnie czuję silne podejrzenie, że z całej tej sytuacji czerpie małostkową radość. Lecz Hedvika na podobne aspekty psychologiczne nie zwraca w ogóle uwagi. Od dłuższej chwili nie jest w stanie nic powiedzieć, więc tylko niepewnie kiwa głową.

– Proszę się nie przestraszyć – mówi lekarz. – Był w stanie śmierci klinicznej. Zobaczy pani, że z czasem dojdzie do siebie.

Hedvika tylko mruga przerażona.

– Oczywiście – potwierdzam zamiast niej pocieszająco.

Lekarz ostatni raz kontroluje Hedvikę wzrokiem – a potem otwiera drzwi.

Muszę od razu ugryźć się w wargi, żeby nie zaśmiać się głośno. Na coś takiego warto było tyle czekać – myślę zadowolona.

Uwodziciel literatury czeskiej leży na łóżku ubrany tylko w ciemnoniebieski fartuch, który jako tako zakrywa mu górną część ciała, lecz od pasa w dół jest golutki jak palec – a na dodatek z tego jego żenująco skurczonego instrumenciku wystaje przejrzysty kanalik, przez który akurat teraz, na naszych rozbawionych oczach, leniwie spływa strumyczek intensywnie żółtego moczu, a jego krótka wędrówka kończy się w małym woreczku foliowym, leżącym nonszalancko na prześcieradle! To bez wątpienia jest Zdjęcie Roku! – myślę. Lekarz szybkim ruchem przykrywa Mistrza, a nietrzymająca moczu osobistość najwyraźniej dopiero po tym drobnym akcie dyskrecji poznaje, że ma wizytę. Mojmir mruży oczy i dopiero teraz naprawdę nas widzi. Mruga zdziwiony.

– Kochanie? – mówi pytająco.

Nie, niestety nie pomylił jej z kapeluszem, lecz rozpoznanie doskonale znanej twarzy małżonki stanowi w moich oczach marną demonstrację zdolności kognitywnych. Niemniej Hedvika, ku mojemu zdziwieniu, jest zachwycona.

– Tak, skarbie, to ja!

Po jej policzkach oczywiście płyną łzy.

Wstyd mi za nią. Tak się wzruszać nad tyranem!

– Co się stało? – pyta Mojmir.

– Trochę nam pan po tym swoim maratonie wykitował, panie sportowcu! – informuję go sucho.

Mojmir znów mruga, obraca ku mnie bladą twarz i gapi się z niedowierzaniem. Nawet po wielu długich sekundach nie zdobywa się na nic, co można by uznać za odpowiedź, a tym bardziej za jeden z tych jego idiotycznych żarcików. Żyje, ale życie, które znał, najwyraźniej właśnie się skończyło – myślę ogarnięta żądzą zemsty.

Potem Hedvika bardzo emocjonalnie i zbyt rozwlekle relacjonuje mu niedawne wydarzenia. Mojmir i obaj lekarze słuchają z zainteresowaniem.

– Czyli przeżyłem? – pyta w końcu Mojmir.

Bezgraniczna głupota tego wypowiedzianego zupełnie poważnie pytania szczerze mnie rozśmiesza. Nie wytrzymuję.

– Nie – śmieję się. – Niestety nie, Mistrzu! Jest pan najsztywniejszym sztywniakiem w parku sztywnych!

Ale tylko mnie wydaje się to zabawne. Hedvika i obaj lekarze rzucają mi spojrzenia pełne wyrzutu, lecz ja mimo to śmieję się tak głośno, aż trzęsą mi się fałdy na brzuchu. Do diabła z tym – myślę. To było tego warte! Mój śmiech oczywiście przyciąga uwagę Mojmira.

– Kim jest ta pani? – pyta Hedvikę.

Spodziewałabym się, że po takim pytaniu poczuję się urażona, ale dzieje się coś zgoła innego: kiedy tylko dociera do mnie, że Mojmir nie żartuje i że naprawdę mnie nie poznaje, odżywa moja nadzieja na nowe życie, na życie bez tyrana.

Jest jak warzywo – myślę z cichą radością. Pójdzie do wariatkowa. Może nawet przywiążą go do łóżka. Co jakiś czas odwiedzimy go tam i przyniesiemy czekoladę albo banana – a potem z olbrzymią ulgą (do której wstyd będzie się nam przed sobą przyznać) wrócimy do domu… Lecz życie rzadko kieruje się naszymi marzeniami – przypominam sobie –

muszę więc zapomnieć o *bezużytecznych pragnieniach* (gdzie ja czytałam to sformułowanie) i zamiast nich skupić się na przygotowaniach do nieuchronnego powrotu Mistrza do domu.

VII

Po kolejnych dziesięciu minutach naszej całkowicie zbytecznej obecności Mistrz bezczelnie usypia.

Najwyraźniej wizyta dobiegła końca, ale Hedvika wciąż przygląda się Mojmirowi – z taką fascynacją i jednocześnie z tak bezgranicznym oddaniem, jakby nie był to kimający (i lekko chrapiący) płytki humorysta, tylko przynajmniej śpiący Dalajlama we własnej osobie… Na szczęście po chwili przychodzi lekarz, który pokrótce zapoznaje nas z kolejnymi etapami kuracji, dzięki czemu moje rozczarowanie słabnie – staje się bowiem jasne, że powrót Mistrza do domu (ku wielkiemu rozczarowaniu Hedviki i ku mojej niezmiernej uciesze) jest jeszcze bardzo daleki. Najpierw czeka go długi pobyt w klinice, potem przynajmniej na miesiąc zostanie przewieziony do sanatorium na Malvazinkach, a następnie przez minimalnie dwa miesiące będzie chodzić z praskiego mieszkania na rehabilitację – a do domu wróci dopiero, gdy po wielu kolejnych tygodniach będzie dzięki tamtejszym ergoterapeutkom w stanie samodzielnie zawiązać sznurówki swoich szytych ręcznie włoskich półbutów… Chi chi!

Ktoś tam na górze darzy mnie sympatią – myślę pełna wdzięczności i pokory, patrząc na niebo.

– Wielkie nadzieje – mówię na głos, kiedy wreszcie wychodzimy (Nie tylko Mistrz czyta…).

– Co? – nie rozumie Hedvika.

– To taka powieść Dickensa, kupimy ją i przyniesiemy następnym razem. Ten tytuł doda mu energii – improwizuję błyskotliwie, chociaż osobiście dużo chętniej kupiłabym Mojmirowi DVD z filmem *Wracaj do grobu*! Cha cha! Znów dziś jestem w formie – i szczerze żałuję, że moich popisów słownych nie słyszy śpiący Mojmir. Odczuwam radość, choć z drugiej strony jest dla mnie jasne, że na wytęskniony powrót do domu w Sazawie muszę jeszcze poczekać, ponieważ Hedvika na pewno będzie upierać się, żebyśmy przez cały ten czas mieszkały w Pradze – w ciasnym, trzypokojowym mieszkaniu, żeby być blisko Mistrza.

Nie można mieć wszystkiego – myślę.

Lecz ostatecznie, ku mojemu zaskoczeniu, i tak jest całkiem nieźle.

VIII

Tak jak piękno egzotycznych krajów może oczarowanemu turyście częściowo wynagrodzić kiepską jakość hotelu, tak i nasze kolejne wizyty w klinice były tak zabawne, że częściowo zrekompensowały mi pobyt w skromnym praskim mieszkaniu – bowiem Mistrz wbrew swej woli zmienił się komika! Jego uwaga jest rozproszona jak stado wygłodniałych much, a pamięć przypomina dziurawe wiadro, do którego wlewa się wodę, żeby umyć podłogę (no proszę, a podobno metafory są trudne!). Prawie każde zdanie Mistrza jest świetnym numerem kabaretowym. Wprawdzie jego malutki kutasik niestety już jest zakryty, ale i tak za każdym razem naśmieję się do syta. Hedvika bynajmniej – nie rozumiem, dlaczego wyborne dowcipy Mistrza zawsze pogłębiają jej i tak już głęboki smutek. Przecież rozrywka jest naprawdę przednia!

Dla lepszej orientacji podam kilka przykładów: stoimy przy łóżku niczym cztery narecznice (ja, Hedvika i Sara z Basią), ale nikt nic nie mówi – nawet nasz kiedyś tak złotousty Mistrz nie zdobywa się na choćby jedno słowo. Muszę przyznać, że cisza jest naprawdę przygnębiająca. Pierwsza nie wytrzymuje Basia.

– Jak ci jest, tato? – pyta.

Mistrz najwyraźniej sądzi, że córka pyta *Co* ci jest, tato?, ponieważ od razu odpowiada:

– Spadłem z roweru, kochanie, wiesz? W Ameryce Południowej.

Milczymy.

– Bolało? – pyta Sara.

Ta dziewczyna sobie w życiu poradzi – myślę.

– W Brazylii przy wodospadzie Iguaçu – dodaje Mojmir, żeby przekonać nas i siebie, ale nagle traci rezon. – A może jednak w Argentynie?

Basia zaczyna coraz szybciej mrugać, a potem wybiega z sali.

– Miałeś inny wypadek – informuje ojca Sara z pretensją w głosie. – Startowałeś w maratonie, pamiętasz? A na mecie pękła ci aorta.

Ja i Hedvika patrzymy na nią dumne i wzruszone.

– Pękła – kiwa głową zadowolony Mojmir. – Pękła mi opona szosowa. Nie miałem terenowej.

Milczymy.

– Następnym razem weź tam ze sobą obie – mówi Sara dzielnie. – Szosową i terenową.

– Gdzie *tam*? Gdzie mam je wziąć? Te opony? – pyta zdezorientowany pan Pamięć Narodu.

– Do Argentyny? – sugeruje niepewnie Sara.

Mistrz równie niepewnie przytakuje – i usypia.

Druga wizyta jest jeszcze bardziej dramatyczna, bo Mojmir (przynajmniej na początku) wygląda całkiem normalnie. Wprawdzie mówi powoli, ale dość sensownie. Ponieważ wciąż zapomina, co powiedział przed chwilą, często się powtarza – ale logice jego wypowiedzi nie można niczego zarzucić. Lecz później następuje niespodziewany zwrot.

– Jak tu w ogóle wjechałyście, na szczyt takiej stromej góry? – pyta nagle zdziwiony.

Wprawdzie lekarz kilkakrotnie ostrzegał nas, że musimy mózgowi Mistrza, *wyraźnie uszkodzonemu* w czasie śmierci klinicznej, wiele

wybaczyć, ale mimo to nikt z obecnych nie chciał udawać, że leżąca na łagodnym zboczu klinika znajduje się na *szczycie stromej góry.*

Jako pierwsza odzywa się Basia, co mnie (najwyraźniej jako jedyną z obecnych) w ogóle nie zaskakuje. W odróżnieniu od pozostałych rozumiem bowiem, że dziesięcioletnie dzieci w swej rozkosznej naiwności wierzą jeszcze w możliwość ludzkiego porozumienia, i to nawet, jeśli rozmawiają z głupkiem.

– Którą górę masz na myśli, tato? – pyta dziewczę usłużnie.

– No przecież Komorní Hrádek! – odpowiada ojciec zdziwiony, prawie zirytowany, podnosząc nawet głos, jakby tym na wpół zidiociałym, całkowicie zdezorientowanym elementem naszej grupki nie był on, tylko Basieńka i my, pozostałe. Basia znów wybiega z pokoju. Nigdy o żadnym Komorním Hrádku nie słyszałam, ale Hedvika wyjaśnia mi, że jest to mała wioska na szczycie stromej góry koło Choceradów.

– Czyli przynajmniej ta góra się zgadza – mówię na pocieszenie.

– Tak, góra się zgadza – odpowiada pustym głosem Hedvika.

IX

Przy trzeciej wizycie lekarze również ostrzegają nas, że wszystkie ewentualne postępy pana pisarza będą *bardzo powolne* i że nie powinnyśmy mieć z Hedviką *przesadnych oczekiwań.*

– Nigdy ich wobec niego nie miałyśmy – żartuję błyskotliwie, ale jak zwykle nikt się nie śmieje. Przychodzą mi do głowy jeszcze dwa bon moty (pierwszy o tym, że *nie mieć przesadnych* oczekiwań było w przypadku Mojmira zawsze równoznaczne z *nie mieć żadnych* oczekiwań, a drugi o tym, że nawet dobry bon mot jest do niczego, jeśli nie ma się odpowiedniej widowni), lecz na wszelki wypadek zachowuję je dla siebie. Zdrowe poczucie własnej wartości najskuteczniej odbiera słaba publiczność – myślę jeszcze. Hedvika na widok tego na wpół zidiociałego wraku, w który zmienił się nasz dzielny pisarz i maratończyk, znów nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, biedna Basia po swoim poprzednim smutnym doświadczeniu też milczy jak zaklęta, zatem sztafetową pałeczkę rozmowy z pacjentem musimy dziś przejąć ja i Sara.

– Cześć, tato. Jak się masz? – pyta najpierw ostrożnie Sara.

Mojmir bardzo długo milczy.

– Nieźle, jakoś daję radę, Saruniu – mówi wreszcie.

Poznał mnie! – krzyczy triumfalny wzrok Sary. I wie, jak mam na imię!

Rozochocona postępami Mistrza postanawiam podnieść poprzeczkę na kolejny stopień kognitywnej skali trudności. W tym celu mówię dobrotliwym, przyjaznym tonem.

– Siemanko Mistrzu, jak leci? – celowo pytam luźno, żeby (gdzieś na trzecim planie wypowiedzi) pokazać temu przeciętnemu pisarzynie próbę dostosowania się do jego tymczasowo bardzo prymitywnego słownika, ale on tylko gapi się na mnie bez słowa.

– Co z panem? To była młodzieżowa forma zwykłego pytania *Jak się pan ma?* – mówię wciąż wesoło. – Staram się iść z duchem czasu.

Czyż mogłam być wobec tego szowinistycznego spódniczkarza milsza? Nie mogłam. Czy tym jednym pytaniem wyciągnęłam z szafy jakiegoś trupa? Nie wyciągnęłam. Czy moje pytanie nie było gestem dobrej woli? Było.

A wiecie, co ten łajdak, ten szambowóz rozpryskujący śmierdzące, brązowe, słowne fekalia po zielonych łąkach każdej choćby odrobinę szlachetniejszej dyskusji odpowiada?

– Niech się pani łaskawie pocałuje w dupę, madame.

Zobaczcie: człowiek, który od trzydziestu pięciu lat tytułuje się mianem pisarza, po raz kolejny zadowala się pierwszoplanowym przekleństwem. Rzekomo najpopularniejszy czeski prozaik – a nie stać go na porządną, kulturalnie obraźliwą ripostę!

Przy naszej czwartej wizycie lekarze przekonują Hedvikę, że stan prominentnego pacjenta poprawia się z dnia na dzień – ale według moich nieco obiektywniejszych obserwacji żadnych większych postępów na razie nie widać.

– Tato, to dla ciebie – mówi jedenastoletnia Sara i ostrożnie kładzie mu na łóżku kawałek mlecznej czekolady Milka, którą kupiła mu sama za własne pieniądze.

– Uważaj, nie poparz się! – krzyczy Mojmir i przestraszony ciska czekoladą i resztką sreberka o ścianę. – To ogień!

– To tylko *czekolada*, tato – mówi wstrząśnięta Sara na skraju płaczu.

– Nie, nie, uważaj, skarbie – powtarza Mojmir z dość dziwaczną troską – to naprawdę jest ogień!

Dziecko na progu okresu dojrzewania wstaje i niemal identycznie, jak niedawno jej siostra, wybiega z pokoju.

– Co się jej stało? – dziwi się nasz zdezorientowany intelektualista. – Poparzyła się?

– Tak, tato – mówi niespodziewanie Basia. – Spłonął jej palec.

Śmieję się, ale Hedvika patrzy na męża z niewypowiedzianą troską. Zdziwiony Mojmir milczy, co najwyraźniej dodaje Basi odwagi.

– Ale to nie szkodzi, tato. Ma ich jeszcze dużo, prawda?

– Tak – odpowiada posłusznie Mojmir.

Zastanawia się.

– Ile? – pyta poważnie.

Teraz również Basia nie traci głowy.

– To ty mi powiedz, tato. Ile palców jej zostało?

Mojmir krótko liczy.

– Dziewięć! – oświadcza dość pewny siebie, a my bijemy mu brawo. Ale Mojmir i tak wciąż wygląda na przerażonego. Najwyraźniej już rozważa, na ile strata jednego palca obniża wysokie notowania przyszłej panny młodej.

Śmieję się głośno. Te wizyty to naprawdę świetna rozrywka.

Ochoty do żartów nabierają – ewidentnie zachęcone moją odwagą – również obie córki, dość już znudzone szpitalnymi odwiedzinami (bez względu na fakt, że są tu dopiero po raz czwarty).

Sara, która już wróciła, ale ma jeszcze trochę zaczerwienione oczy, wyciąga z kieszeni różowy telefon i pokazuje go ojcu.

– Tato, a wiesz, co to jest?

– Oczywiście, że telefon – mówi Mojmir prawie obrażony.

– Dobrze – chwali go Sara z przesadnie afektowaną wymową, której z różnymi wynikami używa przy tresurze psa. – To powiedz mi jeszcze – sprawdza go znowu – kiedy mam urodziny?

Mojmir się waha. Najwyraźniej nie wie.

– To chociaż miesiąc! – prosi go Sara smutno, ale ojciec nie przypomina sobie nie tylko miesiąca, ale ku swojemu wielkiemu zawstydzeniu nawet roku narodzin córki.

– A ja? – pyta Basia. – Kiedy się urodziłam?

– Trzydziestego pierwszego marca. Tak samo jak ja – mówi Mojmir bez śladu radości z tego nieistotnego zwycięstwa. Potem spogląda na swoją starszą córkę. W oczach ma łzy.

– Przykro mi, Saruniu – mówi. – Kocham was obie. Tak samo mocno. To naprawdę nie moja wina, że ten mój chory mózg niektóre rzeczy pamięta, a niektórych nie.

– To nic, tato – mówi Sara, ale też zbiera się jej na płacz. – Wszystkiego cię nauczymy.

X

Obecne kłopoty Mistrza z pamięcią niestety nie ograniczają się bynajmniej do typowego *zapominania*. Nie chodzi bowiem tylko o to, że nasz gwiazdor źle pamięta niedawną przeszłość (o wydarzeniach z czasów wystarczająco odległych, na przykład z liceum, opowiada bez problemów, natomiast większości wydarzeń z ostatnich miesięcy, tygodni, dni, godzin i minut nie pamięta w ogóle) – dużo większym problemem jest to, że mózg Mistrza, pozbawiony w czasie śmierci klinicznej dopływu tlenu, teraz z nieznanych przyczyn podsuwa mu również informacje o wydarzeniach, które nigdy nie miały miejsca i które najwyraźniej są jedynie produktem ubocznym tajemniczego działania jego fatalnie uszkodzonych komórek mózgowych.

Później, kiedy jest już zdolny do minimalnej autorefleksji, Mojmir pisze o tym szalonym okresie: *Mój mózg przestał być zwyczajnym urządzeniem rejestrującym i stał się czymś na kształt kamery do nagrywania filmów sci-fi klasy B, pełnych dziwacznych, lecz nudnych wątków i nielogicznych zwrotów akcji.*

Spodziewałby się – pisał dalej – że omamy chorego mózgu *pisarza* będą przynajmniej trochę bardziej pomysłowe, kreatywne, wysmakowane, a przede wszystkim zabawniejsze… Cóż to za omam, w którym on, ambitny artysta, od początku do końca tylko macha nogami w strumyku?! (Bowiem właśnie to śniło mu się przedwczoraj.) Jeśli już ma nieprawdziwe, zdeformowane sny, wizje czy wspomnienia, dlaczego nie są chociaż dzikie, niezwykłe i podniecające? Na przykład jak po LSD? Dlaczego nawet pisarzowi, czyli logicznie rzecz biorąc człowiekowi z ponadprzeciętną

fantazją, jego sparaliżowany mózg – ale również w pewnym sensie *uwolniony* mózg – nie serwuje ciekawszych halucynacji niż ta, że nie był operowany w klinice, tylko w jakimś dziwnym ośrodku wojskowym w Komorním Hrádku? Skąd na Boga takie coś wzięło się w jego głowie? – pyta zaskoczony Mojmir. Dlaczego z równą wiarygodnością nie wydaje mu się, że siedzi w tawernie na Hvarze, popijając schłodzony Plavac mali? I dlaczego zamiast takich przyjemnych wizji jest teraz pewien, że jeszcze przed chwilą leżał na jakimś placu zabaw i obtaczał w piasku psie, czy może nawet ludzkie gówno…? Czy nie padł ofiarą wyrafinowanego, sadystycznego dowcipu samego Stwórcy, który losowo wybranym osobnikom (a może osobnikom wybranym według jakiegoś nieznanego Mojmirowi klucza) detonuje aortę, ale jednocześnie dziesięciu procentom z nich (znów wybranym całkowicie *nietransparentnie*) nie daje się wykrwawić i miłościwie pozwala im przeżyć… a potem z rozbawieniem obserwuje, czy radzą sobie ze wszystkimi świeżo nabytymi upośledzeniami – tak jak kiedy sadystyczny chłopiec wyrywa chrząszczowi większość nóżek, a potem z chorą radością obserwuje, jak owad komicznie próbuje uciekać…

I dlaczego Mojmirowi jego kiedyś całkowicie zdrowa fantazja literacka (nie mówiąc o fantazji dodatkowo sty mulowanej kieliszkiem wina lub jointem) potrafiła w ciągu kilku godzin podać na złotej tacy więcej potencjalnych historii, niż dziś mózg podsuwa mu przez cały tydzień? Dlaczego inspiracja, ten rzekomy dar od Boga, chwilowo proponuje mu tylko tak banalne bzdury jak machanie nogą w strumyku? Gdzie jest jakiś oryginalny pomysł, dowcipny dialog, niespodziewany wątek? Gdzie choć kilka głębszych uwag psychologicznych? Skąd do cholery wytrzasnąć jakąś pointę z machania dziecięcych nóżek w strumyczku?

Albo te fotele ratanowe z tarasu w Sazawie: dlaczego, na Boga, był *absolutnie* pewien, że rok temu osobiście kupił je w sklepie Flamant w pasażu Myslbek? Dlaczego jego mózg podsuwa mu nawet takie szczegóły, skoro całe to wspomnienie jest jedynie fałszywą wizją? To znaczy *rzekomo* fałszywą.

– Zawsze, jak wyjeżdżacie z dziewczynkami, chowaj te ratanowe fotele z tarasu do środka, żeby nikt ich nie ukradł – prosi żonę podczas naszej kolejnej wizyty w klinice.

– Jakie fotele z tarasu? – pyta zdziwiona Hedvika.

Obserwują się wzajemnie. Zostawiła je na zewnątrz i ktoś je ukradł – myśli gorzko Mojmir. A może nawet je sprzedała.

– Sprzedałaś je?

Hedvika przysięga na zdrowie obu dzieci, że na tarasie nie mieli nigdy żadnych ratanowych foteli.

– To tylko kolejny wytwór twojego mózgu – mówi pojednawczo.

Ale Mojmir jest wściekły. Mógłby zeznać pod przysięgą, że te pieprzone fotele tam były… Kupił je przecież w zeszłym roku, wiosną, w maju, dałby sobie głowę uciąć! I jeszcze tego samego dnia, co przywiozła je z Pragi furgonetka, siedzieli na nich z sąsiadami! Dlaczego więc do diabła Hedvika wciska mu teraz kit? Boi się powiedzieć, że kiedy on leżał w klinice, trzymała fotele na dworze tak długo, aż ktoś je zwinął? – zastanawia się gorączkowo Mojmir, kiedy żona sprząta mu w szufladzie białej, metalowej szafki przy łóżku. Teraz będzie musiał kupić te tanie, plastikowe fotele z OBI – myśli ponuro. Żona obserwuje go nerwowo. Dlaczego jest taka zdenerwowana – zastanawia się Mojmir. Czyżby miała coś na sumieniu?

Nagle się otrząsa. Uświadamia sobie, że chory mózg na długi okres przeniósł go gdzieś, gdzie w czasie krótkiej wizyty swojej ukochanej żony

zdecydowanie być nie chciał. Dlaczego, na Boga, tak bezsensownie ją obwinia? Czy kiedykolwiek miał chorobliwą obsesję na punkcie jakichś zasranych mebli ogrodowych? Albo jakichkolwiek innych mebli? Przecież meble od zawsze miał w sumie w dupie. Czy te kurewskie fotele ratanowe są tajnym obiektem jego ukrytych pragnień? Oczywiście, że nie, więc naprawdę nie rozumie, dlaczego ta ochujała firma transportowa o nazwie Twoja Myśl Sp. z o.o. dostarcza mu do głowy tego typu gówna!

Mojmir się wścieka i jak zawsze w takich sytuacjach mówi nieznośnie wulgarnie (i do tego tak szybko, że często nie nadążam z zapisywaniem). Ale choćby się denerwował – nie zmienia to faktu, że prawdziwa przyczyna jego złości tkwi gdzieś indziej – tyle że musiałby mieć odwagę, by to przyznać. W rzeczywistości Mistrz nie wścieka się dlatego, że chory mózg nie zaopatruje go w wystarczającą ilość nośnych pomysłów i dostarcza jedynie bzdury typu *machanie nogami w wodzie* lub *fikcyjne fotele ratanowe* – nasz racjonalista wciąż się wścieka, bo kilka dni temu na własnej skórze przekonał się, że życie pośmiertne istnieje.

Mojmir złości się sam na siebie, ponieważ wie, że właśnie wrócił z miejsc, z których według jego światopoglądu nie ma powrotu. Zrozumiał, że kilka dni temu w jednej dramatycznej chwili przeżył (jak później sam to określi) swoje *noetyczne Waterloo* – i mimo iż nie chce tego przyznać, od tego kluczowego momentu zaczyna się zmieniać.

Wprawdzie jest to zmiana powolna, ale w swoich skutkach rewolucyjna.

To przewrót kopernikański w myśleniu Mojmira.

Uparty racjonalista chyba po raz pierwszy w życiu zaczyna wątpić w swój światopogląd.

Jeśli chciałabym obrócić przeciw niemu jego własny sarkazm, z którym już tyle razy kąśliwie mówił, a nawet pisał o życiowej drodze Hedviki i jej

godnym podziwu rozwoju duchowym, musiałabym teraz złośliwie stwierdzić, że reinkarnacja Mojmira przebiega bez zarzutu.

Ale wiem, że będzie to długi i bolesny proces.

Najpierw musi się wyleczyć.

XI

Bez względu na sukcesy, czy raczej pomyłki w leczeniu, trudny proces reinkarnacji – oczywiście całkowicie uzależniony od służby zdrowia – jest na dobrej drodze. Zwierzę o imieniu Mojmir boleśnie przeistacza się w człowieka.

Na początku Mistrz poniekąd pragmatycznie (ściślej mówiąc: *z wyrachowaniem*) zmienia swój stosunek wobec Boga.

Jak wszyscy od dawna wiemy, w dotychczasowych wywiadach telewizyjnych, radiowych czy prasowych Mojmir bez najmniejszego wstydu, a nawet z absurdalną pychą (tak typową dla niedouczonych ignorantów jego pokroju!) od lat określał się mianem *butnego racjonalisty,* a czasem (szczególnie, kiedy przed spotkaniem autorskim trochę się wciął, co przecież zdarzało się dość często), wręcz *ateisty*… Tylko w wyjątkowych sytuacjach, kiedy bezbłędnie wyczuwał, że powinien swoje niedojrzałe zachowanie trochę stonować (głównie podczas spotkań autorskich na katolickich Morawach Południowych), ten genialny strateg marketingowy (co zawsze było jedynie określeniem zastępczym dla *obrzydliwego populisty*), ograniczał się do jednego, asekuracyjnego, tchórzliwego, i w dodatku skradzionego aforyzmu.

– W Boga, szczerze mówiąc, nie wierzę, ale brakuje mi go! – oświadczał w takich chwilach i z fałszywą skromno ścią patrzył w wilgotne oczy tych wszystkich przyjaźnie kiwających głowami starszych dam z pierwszych rzędów.

W pierwszych dniach po operacji i wybudzeniu ze śpiączki bluźnierczy stosunek do Stwórcy, całego chrześcijaństwa oraz wszystkich pozostałych religii dramatycznie się nasilił. W szpitalnej sali, gdzie oczywiście nie było żadnych wierzących czytelniczek, Mistrz zapalczywie, a czasem wręcz wulgarnie Boga łajał, przez co pielęgniarka, która w nocy słyszała te bluźniercze inwektywy (a później ze szczerą troską opowiadała mi o tych ekscesach), zastanawiała się, *czy pan pisarz przypadkiem nie naruszył surowego zakazu spożywania alkoholu.*

Mnie również ta myśl od razu przyszła do głowy.

Krótko mówiąc, Mojmir odczuwa *uzasadnioną złość*… Cha cha! Jest wzburzony rzekomą krzywdą, która go spotkała.

– Za co mnie tak karzesz, Boże? – nie wstydzi się pytać kilka razy dziennie.

Zwróćcie łaskawie uwagę na komiczny paradoks: Mojmir nie wierzy w Boga, ale jest na niego zdrowo wkurzony… Przyznaje, że pęknięta aorta rzeczywiście mogła *być* jakimś znakiem od Boga (choć dotychczas niezrozumianym), ale jednocześnie wyrzuca Bogu, że nie wysłał mu informacji w jakiś bardziej cywilizowany sposób… Dlaczego Bóg, ta sadystyczna świnia, bez jakiekolwiek wcześniejszego ostrzeżenia, karze go od razu tak surowo?

– Było wiele ostrzeżeń – wyjaśniała mu zawsze Hedvika – ale ty nie chciałeś ich słuchać…

(Wciąż nie przestaje mnie zadziwiać, jak bardzo rozwinęła się duchowo przez te kilka lat u mego boku.)

– *Zrozumiałych* ostrzeżeń bym wysłuchał! – krzyczy Mojmir. – Ale żadnych takich nie dostałem, więc niech ten twój złośliwy, żądny zemsty Bóg się ode mnie odpieprzy!

Lecz jakkolwiek by Mojmir nie bluźnił i wściekle zaprzeczał nieskończonej Boskiej mądrości i miłości (czy nawet istnieniu Boga), jednemu zaprzeczyć nie może, choćby nawet bardzo chciał: swojemu doświadczeniu życia pośmiertnego.

Sam siebie *nasz* racjonalista oszukać nie potrafi.

Jego problem polega na tym, że tę szpitalną scenę, która – jak twierdzi – do dziś przypomina mu stary brytyjski serial telewizyjny *Randall i duch Hopkirka,* wciąż pamięta z najdrobniejszymi szczegółami. Ten ortodoksyjny zwolennik zdrowego, chłopskiego rozumu na swoje nieszczęście pamięta dobrze (a przynajmniej dużo lepiej, niż by chciał, cha cha!), że *był duchem* – i to wspomnienie go dosłownie niszczy. Na własne oczy przekonał się, że życie pośmiertne istnieje i w związku z tym być może (jak brzmi zaskakująco logiczny wniosek Mistrza) istnieje również wiele innych, pozornie całkiem niewiarygodnych i nierealnych rzeczy, które Mojmir dotychczas określał zbiorczym fachowym terminem *ezoteryczne gówno…* Cha cha!

Załamany Mistrz sądzi, że to odkrycie jest kluczową i największą jego dotychczasową życiową klęską – ale jak prawie przez całe swoje życie, teraz również się myli.

Jeszcze tego nie wie, ale ta sromotna porażka stanowi naturalny element jego reinkarnacji.

Tak, dokładnie tak. Butny racjonalista przeistacza się w pokornego gnostyka.

Niewiarygodne!

Nie chodzi oczywiście o zmianę natychmiastową i dramatyczną, lecz stopniową i powolną, która jednak jest wyraźnie widoczna i w swoich skutkach wręcz rewolucyjna.

Czuję tę nadchodzącą rewolucję w starych kościach tak, jak czuje się nagłą zmianę pogody – a moja złośliwość sprawia, że już nie mogę się jej doczekać!

XII

Mojmir przechodzi reinkarnację jak węże, które przez cały dzień i noc zrzucają starą skórę – tyle że jemu idzie to o wiele wolniej.

W klinice spędza Boże Narodzenie i Sylwestra. Zima wydaje się być Mojmirowi dłuższa i bardziej depresyjna niż kiedykolwiek wcześniej. Już na początku stycznia 2013 roku stan jego zdrowia stabilizuje się na tyle, że można przenieść go z kliniki do sanatorium na Malvazinkach.

To nie jest dla Mojmira dobry okres. Pod oknami pokoju sanatoryjnego znajduje się kort tenisowy, co wywołuje kolejne utrapienie: z jakiegoś nieznanego powodu Mistrz słyszy przenikliwy odgłos odbijanej piłeczki, szurania podeszew o mączkę ceglaną, a nawet te specyficzne postękiwania graczy również w czasie, kiedy na korcie nikt nie gra (szczególnie w nocy) – a gdy wciska sobie do uszu zatyczki i w końcu po północy udaje mu się zasnąć, o trzeciej nad ranem budzi go bardzo wiarygodny sen o tym, że umiera. Wtedy pozostaje mu tylko skontrolowanie rozporka w spodniach piżamy i udanie się do pielęgniarki po tabletki nasenne i uspokajające. Pielęgniarka nigdy nie daje mu więcej niż po jednej każdego rodzaju, żeby mieć pewność, że ten neurotyczny, zrzędliwy celebryta nie popełni na jej dyżurze samobójstwa – nie żeby jakoś szczególnie zależało jej na życiu Mistrza, ale nie chciałaby zobaczyć swojej twarzy na pierwszej stronie brukowca obok zdjęcia trupa pana pisarza… Cha cha!

Wprawdzie na niskim parterze rozległego, a ponadto nieprzyjemnie rozbudowanego sanatorium znajdują się kawiarnia i basen, ale Mojmir ze swoim uszkodzonym na skutek śmierci klinicznej zmysłem orientacji

samodzielnie nie jest w stanie tam trafić (a jeśli jednak próbuje, za każdym razem, naprawdę za każdym razem gubi się i przez długie minuty rozpaczliwie błądzi po labiryncie podziemnych korytarzy). Ponadto twierdzi, że kiedy siedzi tam ze mną, Hedviką i dziećmi przy ciastkach i kawie, ciągle widzi wokół siebie ludzi bez kończyn, na wózkach inwalidzkich lub pacjentów, którzy oprócz tego, że są na wózku, oddychają tylko dzięki dużej butli z tlenem przywieszonej nad oparciem…

– Świat to koszmarne miejsce – wyjawia nam szeptem, kiedy przychodzimy w odwiedziny.

Hedvika w milczeniu głaszcze go po niezwykle wychudzonej ręce, a ja w duchu bluźnierczo też marzę o jakiejś chorobie, żeby również trochę schudnąć. Może zapalenie jelit? – myślę. Albo chociaż dyzenteria?

– Koszmarne miejsce? Dlaczego pan tak myśli? – pytam. – Gdyby powiedział to ktoś inny, na przykład jakiś przegrany biedak, zrozumiałabym to, ale w pańskim przypadku tak silne stwierdzenie brzmi odrobinę niewiarygodnie.

Spogląda znacząco najpierw na moje tradycyjne ciasteczka w kształcie trumienki i wieńca, a potem z obraźliwą pogardą wprost na mnie.

– Proszę rozejrzeć się wokół siebie, madame – mówi sarkastycznie, ale ma pecha, bo wspominany mężczyzna na wózku inwalidzkim już odjechał, a żadnego innego prawdziwego inwalidy chwilowo tu nie ma. Widzę tylko pacjenta z małą, w miarę gustowną protezą prawej ręki oraz pięknie niebieskawy basen.

– Może i świat jest koszmarnym miejscem – przytakuję mimo to – ale akurat dzięki trumience, wianuszkowi i niebieskim basenom staje się trochę znośniejszy, czyż nie?

Mistrz mierzy mnie wzrokiem z pogardą.

– Jeśli do życia wystarczają pani ciastka i basen pełen chloru…

– Do życia nie wystarczają, ale wyraźnie je uprzyjemniają, prawda? – mówię spokojnie. – Trumienka i wieniec wystarczają tylko do śmierci – dodaję błyskotliwie i zaczynam się dziko śmiać. – Nie sądzi pan, że właśnie udał mi się żart za sto punktów? – ale w odróżnieniu od nas, mających zdrowe poczucie humoru, nasz samolubny Mistrz oczywiście tego nie przyznaje. Przecież tylko on potrafi rozśmieszyć naród, prawda?

– Nie. Był pierwszoplanowy. Maksymalnie czterdzieści – mówi skwaszony.

– Pche! – karcę go. – Nie umie pan przegrywać!

Oprócz mnie, Hedviki i obu dziewczynek Mojmira regularnie odwiedza również jego trzydziestoletnia córka z pierwszego małżeństwa Michaela, a także matka i obaj młodsi bracia – a wkrótce zaczynają też pojawiać się sąsiedzi z Sazawy, byłe kochanki i tak zwani koledzy.

Najczęściej przychodzi Felix, najlepszy przyjaciel, pojawiający się z regularnością, która Mojmira szczerze cieszy, a nawet wzrusza. Szczególnie docenia, że jest to jedyny gość, który nie wypytuje zbytnio o tę tragedię na mecie maratonu, przebieg akcji ratunkowej i operacji, a nawet o obecny stan zdrowia Mojmira (a już tym bardziej o kurację). Zatem Mojmir, znudzony, czy wręcz wyczerpany ciągłym obowiązkowym wyliczaniem swoich problemów zdrowotnych, opisami interwencji lekarskich i męczącym przypominaniem sobie wszystkich tabletek, kapsułek i pigułek, które musi codziennie łykać garściami (i których nazwy takie jak Betaloc, ZOK, Atoris, Wellbutrin, Tanyz ERAS, Essentiale czy Nolpaza większość jego laickich gości z nieznanego powodu niemal fascynują), zawsze czeka na wizyty Feliksa z niecierpliwością.

Woli zadawać pytania.

– Jak żyjesz? Wciąż zaprzysiężony kawaler? – zagaduje teraz i oczywiście wie, co odpowie jego najlepszy przyjaciel. Dobrze, że przynajmniej pamięć długotrwałą mam jako tako sprawną – myśli Mojmir, który na przekór swojemu ogólnemu wkurzeniu na życie czuje chwilowo coś na kształt wdzięczności.

– Wiesz, jak to jest – mówi Feliks zgodnie z oczekiwaniami. – Sam sobie gotuję z tego co sam kupię, aż dziw, że jeszcze nie mam tego w dupie…

Mojmir ma wrażenie, że właśnie po raz sto pięćdziesiąty odwiedził jakąś miejscowość turystyczną, ale spodziewaną nudę wciąż przewyższa przyjemne uczucie intymnej znajomości.

– Ale bzykasz, nie? Ciągle tę samą? Tę cycatą?

– Jasne – potwierdza Felix tonem z pogranicza rezygnacji i dumy. – Zawsze najbardziej pociągały mnie piersi, to chyba pamiętasz, nie? – dodaje.

Teraz w jego głosie słychać już tylko zadowolenie.

– Oczywiście – mówi Mojmir, upewniając się najpierw, czy w zasięgu wzroku nie ma nikogo z personelu. – O dziwo, takie bzdury pamiętam…

– Bzdury?! – krzyczy urażony Feliks. – Wielkie cycki to podstawa!

Pomimo że są całkiem sami, Mojmir nie odpowiada.

– Czy może nie? – dodaje po chwili zaniepokojony Feliks.

– Jasne, wiadomo – mówi obowiązkowo Mojmir.

– Wielki cycki są najważniejsze! – poucza go jeszcze Feliks.

Mojmir znów nic nie mówi. Ma dziwne, chociaż nie nieprzyjemne uczucie, że ta tradycyjna *męska* dyskusja, prowadzona z Feliksem po raz Bóg wie który, dziś jakby go nie dotyczyła. To już mam za sobą – uświadamia sobie zaskoczony.

– Ciebie zawsze interesowała i góra, i dół – mówi Feliks.

To nie jest pytanie, tylko stwierdzenie. Feliks ma pamięć zdrową – krótkotrwałą i długotrwałą.

– Jasne.

– A teraz? Po chorobie?

To pytanie również Mojmir rozumie. Skoro w jego życiu zaszło tyle zmian, to dlaczego nie mogłyby zmienić się także preferencje seksualne? Najwyraźniej Feliks to wyczuł.

– Teraz chyba najbardziej pociąga mnie, że tak powiem, *głowa*…

Kolejnym problemem pobytu Mojmira w sanatorium jest to, że jego rodzina i przyjaciele nie potrafią choćby orientacyjnie przewidzieć, ile dodatkowego jedzenia jest w stanie zjeść przeciętny pacjent, mający w szpitalu pełne wyżywienie. Zatem wizyty w pokoju Mojmira wkrótce zmieniają się w orgie niezamawianych przez nikogo dostaw, specjalizujące się – oczywiście poza tradycyjnymi kontyngentami pieczywa, wędlin, kwiatów, bombonierek, herbatników, czekolad, gazet, czasopism i kosmetyków – również w codziennych dostawach owoców i warzyw, wód mineralnych, soków, piw bezalkoholowych, mieszanek orzechowych (pobudzających mózg), jak również najróżniejszych witaminowych, mineralnych i innych suplementów diety. Pokój Mistrza wkrótce zaczyna przypominać stoisko na wpół szalonego straganiarza, który nie może się zdecydować, jakie towary chce sprzedawać.

Bez względu na nadmiar pożywienia Mojmir paradoksalnie prawie nic nie je – więc chudnie.

Jego „stragan" jest przepełniony, produkty szybko się psują, wysokie wieże z czekolad roztapiają się od ciepła, szynka zielenieje, a owoce gniją… Ponadto w całym sanatorium panuje jakiś wirus, który dopada

również Mojmira. Nazajutrz ma czterdzieści stopni, a przy jego przepoconym na wskroś łóżku zbierają się konsylia lekarzy – z czego nawet ignorant Mojmir prawidłowo wnioskuje, że sytuacja jest poważna. Kolejnego dnia temperatura wzrasta do czterdziestu jeden i pół stopnia, lekarze roją się wokół niego jak osy, a moja nadzieja, że nadchodzi koniec tyrana, na chwilę ożywa – lecz i tym razem Bóg tylko się ze mną drażni… Czasem czuję się jak duża, brązowa kotka, przed którą ciągałyśmy z siostrą na wpół martwą mysz przywiązaną do sznurka: za każdym razem, kiedy kotka już prawie miała ją w szponach, moja starsza siostra w ostatniej chwili pociągała za sznurek, mysz odlatywała o metr dalej, a wściekła kotka znów łapką z wyciągniętymi pazurami chwytała tylko powietrze… Dokładnie tak bawi się ze mną los.

XIII

Na kolejną wizytę pozwalają nam dopiero, kiedy naszemu chorowitkowi temperatura spada poniżej czterdziestu stopni – podobno już nie zaraża, ale i tak na wszelki wypadek zostawiamy obie córki u sąsiadki w Sazawie i jedziemy z Hedviką do Pragi bez nich.

Nowością są maseczki, które dostajemy, lecz tym razem również muszę najpierw bez słowa przecierpieć wszystkie te obowiązkowe szepty i czułostki – ale na szczęście potem ordynator prosi Hedvikę do swojego gabinetu, więc Sinobrody musi wypuścić ją ze swoich lubieżnych łap.

– Nareszcie sami – mówi sarkastycznie, kiedy tylko zamykają się za nią drzwi.

– Nie da się ukryć – odpowiadam neutralnie przez maseczkę.

Nie chcę się od razu zacząć kłócić.

– Szybki numerek? – pyta bezwstydnie ten świntuch, mimo że śmierdzi potem, a z ust czuć mu lekami.

– A kysz! – ganię go. Przysuwam do łóżka krzesło na kółeczkach i ostrożnie siadam (na szczęście nie ma podłokietników).

Obserwujemy się wzajemnie. W tej przepoconej piżamie naprawdę nie wygląda najlepiej, ale obawiam się, że dokładnie to samo myśli on o mnie (i to bez względu na to, że jestem wyperfumowana i całkiem zdrowa).

– Jeśli daje mi pani kosza, będzie mi pani musiała coś opowiadać – jęczy.

– A dlaczego pan mi czegoś nie opowie?

Oddycha ciężko, ma mętny wzrok.

– Opowiada gość, a nie pacjent z gorączką – mówi wyczerpany. – To taka sama reguła jak na przykład pierwszeństwo z prawej strony.

O regułach mówi ten, kto przez całe życie je łamie – myślę. Poleca wodę, a sam pije wino!

– Najwyraźniej humor jeszcze pana nie opuścił.

– Mój humor odejdzie ostatni – mówi z wysiłkiem. – Ja może umrę, ale mój humor jeszcze przez kilka lat tu zostanie.

O, nasz pionier śmierci zawsze jest w gotowości. Mojmir to dokładnie ten typ zapatrzonego w siebie pisarza, który nawet w ostatniej godzinie z podrażnieniem dyktuje aforyzmy zdenerwowanej żonie lub asystentce. Cha cha!

– Widzę, że pan trenował – zauważam. – Ta bzdura na temat humoru to ma być pańskie epitafium?

Chyba chciałby odpowiedzieć w podobnie kąśliwym tonie, ale na szczęście ma atak kaszlu, więc musi ograniczyć się do oszczędniejszego i całkowicie neutralnego *Jak się pani* ehm ehm *ma?* Ehm ehm ehm – i dzięki temu mogę spokojnie mówić ja (głośniej, żeby przy tym cherlaniu mnie słyszał).

– Jak pan może pamięta, zaczęłam pisać powieść – przypominam mu.

– To dziwne, ale pamiętam. Ehm ehm. Zawsze prze czuwałem, że kiedyś będzie pani pisać – mówi całkiem poważnie, więc ja, naiwna gęś, znów daję się nabrać.

Dumnie informuję go, że będzie to głębsza i prawdziwsza powieść niż ta jego *Ekożona.*

– A ma pani już tytuł? – pyta nieco zachrypnięty.

– Oczywiście – przytakuję, ale nic więcej nie zdradzam. Kradnie się wszędzie, oczywiście w literaturze również, a nasz Mistrz, który dla

oryginalnego pomysłu, że tak powiem, skoczyłby nawet przez płot, w tej sprawie nigdy nie należał do wyjątków (szczególnie teraz, kiedy pod względem inspiracji jest w dużej mierze impotentem, a dla nośnej fabuły dałby sobie przewiercić kolano, czyż nie?). Krótko mówiąc, Mojmir zawsze kradł i kradnie do dziś jak sroka – przypomnijmy choćby tę jego manierę z cytatami! Mówiąc obrazowo: jeśli przez szprychy przedniego koła swojego roweru nie przeciągnięcie długiego metalowego łańcucha i nie przypniecie go do stojaka, Mojmir zwinie wam go tego samego dnia, i jeszcze będzie robić przy tym minę niewiniątka! Cha!

Ale w końcu nie wytrzymuję.

– Być może zatytułuję to *Ekomąż* – mówię.

Przygląda mi się badawczo.

– Myślałem, że będzie gorzej – stwierdza.

Jest to wprawdzie znana kombinacja Mistrza łącząca pochwałę i obrazę, ale i tak się cieszę. Temperatura powyżej trzydziestu dziewięciu stopni najwyraźniej potrafi zmienić Mojmira w całkiem miłego człowieka – pewnie oprócz potu wychodzi z niego też jad – myślę. Ale potem znów ogarnia mnie lęk, że ten rabuś mózgów mój genialny pomysł bezwstydnie ukradnie – i jest to bardzo silne przeczucie. – Ostrzegam, że na tytuł i temat mam copywright! – mówię zdecydowanie.

– Spokojnie, ja nie kradnę – szepcze zachrypnięty.

Jako prawdziwa dama pozostawiam to bez komentarza, tylko – żeby przećwiczyć sztukę mimicznej aluzji – unoszę sarkastycznie lewą brew, ale poza tym moja twarz pozostaje kamienna, czyli bez jakiegokolwiek wyrazu. Wielokrotnie trenowałam ten japoński styl przed lustrem i muszę nieskromnie powiedzieć, że szczególnie, kiedy jestem, tak jak dziś, umalowana, naprawdę robi wrażenie.

– Niedobrze pani? – pyta Mistrz z udawaną troską.

– Bynajmniej – mówię z dystansem.

Potem widzę, że Mojmir nad czymś się zastanawia, i to nieco odbiera mi to pewność siebie. Z jego myślenia jeszcze nigdy nie wyszło nic dobrego, cha cha!

– A może lepiej zatytułować to *Jeśli nie umiesz, to nie pisz?* – pyta, po czym zaczyna się astmatycznie śmiać, jakby właśnie udał mu się Żart Roku.

– Słyszałam już od pana lepsze dowcipy – mówię.

Chyba trzy – myślę kąśliwie.

– Chyba dwa – dodaję na głos.

XIV

Podobnie jak wcześniej w klinice, tak i teraz w sanatorium Mojmirowi towarzyszy przyjemne uczucie, że ponieważ jest leżącym pacjentem, spada z niego cała odpowiedzialność: nie pisze, nie wysyła e-maili, nie płaci rachunków ani podatków (większością z tych rzeczy zajmuje się teraz Hedvika) i oczywiście nigdzie nie chodzi ani nie jeździ. Podobnie jak wszystkich innych symulantów - to niepodważalne alibi przyjemnie go uspokaja (później wiele razy przypominać sobie będzie ten szczęśliwy okres kuracji).

Postępy w leczeniu są jednak wciąż bardzo powolne. Jeśli Mistrz chce odpowiedzieć mi błyskotliwie, czy wręcz dowcipnie, musi wyrzucić z siebe ripostę w kilka sekund – w przeciwnym razie ją zapomina…

– Będzie lepiej – pocieszają go wszyscy. Albo: – Czas jest najlepszym lekarzem!

Ale czas płynie, a mimo to wbrew najróżniejszym prognozom poprawa nie nadchodzi – nawet ćwiczenia pamięci wykonywane kilka razy w tygodniu pod nadzorem terapeutki (Mistrz powinien jednak ćwiczyć również sam, dwa razy dziennie, lecz jest na to zbyt otępiały, załamany, a przede wszystkim leniwy), nie poprawiają stanu *zepsutej maszyny nagrywającej* (jak obecnie nazywa swój mózg).

Na marginesie: jeszcze rok po rozpoczęciu kłopotów z sercem Mojmir wciąż nie jest w stanie zapamiętać dat narodzin żony i trzech córek (o innych członkach rodziny nawet nie mówię). Za każdym razem, kiedy rano

wstaje z łóżka, nie ma najmniejszego pojęcia, jaki jest dzień czy miesiąc. Porę roku rozpoznaje zazwyczaj, wyglądając przez okno (zawsze sprawdza, jaka jest pogoda, jakie rośliny akurat kwitną albo jak jest ubrana listonoszka – czy wystarczy mu na przykład sweter, czy powinien raczej włożyć płaszcz i wziąć parasol) – i dopiero kiedy listonoszka w jednym tygodniu przez trzy dni się nie pojawia, kupuje termometr zewnętrzny.

Podobnie zdezorientowany jest również w aktualnych wydarzeniach społeczno-politycznych. Wprawdzie przypomina sobie mgliście, że Václav Havel nie żyje, ale kto jest obecnym prezydentem – nie ma pojęcia.

– Zeman – informuje go brat lapidarnie.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie.

Mojmir ma rzekomo natrętne wrażenie, że wrócił do Czech z kosmosu.

Twierdzi, że nie poznaje połowy ludzi i miejsc. W restauracji zazwyczaj nie radzi sobie z trafieniem do toalety ani z powrotem do stolika, a czasem wychodzi bez płacenia albo wręcz przeciwnie – próbuje zapłacić dwa razy... Nie jest w stanie przypomnieć sobie żadnego PIN-u ani hasła do skrzynki e-mail, a co dopiero do bankowości internetowej.

I tak dalej.

– Będzie lepiej – zapewniają go wszyscy, ale progres jest bardzo powolny, a wielu aspektach niestety nie ma go w ogóle.

– Niektóre skutki choroby najwyraźniej są nieodwracalne – pisze załamany Mojmir.

Jedną z pobocznych, lecz dla Mojmira *symptomatycznych* zmian jest zmiana preferencji czytelniczych. Wprawdzie proces zachodzi stopniowo, lecz radykalnie – i zauważamy to wszyscy.

W pierwszym roku rekonwalescencji nasz słynny literat nie czyta w ogóle. Dobrze słyszycie: w ogóle.

– Jak to? – dziwimy się razem z Hedviką. – Pan? Fanatyczny uczestnik czytelniczych orgii? Pan, który czytał jedno opasłe tomisko tygodniowo? Gdzie podziały się pańskie legendarne pięćdziesiąt dwa grube tytuły rocznie?

– W dupie, madame – odpowiada mi ten prostak. – Gdzieś w zasranej dupie...

– Dziękuję za informację – mówię niewzruszona. – A przy okazji: czy nie ma pan, Mistrzu, przypadkiem wrażenia, że te antydepresanty w ogóle nie działają?

Później Mojmir zaczyna czytać, ale są to *inne* książki niż te, które pochłaniał wcześniej: zamiast wulgarnych spowiedzi nimfomanek i płytkich powieści o bankierach z Wall Street wciągających kokainę kilogramami, na biurku Mojmira nagle odkrywamy z Hedviką tytuły, które stanowią dla nas bardzo miłe zaskoczenie.

Lecz przejście Mistrza od powierzchowności do głębi jest powolne: niemal miesiąc swojego nowego czytelniczego życia Mojmir marnuje na bezwartościowe *Wtorki z Morriem*. Główny bohater książki – multimilioner – z własnej głupoty najpierw daje się potrącić przez samochód, a potem resztę życia spędza jako żywy trup na wózku inwalidzkim... Szybko zostaje mu przydzielona młoda opiekunka, z którą – wbrew początkowej awersji – nawiązuje platoniczną więź, ale nawet jej bezgraniczne poświęcenie i bezwarunkowa miłość ostatecznie nie przeszkadzają temu rozpieszczonemu kretynowi na kółkach w poddaniu się w Szwajcarii eutanazji czyli komfortowemu samobójstwu „pod klucz"... Rozumiecie to? Albo polo, ostrygi i golf – albo śmierć! Cha cha! Gdyby ta książka nosiła tytuł *Wtorki z debilem*, byłby on według mnie dużo trafniejszy (a gdyby ten rozkapryszony, sparaliżowany dureń wpadł mi w ręce, zabiłabym go sama

i za darmo – myślałam) – ale w oczach Mojmira te banialuki są najwyraźniej Książką Roku...

Ale trochę odeszłam od tematu.

XV

Po opuszczeniu sanatorium Mistrz już tylko przez pół roku chodzi na rehabilitację do kliniki na Albertowie.

W tej długo planowanej zmianie Mojmir upatrywał w poprzedzających ją tygodniach powrotu do wolności (na Albertowie nie będzie hospitalizowany – wyjaśniła mu jedna z lekarek – będzie tam chodzić codziennie ze swojego praskiego mieszkania), ale jak już wiele razy wcześniej: plany i rzeczywistość bardzo się od siebie różnią.

Okazuje się, że dla Mojmira jest to raczej zmiana na gorsze. W zamian za wizję większej wolności stracił swoje łóżko, swoją spokojną samotność, a przede wszystkim wszelkie przywileje szpitalnego pacjenta. Teraz oczekuje się od niego, że stanie na własnych nogach. Tyle że nasz chromy maratończyk na własnych nogach, mówiąc obrazowo, sam jeszcze się nie utrzyma.

Przez cały pierwszy tydzień na rehabilitację chodzi z mamą – i tym sposobem życie Mojmira cofa się do pierwszych wrześniowych dni 1968 roku, gdy jego dwudziestosześcioletnia matka, przerażona rosyjską okupacją, prowadzała go jako pierwszoklasistę do pobliskiej szkoły.

Po kilku dniach Mojmir poszedł na rehabilitację sam – i nie zabłądził! Poczucie triumfu gorzknie, gdy po chwili (poniekąd trzeźwiej) uświadamia sobie, czego tak wspania łego właściwie dokonał: trafił z Nusli na Albertov... Cały kilometr wzdłuż brzegu rzeki przeszedł zupełnie sam, nikt mu nie pomagał. Nie musiał nawet pytać o drogę…

Nie potrafi sobie wyobrazić, że przez kolejne powiedzmy dwadzieścia lat, które pozostały mu przy średniej długości życia w Czechach, będzie wegetować w ten sposób.

Co tak właściwie go jeszcze czeka? – mówi Hedvice. Jeśli reszta jego życia ma być już tylko tą poniżającą nicością, tą wyczerpującą mieszanką banału, nudy i rzekomo *straszliwie prawdziwego cierpienia* (sic!), czy nie byłoby lepiej, a przede wszystkim bardziej honorowo, tę *zepsutą imprezę* definitywnie zakończyć? – pyta nas Mojmir, który jako doświadczony hedonista wie bardzo dobrze, co się dzieje, jeśli nawet z udanej imprezy nie wychodzi się we właściwym momencie. Twierdzi, że zawsze jest tak samo: choćby na początku było najzabawniej i najlepiej, o czwartej czy piątej nad ranem człowieka nie czeka już nic lepszego niż brudne, zarzygane stoły, pijacki bełkot i ewentualnie kiepski seks z jakąś spoconą, pijaną latawicą z rozmazanym makijażem, z którą seksu uprawiać w ogóle nie chciał i która ponadto tuż przedtem albo zaraz potem z jakiegoś niewyjaśnionego powodu zaczyna się z nim kłócić, a w gorszym przypadku rozpłakuje się… A kiedy wreszcie pozbywa się tej megiery i wyrzuca ją z mieszkania (albo zwiewa z jej mieszkania taksówką), czeka go już tylko całodzienny kac i wyrzuty sumienia… Jeszcze zanim dość roztrzęsiony Mistrz skończy, uświadamia sobie z przestrachem swój fatalny błąd – ale tym razem jeszcze potrafi to naprawić.

– Opowiadasz o tym tak sugestywnie, jakbyś to kiedyś przeżył – mówi właśnie Hedvika ze zrozumiałym zaniepokojeniem.

– Kochanie! – opanowuje się Mojmir. – Przecież ja nie mówię o sobie!

– A o kim? – pyta żona podejrzliwie.

– O nikim. Mówię o ogólnych doświadczeniach mężczyzn. O doświadczeniach moich przyjaciół z branży artystycznej. O ich

męczących problemach – bredzi nerwowo Mojmir i ucieka przed nami wzrokiem.

– Tak? A o kim na przykład? – atakuje go wciąż Hedvika.

– Kochanie! – upomina ją Mojmir surowo. – Czy widziałaś kiedyś, żebym nie potrafił zachować dyskrecji?

– Nie musisz wymieniać nazwisk. O jakich męczących problemach tak właściwie rozmawiamy?

– O jakich problemach? – pyta Mistrz bez sensu.

Ewidentnie próbuje zyskać czas.

– Tak. O czym ty, do cholery, mówisz? – podnosi głos Hedvika.

Mojmir traci grunt pod nogami – ale potem się opamiętuje.

– O tym, że uczestnik takiej imprezy myśli czasem, dlaczego na Boga nie wyszedł wcześniej i sam? I choćby na wpół trzeźwy? Na przykład o jedenastej albo najpóźniej o północy, kiedy impreza była w najlepszej fazie? O tym mówię – krzyczy triumfalnie.

Już wie, że dziś się uratował.

– To była metafora, skarbie, rozumiesz? – kontynuuje. – W ostatnim czasie stawiam sobie po prostu pytanie, dlaczego dobrowolnie, tak jak ci ludzie, godzę się na życie, którego lśniące światła zastąpiła jedna żarówka? Mówię o tym, po co to niepotrzebnie przedłużam? Czy całkowita ciemność nie byłaby lepsza?

– Nasze córki boją się ciemności – odpowiada Hedvika mądrze, a ja częstuję Mistrza należycie ostrym spojrzeniem.

No proszę! Ponad sto stron. Nawet nie zauważyłam kiedy. Zatem jestem w środku swojej opowieści – myślę i od razu robię się czujna, bo dobrze wiem, że środek opowieści to ciężka praca i że *pisarze, którzy się poddają, robią to zazwyczaj właśnie w środku książki, pokonani wymaganiami*

monstrum, które z taką łatwością stworzyli w rozdziałach początkowych – jak pisze Celia Brayfield w książce *Jak napisać bestseller*, a ja całkowicie się z nią zgadzam.

XVI

Półtora roku później Mojmir jest pozornie zdrowy, ale główny problem tkwi właśnie w tym *pozornie* – tłumaczy mi i Hedvice. Jego problemy zdrowotne, szczególnie o charakterze psychicznym (dochodzące aż do teatralnych rozważań na temat samobójstwa) niestety nie mijają – lecz stają się dla otoczenia Mojmira banalne, nieistotne lub wręcz niewidzialne. Tyle że dla niego one są kluczowe. Wciąż (jak dobrze wiemy) ma *olbrzymie* kłopoty z pamięcią i koncentracją, więc codziennie zapomina o ważnych obowiązkach i umówionych spotkaniach, ciągle kontroluje – czy wręcz gubi – pieniądze, dokumenty, klucze oraz telefony i do znudzenia rodziny i przyjaciół wypytuje o coś podenerwowany… Praktycznie przestał uprawiać sport, a poza tym z ciągłego podminowania i niepokoju przejada się, ponieważ twierdzi, że tylko jedzenie (i oczywiście alkohol, ale ma zakaz picia) potrafi go na chwilę uspokoić… Jego rzekomo idealna *waga maratońska* powiększa się o piętnaście kilogramów (więc i wobec mojej tuszy wykazuje odrobinę większe zrozumienie), a od garściami połykanych codziennie tabletek żółkną uwodzicielskie, białe zęby – ale *poza tym* wygląda (jak zgodnie twierdzimy z Hedviką i większością rodziny i znajomych) *w sumie normalnie*. Zachowuje się zwyczajnie (czyli jak totalny idiota, chi chi!), chodzi na spacery i nawet zaczyna pisać. Mówi w miarę logicznie, myje się regularnie, czasem się goli, obcina paznokcie i co miesiąc chodzi do fryzjera. Ta pozorna normalność sprawia, że wszyscy (oczywiście z wyjątkiem mnie i Hedviki) zaczynają uważać go za zdrowego.

Ale nasz Mistrz zdrowy nie jest (o ile w ogóle kiedyś był). Skarży się, że lista jego utrzymujących się problemów wciąż jest dramatycznie długa. Podczas gdy ludzie na wózkach, z aparatami słuchowymi lub inwalidzi bez jednej nogi są przez otoczenie łatwo rozpoznawalni i mogą dzięki temu liczyć na należne względy, *jego* problemy są dużo subtelniejsze i na pierwszy rzut oka niewidoczne – narzeka Mojmir.

– Widzę, że już ci lepiej – mówią krewni, przyjaciele i znajomi. Albo nawet: – Dobrze wyglądasz!

Nie można mieć im tego za złe – twierdzi Mojmir, ponieważ dawno zrozumiał (choć zajęło mu to trochę czasu), że większość jego kłopotów pozostaje dla nich niewidzialna.

– Podobnie jak krwawienie utajone można zobaczyć tylko dzięki badaniom laboratoryjnym, moja dezorientacja, niepokój i ból również nie są widoczne, a ponadto nie istnieje żadne laboratorium, które moje *cierpienie utajone* mogłoby zmierzyć – żali się Mojmir.

– Czy ja dobrze słyszę? Cierpienie utajone? – mówię prześmiewczo. – Mistrzu, pan bredzi!

Na przekór mej kąśliwej ironii Mojmir upiera się przy swoim. Żeby ludzie mogli mu współczuć, musieliby w jego cierpienie nie tylko *uwierzyć*, ale przede wszystkim musieliby je sobie *wyobrazić* – kontynuuje swój nieproszony wykład – a do takiej kombinacji zdolne są według niego tylko nieliczne jednostki. Z prawdziwym zrozumieniem spotyka się niezwykle rzadko – dużo częściej ludzie podejrzewają, że przesadza, czy wręcz celowo kłamie (według Mistrza można to poznać z ich oczu i mimiki). Ale są to *fałszywe oskarżenia.…*

Przecież nasz kurwiarz nie kłamie, prawda?

Ku mojemu zniesmaczeniu Mistrz jako pacjent po raz sto pięćdziesiąty wraca do zgranej płyty pod tytułem Butny Racjonalista – i to już

bynajmniej nie w poprzedniej autoironicznej wersji, lecz całkiem na poważnie – i w dodatku ma czelność nazywać to *oczyszczającą samokrytyką*! Pozwólcie, że się zaśmieję! To jawne zmienianie flag jest żałosne, ale Mistrz postrzega to inaczej. To, że do *racjonalizmu* dodawał kiedyś *butę*, było przecież jasnym przyznaniem uporu, z którym – jak dobrze wiemy – latami kategorycznie odrzucał wszystko, co jest irracjonalne, wszystko choć trochę ezoteryczne lub choćby odrobinę alternatywne. Takie wyznanie – przekonuje mnie Mojmir na temat tego aroganckiego paradoksu – już wtedy jasno świadczyło o jego pokorze i pragnieniu prawdy, choć (owszem, to przyznaje) *trochę spóźnionym.*…

– Po prostu zmienił pan sztandar – upieram się.

– Nie jest to żadna zmiana sztandaru, madame – krzywi się. – To jest rozwój osobowości.

Pomimo iż coś takiego brzmi z ust alkoholika i lubieżnika więcej niż śmiesznie, choroba naprawdę go zmieniła. Ku mojemu niemałemu zdziwieniu stał się odrobinę skromniejszy, a nawet nieznacznie pokorniejszy – czego efektem było to, że w czasie terapii zaczął niespodziewanie sięgać po rzeczy, z których jeszcze dwa lata temu złośliwie by się wyśmiewał: na przykład leki homeopatyczne, drogie antyoksydanty czy oddychanie Frolova (do tego zamówił sobie nawet przez internet jakiś skomplikowany plastikowy walec i rurki, ale nie potrafił podłączyć ich do aparatu). A kiedy Hedvika zapoznała go z koleżanką-numerolożką, która zaproponowała, że chętnie *mu się przyjrzy,* Mojmir, od zawsze określający numerologię jako *irracjonalne rachunki kupieckie* lub *kosmiczną loterię szczęścia*, ku mojemu zdziwieniu zgodził się.

Niewiarygodne.

Ludzka rozpacz może okazać się czymś pozytywnym – powtarzałam sobie w duchu prześmiewczo.

XVII

Co więcej, podobnych niewiarygodnych zmian wciąż przybywa! Nie ma tygodnia, żebym naszego niezłomnego racjonalisty nie przyłapała dosłownie *in flagranti*, czyli w jakiejś wcześniej wręcz niewyobrażalnej sytuacji – na przykład podczas konsultacji z homeopatką.

Jego pierwsze spotkanie z homeopatką (dla mnie naprawdę niezapomniane) pod wieloma względami przypomina jego wcześniejsze cudzołożne randki: tym razem również próbuje ukryć przed nami cel swojego wyjścia – ale ponieważ z powodu utrzymujących się problemów z pamięcią, chcąc nie chcąc, musi zapisać to sobie w kalendarzu, notatkę przynajmniej szyfruje… Tak, słyszycie dobrze: *szyfruje!*

HOM 17:00 Praga!

Można pęknąć ze śmiechu! Ciekawe, co powiedziałby Mistrz, gdyby któraś z nas spytała go o ten tajemniczy zapis – czy twierdziłby (cały czerwony), że tak naprawdę miało to być HOME, ponieważ o piątej musiał z jakiegoś powodu być w praskim mieszkaniu? Albo że o piątej spodziewa się dziennikarza, który jest gejem, ewentualnie odwiedzin jakiegoś homoseksualnego literata, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć, gdy akurat zapisywał informację w kalendarzu? A może oświadczyłby nam, że o piątej miał wpaść Homer we własnej osobie, ale w ostatniej chwili coś mu wypadło? Chi chi! Chyba nawet maskowaniu swoich cudzołożnych randeczek Mojmir nie poświęcił tyle konspiracyjnych działań, co tym razem! Cha cha! Żałuję tylko, że nie zauważyłyśmy z Hedviką tej notatki wcześniej i nie nagrałyśmy całego spotkania kamerą!

Ale okazało się, że nawet bez filmiku był spory ubaw!

Mojmir dobrze wie, że Hedvika w tym czasie będzie na szkoleniu doradców finansowych (o tej imponującej życiowej przemianie z pewnością będzie jeszcze mowa), a ja będę prowadzić zajęcia dla przyszłych doul – nie boi się więc, że zostanie nakryty i zachowuje spokój.

Lecz przypadek, jak wiadomo, to silny czarodziej!

– Bzdura! – oświadcza dziś Mojmir, a ja właściwie wcale mu się nie dziwię. To, że został przyłapany, naprawdę było wyłącznie dziełem przypadku (z punktu widzenia Mistrza – nieszczęsnego, ale dla mnie i Hedviki był to niespodziewany prezent).

Dochodzi do tego tak: z zapowiedzianych jedenastu przyszłych doul pojawia się tylko pięć, a kiedy na dodatek na widok odchodzących wód płodowych (choć tylko na płótnie projektora) dwie nadwrażliwe biedulki wymiotują na linoleum, wkurzam się, przerywam zajęcia i wracam do domu.

Dzięki temu nie omija mnie ta niewiarygodna scena.

Kiedy z wnętrza mieszkania dobiega mnie kobiecy głos, bez wątpienia nienależący do Hedviki, skrajnie podejrzany śmiech Mojmira, a następnie jego tłumione jęki, od razu robię się czujna. Skradam się na palcach, a moje szpiegowskie wysiłki zdecydowanie są warte tego, co widzę. Wprawdzie w sypialni nie ma nikogo, ale tego w sumie się spodziewa łam, ponieważ wszystkie te obrzydliwe dźwięki dochodzą z kuchni! Natychmiast wyobrażam sobie Mistrza kopulującego na blacie lub wręcz – a możecie mi wierzyć, że byłby do tego zdolny – między *umytymi* talerzami, szklankami i sztućcami na ociekaczu (kolejnych sugestywnych opisów *ociekania* oszczędzę sobie i wam…).

Lecz gdy gwałtownie otwieram drzwi, widzę coś innego: starą homeopatkę, która nad zapalonym zniczem ogrzewa coś w szklanej,

spiralnej retorcie, a następnie tym na wpół przejrzystym, bulgoczącym roztworem przypominającym przegotowaną spermę (dopiero później po długich prośbach dowiaduję się od Mistrza, że była to jego własna spieniona ślina rozrzedzona w proporcji 1:1000 odstaną wodą…) kreśli na czole Mojmira małe kółeczko, czy może *krzyżyk!*

Cha cha cha!

Chyba tylko oglądanie ukochanego podmorskiego świata na Malediwach przez moje własne okulary do nurkowania mogłoby napełnić mnie większym szczęściem niż widok butnego racjonalisty, który bez protestów, niemal pokornie poddaje się homeopatycznemu rytuałowi jakiejś ordynarnej szarlatanki!

Mistrz w końcu nie wytrzymuje i przerywa zabiegi tej wiedźmy, ale wie, że (przynajmniej jeśli chodzi o mnie) i tak jest już za późno.

Został przyłapany i doskonale rozumie, co go czeka, jeśli dowiedzą się o tym jego współwyznawcy (szczególnie obaj obrzydliwie racjonalni bracia czy *logicznie myślący* przyjaciele): zostanie wyobcowany.

Zostanie sam.

XVIII

Zresztą na homeopatce się nie kończy.

Pomoc oferują Mistrzowi – bez przesady – dziesiątki innych osób różnej płci, wieku i wykształcenia, najczęściej za pośrednictwem e-maili lub listów, ewentualnie telefonicznie, a czasem (i to jest ta najgorsza możliwość – jak twierdzi niezmienny ksenofob Mojmir) bez skrupułów odwiedzają go nawet w Sazawie.

– Takim najtrudniej odmówić – oświadcza Mistrz. – Nie mogę przecież kogoś, kto tłukł się do mnie dwie godziny pociągiem, wyrzucić tuż przed progiem…

Prawda jest jednak taka, że Mistrz w swojej bezbrzeżnej naiwności nie odmawia nawet tym, którzy *tłukli się* pół godziny autem (czyli jechali z Pragi autostradą), a nawet wszystkim tym pozornie ofiarnym dobrym ludziom, mającym gdzieś w pobliżu domek letniskowy i teraz pod pretekstem bliżej nieokreślonej pomocy próbującym wślizgnąć się do domu Mojmira.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, czegokolwiek, proszę dać znać – zachęcają go kierownicy stołówek, architekci terenów przemysłowych i producenci aparatów medycznych. Czy ci ludzie myślą, że najbardziej na świecie potrzebuje dziewięćdziesięciu porcji gulaszu? – pyta Mojmir z niedowierzaniem. Albo że naprawdę pomoże mu, jeśli jutro na biurku będzie miał projekt przeładowni kontenerów? A może ci idioci sądzą, że

podstawowym warunkiem powrotu do zdrowia jest trzymanie w pokoju na dywanie noża gamma?

– My nie mamy w pokoju dywanu – zwraca mi uwagę Mojmir po przeczytaniu powyższego akapitu. – Dywanów szczerze nie cierpię i wszyscy to o mnie wiedzą.

– I co z tego?

– Nic. Ten dywan to bzdura.

– Dziękuję za czujność! – mówię szorstko.

– Niech się pani tak od razu nie obraża. Po prostu serdecznie pani radzę, by w pisaniu była pani jak najdokładniejsza.

– Dobrze, Mistrzu, niech będzie, jak pan chce! Poprawię to – mówię. – Wyrzucę dywan i zamiast niego dam tam panele! Dzięki temu będzie *dokładniej* i *prawdziwiej*, tak? Zadowolony?

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiada ten idiota. – Niech pani to poprawi i mi przeczyta.

Przez chwilę patrzę na niego z niedowierzaniem, ale potem robię to, o co prosi. Schylam się nad notebookiem i piszę.

– Gotowe? – pyta Mistrz.

– Jasne.

– To proszę czytać.

– Mówi pan poważnie?

– Oczywiście – mówi skupiony nauczyciel pisania twórczego.

Wzdycham.

– *A może ci idioci sądzą, że podstawowym warunkiem powrotu do zdrowia jest trzymanie w pokoju na panelach noża gamma?*

– Widzi pani? Od razu lepiej. Tylko…

– Co tylko? – przerywam mu już naprawdę podrażniona. – Co znowu?

– Niech się pani nie obraża, madame – mówi. – Mam dobre intencje.

– Wątpię.

– Ale pani wątpliwości nie mają wpływu na moje pozytywne podejście.

– Paplanina! – mówię automatycznie, ale muszę przyznać, że to ostatnie zdanie mnie cieszy.

– Na Boga, poprawiła to pani już?

Żal mi wszystkich jego byłych studentów.

– Ale ja naprawdę nie wiem, co mam w tym zdaniu jeszcze poprawić – sprzeciwiam się. – Mnie, w odróżnieniu od pana, wydaje się w porządku. A nawet jest zabawne!

– Jest dość zabawne, tylko musi pani odrobinę zmienić szyk. Proszę posłuchać: *A może ci idioci sądzą, że podstawowym warunkiem powrotu do zdrowia jest trzymanie w pokoju na panelach noża gamma?* Czy pani tego nie słyszy?

– Nie.

– W takim razie proszę posłuchać: *A może ci idioci sądzą, że podstawowym warunkiem powrotu do zdrowia jest trzymanie na panelach w pokoju noża gamma?* Lepiej, nie?

– Pan jest świrem. Przecież to jedno i to samo!

– Pisanie to muzyka! – poucza mnie. – Każde zdanie ma swoją dokładną wewnętrzną logikę oraz własną harmonię. Trzeba szanować je obie!

– Tak? Poważnie? – mówię złośliwie. – To proszę mi powiedzieć, co jest harmonijnego w zdaniu: *...i od razu wcisnął swojego brunatnego penisa w jej wymalowaną paszczę.*

– To nie jest moje zdanie – mówi po chwili w skupieniu.

Ale pewności najwyraźniej nie ma.

– Doprawdy? – podstępnie umacniam jego wątpliwości.

– Czy może jest?

Nagle potulnieje jak baranek. A dokładniej: nagle potulnieje jak były lubieżny baranek. Chi chi chi!

– *Mam nadzieję*, że nie – kontynuuje przygnębiony Mojmir. – Aż takim łajdakiem nie byłem chyba nigdy, prawda?

Ale ja celowo nie odpowiadam. Odrobina męczarni naszemu chłopczykowi nie zaszkodzi. Przecież człowiek powinien wciąż poznawać nowe rzeczy – myślę – a udręka do niedawna była dla Mistrza uczuciem całkowicie obcym. To swego rodzaju *dziewicze męczarnie* – przychodzi mi do głowy. Ta metafora jest niemal genialna. Postanawiam od razu ją sprzedać.

– Patrząc na pańskie, że tak powiem, dziewicze męczarnie, myślę… – zaczynam, ale Mojmir od razu mi przerywa.

– Jakie znów *dziewicze męczarnie*? Co pani wygaduje?

– No męczy się pan po raz pierwszy… Po raz pierwszy w życiu. Tę metaforę oprócz pana zrozumiałby zupełnie każdy.

– Ale ja nie jestem zupełnie każdy – mówi w skupieniu, lecz nie pozwolę mu dziś odnieść żadnego słownego zwycięstwa.

– Nie, rzeczywiście nie jest pan. Pan jest kimś wyjątkowym – zapewniam go. – Wyjątkowym kurwiarzem.

Mistrz długo milczy.

– Po rozmowach z mężczyznami w moim wieku i podobnej pozycji społecznej – oświadcza po chwili chłodno – nie określiłbym swojego kurestwa mianem szczególnie wyjątkowego. Nie byłem dyrektorem fabryki cudzołóstwa, a jedynie zwykłym jej pracownikiem, powiedziałbym nawet, że skromnym, szeregowym pracownikiem.

Śmieje się. Najwyraźniej jest zadowolony z siebie. Jego bezczelność nie zna granic – myślę. On się tym kurestwem wręcz szczyci!

– Obecnie jestem jednak, że tak powiem, na zasłużonej emeryturze. Do tej starej fabryki seksu chodzę już tylko czasem z dziewczętami na obiad. W stołówce nieźle gotują, a poza tym mam zniżkę dla pracowników. Najwięcej oszczędzam jednak na tych wszystkich perfumach, kwiatach i gumkach.

Szczerzy się triumfalnie. Napisz dobrze, co zrobiłeś źle, a dostaniesz rozgrzeszenie… Wszystkie te pozornie efektowne wymówki oczywiście znam, ale już nie dam się na nie nabrać.

– Prawdziwe z pana bydlę, wie pan?

– Gówno prawda – śmieje się spokojnie dalej. – *Tak* się robi humor, widziała pani?

XIX

Ta przypadkowa i całkowicie nieproszona lekcja pisania twórczego nie zmienia jednak tego, że Mistrz wciąż jest zbyt chory, by tworzyć. Innymi słowy: pan Mądrala wprawdzie doradza, lecz jemu samemu pisanie raczej nie wychodzi – myślę ze złośliwą satysfakcją.

Mojmir nie pisze, bo ciągle się leczy. Mojmir nie pisze, bo żaden temat go nie bawi. Temat *miłość* podobno go nudzi. Temat *koleżeństwo* też go nudzi. Nudzi go nawet hedonizm!

Jego stan zaczyna być poważny.

Moje kiedyś cudowne życie – powtarza nieustannie – zmieniło się w ciąg nieciekawych wizyt w szpitalach. Twierdzi, że jeśli akurat nie musi jechać do kliniki IKEM na kardiologię, gdzie regularnie umawia się na kontrolę serca i aorty, lub do kliniki Thomayera, gdzie sprawdzają mu wszystkie pozostałe organy (z wyjątkiem pęcherza moczowego i prostaty, za które odpowiada urolog w Szpitalu na Františku), jedzie do szpitala na placu Karola, gdzie badają mu oczy, a także mniej więcej raz na miesiąc do psychiatry – ale na razie bez żadnych efektów.

– Operacja się udała, ale pacjent jest sparaliżowany – mawia gorzko Mojmir, a z biegiem czasu jego depresja i rozpacz rosną do takiego stopnia, że w końcu zdradza nawet to, w co tak uparcie przez całe życie wierzył.

Zrozpaczeni mężczyźni robią rozpaczliwe rzeczy.

Uzbrojenie wojsk piechotnych homeopatii i numerologii okazało się zbyt słabe – i bez intensywnego armatniego wsparcia kardiologii, ataków

torpedowych urologii i nalotów dywanowych psychiatrii cała wiosenna ofensywa, której celem było odzyskanie utraconego zdrowia, nie skończyłaby się zwycięstwem, tylko sromotną porażką. (Cha! Ja temu pisarzynie pokażę, jak wygląda pełnokrwista metafora!)

Ale nie mogę zapomnieć o tych wszystkich drobnych piechurach, którzy (szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę ich ograniczone możliwości taktyczno-strategiczne) również wykonali kawał dobrej roboty, a bez nich nad zdetonowanymi szczątkami pękniętej aorty Mojmira już nigdy nie powiewałby czerwony sztandar życia! Konkretnie mam na myśli tę uprzejmą panią z Czech Północnych, która ze świetnymi efektami leczyła Mojmira telepatycznie na odległość kilkudziesięciu kilometrów, a ponadto co tydzień przysyłała mu dwa, trzy, a czasem nawet cztery lecznicze obrazki, których cena była (biorąc pod uwagę czas poświęcony na ich wykonanie, farby i inne materiały oraz koszt wysyłki) wręcz śmiesznie niska. Tyle że nasz podejrzliwy Mistrz (pomimo że jego racjonalizm bynajmniej nie był już tak agresywny jak kiedyś) cynicznie odrzucał wszelkie przejawy ludzkiej solidarności i gesty dobrej woli, wykrzykując przy tym coś o wydrwigroszach i ludzkich hienach. A kiedy raz na jakiś czas ulegał i poddawał się niektórym mniej standardowym kuracjom, tak długo paplał przy tym o szarlatańskich i pseudonaukowych metodach, aż uzdrowicielkom w końcu puszczały nerwy i wyrzucały go.

– Normalnie wygoniła mnie z tej swojej wiedźmowej pieczary – dziwił się przy mnie Mojmir. – Nie zdążyłem tam nawet skorzystać z toalety, a ponieważ pęcherz miałem jak dwulitrowa butelka z żółtą fantą, musiałem zjechać na pobocze Strakonickiej i wysikać się na barierki! Wszyscy zboczeńcy trąbili na mnie wymownie… Daje pani wiarę?

Daję.

– Jesteś najgorszym i najzarozumialszym pacjentem, jakiego znam! – mówi Hedvika, która ma prawo być zirytowana.

– Tak myślisz? – dziwi się Mojmir. – Ja tylko bronię swojego zdrowego rozsądku, to wszystko.

Ale bierze sobie krytyczne słowa żony do serca, więc kiedy następnym razem jakaś uzdrowicielka wmawia mu, że chorą pamięć najlepiej i najszybciej Mojmir wyleczy tak, że dwa razy dziennie poprosi kogoś bliskiego o stukanie piętnaście minut łyżką w kufel na trzy różne sposoby, a on będzie szybko odpowiadać, czy chodziło o ptaka (na dole, na górze, na dole), słonia (na dole, na dole, na górze) czy żyrafę (na dole, na górze, na górze), nasz pacjent ku wszechobecnemu zdziwieniu bez większych protestów postanawia spróbować.

Przez kolejne dwa tygodnie (dłużej nie wytrzymuje) Mistrz zaskakująco sumiennie ćwiczy: Hedvika, ja albo któraś z córek siadamy naprzeciw niego przy stole kuchennym i stukamy drewnianą łyżką w wysoki kufel Pilsner Urquell na trzy wyżej opisane sposoby. Na górze, na dole, na górze. Kufel głucho dźwięczy.

Na dole, na górze, na dole.

– Żyrafa – mówi po chwili Mojmir.

– Źle – poprawia go Hedvika. – Ptak!

Znów stuka: na dole, na dole i na górze.

– Słoń – cedzi przez zęby zniechęcony Mojmir.

Hedvika potwierdza skinieniem i znów trzy razy stuka: na dole, na górze, na dole.

Mojmir nie wie.

– Jest to na dole, potem za sekundę w górze, a potem znów fru na dół? – nie wytrzymuje po chwili Hedvika.

Ptak, rozumie natychmiast Mojmir, ale wciąż milczy. Ta podpowiedź *fru* jest tak obraźliwie prymitywna, że gdyby teraz odpowiedział, straciłby ostatnie resztki szacunku do samego siebie.

– No przecież ptak. Na dole skacze po ziemi, potem fru na górę i zaraz znów fru na dół…

– Jasne – mówi przygnębiony Mojmir.

Boże, niech to się już skończy – myśli jednocześnie. Zabij mnie. I wszystkie ptaki, słonie i żyrafy też. Normalnie zlikwiduj wszystkie te zwierzęta. Szlag z nimi! Słyszy niecierpliwe stukanie łyżki o kufel. Bardzo niecierpliwe. Musi coś powiedzieć. Po prostu musi.

– Ptak – strzela.

– Nie, żyrafa.

I pojutrze znów, tym razem z uzdrowicielką.

Stuk, stuk, stuk – i długa przerwa.

Mojmir nie wie. W głowie ma… gówno. Bez najmniejszej przesady w głowie ma gówno. Prawdopodobieństwo, że zgadnie, wynosi trzydzieści trzy procent – przypomina sobie. Ma trzydziestotrzyprocentową szansę, że nie zostanie definitywnie uznany za debila.

– Słoń? – strzela.

– Na dole, na górze, na dole – mówi uzdrowicielka z wyrzutem. Podnosi się, staje dokładnie naprzeciw Mojmira i wyzywająco czeka, dopóki nie przeniesie na nią wzroku. Dopiero kiedy ma pewność, że pisarz naprawdę na nią patrzy, ku jego nieukrywanemu przerażeniu z głośnym dźwiękiem (czy ona, na Boga, nie pierdnęła? – myśli od razu Mojmir) kuca, gwałtownie unosi dłonie na obojczyki, wczepia się w nie karminowymi paznokciami i tą imitacją ptasich skrzydeł kilka razy szybko macha, a potem nagle wstaje.

– No? Więc? – mówi, tracąc już cierpliwość, ale nie przestaje machać udawanymi skrzydłami.

Oczywiście, że słoń – myśli kwaśno Mojmir. – W składzie porcelany!

Nagle pragnie wyrwać jej łyżkę z ręki, włożyć ją do kufla i cisnąć tymi rekwizytami o ścianę – ale, jak zawsze, opanowuje się. Jest mięczakiem – uświadamia sobie.

– Przez te piętnaście dni wspiąłem się na szczyt swojej rekonwalescencyjnej głupoty – twierdzi później Mojmir. – Niżej już upaść nie można…

No, dziś wiemy, że można.

Prawdziwe dno *rekonwalescencyjnej* głupoty dopiero Mistrza czeka.

(Jeszcze nie podejrzewa, że zostanie fatalnie *odblokowany* przez piosenkę *Dancing Queen* – ale nie uprzedzajmy faktów.)

XX

Dzięki rosnącej niechęci do wszystkich lekarzy i samozwańczych uzdrowicieli Mojmir decyduje się na skorzystanie z rady dobrego kolegi – Jaroslava Duška i odwiedza doktora Hnizdila, którego radykalne poglądy typu *Rzeczownik lek pochodzi od czasownika lękać się* w przeszłości Mistrza (pomimo wyraźnej humorystycznej hiperboli) raczej irytowały. Lecz teraz – po tym jak Mojmir również stał się radykalnym krytykiem czeskiej służby zdrowia (– Owszem, uratowali mnie, dosłownie zdjęli mnie grabarzowi z łopaty, co do tego nie ma wątpliwości i za to lekarz w karetce i lekarze w klinice mają moje uznanie i wdzięczność. Tyle że później wypuścili mnie z dnia na dzień i do dziś nikt mnie porządnie nie poinformował, jak mam się dalej leczyć!) – zaczyna czuć do Hnizdila sympatię (ach, te wieczne salta poglądowe), bowiem o wszystkich specjalistach od tętnic, specjalistach od żył, nie mówiąc już o specjalistach od naczyń włosowatych, po swoich doświadczeniach z poprzednich dwóch lat logicznie myśli to samo, co *enfant terrible* czeskiej medycyny.

Według Mojmira doktor Hnizdil jest miły i pragmatyczny: odstawia marudzącemu Mistrzowi kilka leków i doradza nie tylko regularny tryb dnia, długie spacery i częste wyjścia za miasto, ale także swoją psychoterapeutkę Andreę i doktora Chromego, starszego psychiatrę z gabinetem w Kobylisach. Rzekomo Mojmir najpierw uznaje to za kolejne banalne rady (przecież już chodzi na psychoterapię!), więc jest poniekąd rozczarowany, ale w końcu okazuje się (wiedziałam, że tak będzie), iż w błędzie był on, a nie Hnizdil.

Wiem, że psychoterapeutka Andrea jest wysoką i ładną czarnoskórą kobietą, więc jej spotkanie z Mojmirem wyobrażam sobie mniej więcej tak:

– Wygląda pan strasznie nieufnie – mówi Andrea na wstępie. – Czy to ma jakiś związek z tym, że nie jestem biała?

– Zdecydowanie nie. Jest pani piękna i od razu widać, że sympatyczna – odpowiada szczerze Mojmir. – Moja przerażona mina wynika jedynie z tego, że jest pani psychoterapeutką.

O dziwo, Andrea śmieje się z tego taniego dowcipu.

– Złe doświadczenia? – pyta.

– Rzeczywiście, dotychczas psychoterapia raczej mnie rozczarowała – oświadcza Mojmir. – Zresztą tak samo, jak cała psychiatria. Kiedy porównuję wszystkie te niewiarygodnie drogie leki psychofarmakologiczne, które do dziś muszę łykać, na przykład z penicyliną czy choćby ze zwykłą aspiryną, mam wrażenie, że w tych prostych zawodach o nazwie *skuteczność* przegrywają one z kretesem.

Ta kobieta bez wątpienia mu się podoba, więc jak zwykle – popisuje się. Kogucik w wyuczony sposób potrząsa piórkami. Ale może to jest wreszcie oznaka zmian na lepsze – myśli Mojmir. Andrea obserwuje go z rozbawieniem (na Mistrza nie da się patrzeć inaczej niż z rozbawieniem).

– Penicylinę dostaje pan, kiedy ma pan anginę – sprzeciwia się spokojnie. – Wyleczenie infekcji na migdałkach jest, mówiąc w uproszczeniu, dużo łatwiejsze niż wyleczenie infekcji w mózgu.

– Być może tak, ale niczego to nie zmienia w tym, że leki psychofarmakologiczne, w odróżnieniu od penicyliny czy aspiryny, niemal *nie działają*. Taka jest naga prawda – poucza ją bezczelnie Mistrz. – Psychiatria jest posłuszną niewolnicą farmaceutycznego lobby.

Po tych słowach prawdopodobnie wyrzuca sobie, że przy czarnoskórej kobiecie użył słowa *niewolnica*… Czy naprawdę jest takim idiotą? –

zastanawia się (owszem, jest). Ale ku jego zaskoczeniu Andrea znów się śmieje. Jak wiadomo, ładne kobiety, które śmieszy jego humor, od zawsze fizycznie podniecają Mistrza (dlatego z zasady nie śmieję się z tych jego przygłupich żarcików). Męska próżność, nic innego – myślę. Ego oczekuje uznania. Erekcja uzależniona od braw. I tak dalej.

– My tu z tabletkami nie przesadzamy. Na pewno już pan o tym wie.

– Obiło mi się o uszy.

Obserwują się wzajemnie.

– W takim razie, panie pisarzu, proszę opowiedzieć mi swoją historię.

Zakładam, że oboje się do siebie uśmiechają.

– Ile mam czasu?

Andrea prawdopodobnie zerka na zegarek, a potem może nawet rozrzuca ręce w krótkim geście.

– Mnóstwo! Jeszcze wciąż ponad godzinę. Czy to wystarczy epikowi pańskiego pokroju?

Potem – tak to widzę – opiera się wygodnie w fotelu i zakłada jedną swoją ciemną nogę na drugą.

– Oczywiście. Ale nie chcę pani zanudzać – szczerzy się (dam sobie rękę obciąć!) Mojmir. – Proszę się nie bać, poradzę sobie w dziesięć minut.

– Nie boję się czasu – mówi Andrea.

Te słowa bez wątpienia Mistrza intrygują (znam dobrze jego fobię na punkcie szybkiego przemijania).

– No widzi pani, właściwie od tego mógłbym zacząć. Albowiem ja boję się czasu – mówi prawdopodobnie. – Czas to mój koszmar nocny. Już wcześniej zbytnio z niczym nie nadążałem, a teraz, jako pacjent, mam całkowicie przechlapane.

Być może zastanawia się, czy czarnoskóra lekarka rozumie tego typu sformułowania.

– Rozumie pani słowa typu *przechlapane*? – pyta bez ogródek.

– Oczywiście. W Czechach mieszkam już od podstawówki.

Mojmir z pewnością czuje ulgę z uwagi na swój kiepski angielski.

– Świetnie – cieszy się.

Ale nagle przestaje być pewny tego początku. Czy jego głównym problemem naprawdę jest *wieczne nienadążanie?*

– Od czego mam zacząć? Od szkoły? Czy już od żłobka? Od moczenia się?

Twarz Andrei znów rozjaśnia uśmiech.

– O tym chce pan rozmawiać? O sikaniu?

Naszemu świntuchowi z pewnością nie wydaje się to złym pomysłem, ale na szczęście wie, na co może, a na co nie może sobie tu pozwolić. (No proszę – myśli pewnie gorzko – zatem przynajmniej lubieżność i szybka ocena sytuacji mnie nie opuściły…)

– Boże, nie! – krzyczy teatralnie. – Źle mnie pani oceniła! Ja jestem zupełnie normalny, naprawdę.

Ale milknie, ponieważ przypomina sobie cały ten alkohol, trawę i kokainę, wszystkie kolacje dla czterech osób za dwanaście tysięcy koron i oczywiście wszystkie te dziewczyny…

– Chociaż… *zupełnie* normalny chyba nie – być może dodaje zgodnie z prawdą, ale możliwe też, że go przeceniam.

– To nic złego – mówi Andrea. – *Nobody is perfect.*

Zobaczymy, na jak długo wystarczy jej tej tolerancji i zrozumienia – myśli zapewne Mistrz.

– Kiedy dokładnie się to panu przytrafiło. Ten epizod z aortą?

Nawet ignorant pokroju Mojmira rozumie prawdopodobnie, dlaczego użyła słowa *epizod* (pacjent jest pisarzem, więc podświadomie chciała dostosować się do jego słownika – myśli), ale i tak to pozorne bagatelizowanie rani go. Czy jest trochę przewrażliwiony? – pyta sam siebie. – Jest! – odpowiada natychmiast. W końcu przecież to dlatego siedzi teraz u psychiatry.

– Podczas maratonu w 2012 roku. Dokładniej mówiąc, na *mecie* maratonu – dodaje chłodno. – Przy okazji: ten *epizod* udaje się przeżyć jednej osobie na dziesięć – nie może odpuścić sobie tej uwagi.

O, męska próżności!

Ona patrzy mu prosto w oczy.

– Nie chciałam pana urazić – mówi przepraszająco.

Jest empatyczna – rozumie Mojmir.

– Użyłam tego terminu bezwiednie. Epizod jako *zdarzenie*. Rozumie pan?

– Oczywiście – mówi Mojmir. – Proszę nie przepraszać.

A potem bez wątpienia opowiada całe to swoje nudne życiowe *story:* Jego matka, jej studia prawnicze i nieistotne rólki w teatrze na Vinohradach. Ojciec i jego studia w Wyższej Szkole Chemiczno-Technologicznej. Ich ślub ze świadkami w kostiumach muszkieterów. Ordynatorka Zyta w Podoli. Piękna ciocia Ewa, wąsaty wuj Tomasz. Gołębie za oknami dużego mieszkania w Nuslich (czyli nieudane próby liryczne Mojmira). Basen w Podoli. Dystyngowany dziadek Jerzy, prawnik w kancelarii prezydenckiej Husáka, miłośnik dobrego wina i dań z dziczyzny. Dziadek Józef – górnik, karciarz, alkoholik i hochsztapler (z demonstracyjnymi próbami samobójczymi). Trochę głupia, ale przekochana babcia Wera, kuśnierka – i mądra, ale chytra babcia Władysława, nauczycielka (niezłe geny, co?). Rosyjskie czołgi w Vrszowicach i instynktowne przygotowania

prababci i babci do wojny. Przeprowadzka do Sazawy. Życie w noclegowni. Nocne kąpiele z rodzicami w rzece. Mieszkanie w bloku. Życie pierwszoklasisty w okularach. Recytacje na posiedzeniach Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Narodziny braci Mistrza: Józka i Janka. Klub lekkoatletyczny i trener Kavalier. Jaruszka w obcisłych dresach (czyli seksista od piętnastego roku życia…). Iluzja miłości. Ślub z Jaruszką. Pomyłka z Wyższą Szkołą Ekonomiczną. Stróż nocny. Narodziny pierwszej córki – Michaeli. Pokój z kuchnią w Sazawie. Urlop nad jeziorem Lipno. Uniwersytet. Kolega Słabuch. Koleżanki ze studiów. Miłości (równa się zdrady). Koleżeństwa. Willa zakładowa przy Budinskiej. Po studiach wojsko. Podpisanie petycji Kilka Zdań (no dobra). Nauczyciel w podstawówce i trzypokojowe mieszkanie w Pradze. Rewolucja. Pierwsza książka. Kolejne zdrady. Kolejne książki. Duże wydawnictwo Československý spisovatel. Rozwód. Martin i rzekoma przyjaźń na całe życie. Kochanka z Ameryki. Podróże po USA. Kawalerka. Koleżkowie Peňás i Topol. Pierwszy haszysz. Przeprowadzka do mieszkania w Nuslich. Bary: Casablanca, Radość, La Bodeguita i dziesiątki innych (kto ma to wszystko spamiętać). Hektolitry koktajli. Dziesiątki dziewczyn. Akademia literacka i kolega Wacław. Kolejne rzekome miłości. Prawie nieletnia Tereska. Jedno rozczarowanie, typowy ból i od razu rozstanie. Potem ta legendarna Małgorzata (coś między Marilyn Monroe i Gertrudą Stein). Pierwsze burdele, oczywiście! Ta okropna knajpa Solidna Niepewność. Hedvika. Rzekoma miłość życia. Opel astra. Pierścionek z diamentem, jakżeby inaczej. Ślub. Kolejne książki. Snobistyczny dom w Sazawie. Hipoteka. Narodziny Sary. Większe auto (Renault Espace). Koleżka Ruda Biermann. Pierwszy film. Spotkania autorskie w kraju i za granicą. Degustacje win. Dziesiątki dziewczyn. Koktajle, marihuana, haszysz, a czasem kokaina. Pierwsze volvo. Kolejne książki, kolejne filmy, kolejne

dziewczyny. Narodziny Basi. Czasem asekuranckie obawy rodzicielskie. Burdele i kurwy. Chlamydia (dziwię się, że nie AIDS albo chociaż rzeżączka lub syfilis). Kolejni dziennikarze. Radio, telewizja. Piętnasta książka. Talk show i żenujące estrady. Tajlandia. Malediwy, Mauritius (gdzie *mnie* nigdy nie zabrał!). W zimie Alpy i Dolomity. Pierwsze kłótnie z Hedviką. Ta obrzydliwa powieść *Ekożona*. Kolejne Volvo. Kolejne Malediwy. Półmaraton. Kolejne filmy, kolejne uroczyste premiery. Ameryka Południowa – męski wyjazd, oczywiście. Kolejne spotkania autorskie. Kolejne dziewczyny. Kolejny koks. Naturalnie pierwsza depresja. Potem te dwie imprezy urodzinowe. Kolejne dziewczyny, kolejne kurwy, kolejne imprezy. Maraton, karetka i klinika.

Potem trzy lata bycia pacjentem. Najgorsze trzy lata życia. Wojsko w porównaniu z tym to był raj! Kłótnie z Hedviką. Naturalnie obrzydzenie sobą samym. A nawet obrzydzenie życiem. Pragnienie śmierci. *Codzienne* rozważanie samobójstwa. Nieźle!

Kiedy Mojmir kończy, patrzy na ekran swojego starego telefonu NOKIA i zamiera: właśnie *szczegółowo* opisał całe swoje rzekomo bogate życie i nie zajęło mu to nawet dwudziestu minut.

A czego się spodziewał? – myślę. Lecz zamiast zadowolenia, że nie był rozwlekły – jest w szoku. Zamiast pochwalić się za naprawdę znakomitą zwięzłość, Mojmir jest szczerze załamany. Właśnie się zorientował, że całe jego życie (nie opuścił niczego, naprawdę niczego istotnego!) jest o dwadzieścia pięć minut krótsze niż połowa meczu piłkarskiego… Ma pięćdziesiąt trzy lata – ale nawet jeśli całe swoje życie opowiada bardzo szczegółowo i mówi naprawdę o wszystkim, trwa to mniej więcej tyle, co jedna tercja hokejowa Sparty z Litvinovem! Cha!

Lecz na Andrei to przerażające odkrycie nie robi żadnego wrażenia.

– Skoro wtedy po maratonie pan umarł, to ile ma pan dziś lat? – pyta rzeczowo.

Mojmir potrząsa głową.

– Czy to jakaś dialektyka?

Z pewnym opóźnieniem uświadamia sobie, że młoda, a poza tym czarnoskóra Andrea raczej nie studiowała dialektyki marksistowskiej.

– Wiem, co to jest dialektyka, ale to nieistotne – uśmiecha się psychoterapeutka. – Ile ma pan dziś lat, skoro wtedy pan umarł?

Mojmir pojmuje, że to pytanie zostało zadane na poważnie.

– Około trzech – wzdycha.

Czarnoskóra kobieta przytakuje z radością.

– Dokładnie. Ma pan trzy lata!

Cierpliwie czeka, aż Mistrz w pełni zrozumie tę informację – to znaczy, aż wreszcie dotrze do niego, że właśnie otrzymał najbardziej niepodważalne alibi na świecie. Od dziś nie musi myć auta, nie musi czytać żadnych gazet (nawet „Respektu") i nie musi oglądać wiadomości! Nie musi starać się nikomu przypodobać, nie musi być odpowiedzialny! Ani obowiązkowy, ani nawet pracowity! I nie musi nikogo nowego poznawać! Ma trzy lata, na Boga! Oszaleliście?

A przede wszystkim nie musi odpisywać na te zasrane e-maile!

Jest wniebowzięty!

– Podrzucić pana na tramwaj? – pyta na koniec Andrea. – Mam tu auto, mogę pana podwieźć. O ile nie przeszkadza panu, że jest to volvo, czyli jeden z symboli pańskiego ohydnego hedonizmu?

Prawdopodobnie uśmiechają się do siebie. Czy małżeństwa białych mężczyzn z czarnoskórymi kobietami są szczęśliwsze? – zastanawia się Mojmir.

– Nie przeszkadza. Czy ma pani fotelik dla dzieci?

Andrea, ku mojemu rozczarowaniu, śmieje się z tego przygłupiego żartu. Jest przesadnie służalcza – myślę.

– Powraca panu humor. To dobry znak.

Podwozi Mojmira na najbliższy przystanek.

– To cześć, ciociu! – żegna się Mojmir głosem trzyletniego chłopca. – Dzięki za podrzucenie!

Infantylne wygłupy. Jego chleb powszedni.

– Do widzenia – uśmiecha się Andrea.

Auto odjeżdża. Mojmir się rozgląda. Wprawdzie widzi przystanek tramwajowy, ale prawdopodobnie nie wie, gdzie jest, ani w którą stronę powinien jechać. Mija przystanek i powoli idzie jakąś nieznaną ulicą. Nie ma pojęcia, dokąd dojdzie – ale czy widzieliście kiedyś trzyletnie dziecko, które od razu zorientuje się w całkowicie obcej dzielnicy? – myśli z zadowoleniem.

Dokładnie takiego alibi nasz Mistrz potrzebował!

Wreszcie może bezkarnie olać większość spraw w swoim życiu.

XXI

Podczas gdy w oczach odwiecznych współwyznawców (czyli przede wszystkim braci i Feliksa) konwersja Mojmira wobec homeopatek, doktora Hnizdila, białych i czarnych psycholożek oraz psychiatrów (czy ta szamanka Hnizdila nie praktykuje przypadkiem wudu?) stanowi zdradę wszystkiego, w co przez wszystkie te lata wspólnie wierzyli i w co – w odróżnieniu od Mojmira – wierzyć nie przestali (święte przykazanie ich wiary brzmi: *Wystrzegaj się wszystkiego alternatywnego, albowiem od samego diabła to pochodzi, a poza tym są to straszne pierdoły!* chi chi chi!), ja w zaskakujących krokach Mistrza widzę szansę na to, że ten przeżarty sławą, powierzchowny i egoistyczny potwór o imieniu Mojmir jest zdolny do pewnej przemiany…

Tyle że kiedy dzielę się z nim tym spostrzeżeniem, on – zamiast wreszcie docenić, że przez ostatnie lata martwiłam się o niego jak o przyjaciela – wykrzywia twarz i wciska palec wskazujący do nosa, zabijając wszelkie moje nadzieje.

– Psemiany? – mówi głosem trzyletniego idioty. – A co to są psemiany, ciociu?

A potem tym samym palcem grzebie w tyłku, wącha go i oświadcza wesoło:

– Śmieldzi!

– Głupiec – mówię.

Po tym, jak przez cały dzień męczy mnie i Hedvikę podobnymi występami, jemu również te infantylne wygłupy zaczynają wydawać się tak żenujące, że stopniowo przestaje udawać trzyletnie dziecko – tyle że jednocześnie znów wpada w depresję.

Do psychiatry czy wariatkowa chyba jeszcze się nie kwalifikuje? – rozważamy w kolejnych dniach z Hedviką.

XXII

Na przekór temu, że Mistrz jest zadowolony z czarnoskórej Andrei i że najchętniej chodziłby już tylko do niej, musi – jak się wyraził – *przynajmniej formalnie zakończyć* terapię u dotychczasowej psychoterapeutki, bowiem przerwanie leczenia byłoby nieuprzejme. I właśnie ów tragiczny niedobór asertywności okazuje się dla Mojmira fatalny.

Na początku nic nie zapowiada tego, że ostatnia wizyta będzie miała tak tragiczne skutki. Najpierw Mojmira, jak zawsze, czeka niekończąca się podróż metrem na peryferie Pragi, a potem sushi w tamtejszej restauracji. Surowe ryby, ryż, imbir i wasabi.

– I stukanie drewnianych pałeczek o talerz – uzupełnia Mojmir. – Krótko mówiąc, tradycyjne preludium spotkania z psychoterapią na peryferiach.

Po jedzeniu jak zawsze następuje krótki spacer wokół sztucznego jeziorka, które najwyraźniej powstało później niż otaczające je osiedle, a potem już czas na duży, zielony budynek, schody na trzecie piętro i gabinet psychoterapeutki…

– Wciąż jest pan wyraźnie zablokowany – słyszy dziś Mojmir, kiedy siada z ciężkim westchnięciem. – Poznaję to po pańskim ułożeniu ciała. Garbi się pan!

– Cóż, niewykluczone – przyznaje Mojmir. – Ta książka o obozie koncentracyjnym, którą pożyczyła mi pani ostatnio, zbytnio mi

w *odblokowaniu* nie pomogła …

– Przykro mi… Przeczytał ją pan całą?

– Nie! W zupełności wystarczyło mi pierwszych trzydzieści stron… *Kochać życie bardziej niż jego sens?* Jestem racjonalistą, na Boga! Jeśli coś nie ma dla mnie sensu, porzucam to.

Psycholożka z uśmiechem wzrusza ramionami.

– Nie szkodzi, prawdopodobnie jeszcze nie dojrzał pan do tego poziomu.

– To możliwe. I nigdy nie chciałbym do niego dojrzeć – nie odpuszcza sobie Mojmir. – A przede wszystkim mam nadzieję, że do ewentualnego *dojrzewania* nie będę miał warunków równie dobrych, czyli *koncentracyjnych.*…

– Ucieczka w żarty to wciąż tylko ucieczka – konstatuje psycholożka.

– Jak mnie atakują, to uciekam – wzrusza ramionami Mojmir. – Zwiewać, kiedy coś atakuje, to główny instynkt ludzki.

Słyszałam to już ze sto razy, ale psycholożka prawdopodobnie robi notatki.

– A kto pana atakuje?

– Życie, pani doktor. Życie.

Być może spogląda mu prosto w oczy.

– Tańczy pan?

To przejście od rozważań egzystencjalnych do tańca wydaje się Mojmirowi dość absurdalne.

– Na Boga. Kiedyś tańczyłem – mówi mdło. – Teraz tańczę już chyba tylko nad swoim grobem.

Lepszy żaden żart niż kiepski – myśli Mojmir natychmiast. Ale skoro nie wychodzi nic, to dlaczego akurat żarty miałyby być wyjątkiem?

– Widzi pan, właśnie o to chodzi! Ja o tańcu, a pan o grobach! To przez ten pański negatywizm! Pan nie tańczy, nie śmieje się, nie śpiewa i wszystkie emocje tłumi pan w sobie!

Ale płaczę – przypomina sobie szybko Mojmir. Ciągle ryczę jak bóbr. To się nie liczy?

– Możliwe – przytakuje mimo to. – A nawet prawdopodobne.

– To jest pewne! – ta kobieta znów podnosi głos. – Proszę coś zaśpiewać! Albo zatańczyć!

Mojmira ogarnia panika. Czy ja mam tu, do cholery, śpiewać? – myśli bez wątpienia zaszokowany. Nikt nie ostrzegał go przed takimi niebezpieczeństwami psychoterapii. I co ma zaśpiewać? *Come on baby, light my fire?* A co będzie następnym razem? Striptiz?

– Nie. Naprawdę nie – mówi cicho.

– Czy pan, panie magistrze, jako człowiek po studiach, nie wie, co to jest psychosomatyka? Chce pan wywołać u siebie raka? – pyta terapeutka z wyrzutem.

Prawdę mówiąc magistrowi rak nie wydaje się być najgorszym wyjściem z obecnej sytuacji życiowej. Po pierwsze oznaczałby dość szybki koniec, a po drugie jest to doskonałe alibi pozwalające na długoterminowe nieróbstwo, niepłacenie podatków i tak dalej – myśli Mojmir. Sprzątanie też mógłby olać. Brudne naczynia – mając raka – wrzucałby prosto do kosza… Albo przez okno… A po trzecie: śmierć na raka oznacza wypłatę z ubezpieczenia na życie, czyli spłaconą hipotekę na dom w Sazawie… Raka brałby w ciemno – stwierdza ponuro. Ale przypomina sobie, że na razie żyje, a ta psycholożka czeka na jego odpowiedź.

– Nie chcę – mówi Mojmir zgodnie z oczekiwaniami.

– No widzi pan! To proszę zatańczyć! Pańska butelka z winem życia nie jest w połowie pusta. Ona jest w połowie pełna!

W mojej butelce z winem życia jest pieprzony jabol – myśli Mojmir.

– Ale sam? – broni się słabo. – Mam tańczyć sam?

– Może pan sam! Albo ze mną. Jak pan woli.

– Przed lustrem? – Mojmir stosuje taktykę odwlekania.

– Przed lustrem albo bez lustra… Czy to takie ważne?

Wszystko jest ważne, ale bez przesady – przypomina sobie Mojmir. Moje życie to suma bezużytecznych cytatów – dodaje jeszcze w duchu.

– Nie – odpowiada posłusznie, po czym dyskretnie odbija mu się kolejnymi piętnastoma molekułami wasabi.

Ku jego przerażaniu psychoterapeutka już sięga na półkę po magnetofon, i nie wkładając nawet do niego kasety, wciska przycisk PLAY. Musiała to mieć naszykowane – pojmuje Mojmir. To pułapka. Pułapka za pięćset koron na godzinę. W kolejnej sekundzie pomieszczenie wypełnia ABBA. *Dancing Queen.* Mojmir dyskretnie spogląda w stronę okna. Gdyby zaczął ku niemu biec naprawdę szybko, być może swoim grubym cielskiem stłukłby to podwójne szkło już przy pierwszej próbie – myśli. Ale jeśli na kogoś spadnie? Na ciężarną Wietnamkę? Albo wózek z dzieckiem? Albo na jakąś młodą parę, która ma ochotę na sushi?

– Sam czy ze mną?

To było pytanie – uświadamia sobie Mojmir. Pytanie tej baby. Tej psychoterapeutki, pragnącej z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu z nim tańczyć. Szybko rozważa, który z tych dwóch wariantów będzie gorszy.

– No więc? – mówi jego duchowa uzdrowicielka, już odrobinę zniecierpliwiona. Wstaje z fotela, ściąga garsonkę i podchodzi do Mojmira, a on jak zaczarowany wpatruje się w jej kanarkową bluzkę z falbankami przy dekolcie – jak to się nazywa? Nie może sobie przypomnieć. Świat stał się miejscem, którego nie może sobie przypomnieć. Żabka? Nie, żabka nie. Żako? Też nie.

– No więc jak?! Czy już pan zdecydował.

Nie jest pewien, czy powiedziała *zdecydował* czy *zdeprawował.*

– Chyba wolę sam, przepraszam. Nie będzie pani przykro?

– Nie. Nie będzie – mówi zirytowana terapeutka. – I niech pan, do cholery, przestanie ciągle przepraszać!

Obrażona zaczyna tańczyć. Sama. Kręci biodrami i podnosi ręce nad głowę. Nie tańczy źle, ale to w tej tragedii niczego nie zmienia – konstatuje ponuro Mojmir.

A potem zaczyna się w duchu modlić: Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja…

Nasz intelektualista nagle nie może sobie przypomnieć, jak to idzie dalej. Czyżby to również zapomniał? Czy naprawdę zapomniał zupełnie wszystko? – zastanawia się z pewnością gorzko. Na szczęście ta kobieta przy tańcu zamyka oczy, więc nie widzi, że Mojmir wciąż nie tańczy – ale nagle otwiera je i patrzy na topornie stojącego Mistrza, a on ma nieprzyjemnie sugestywne uczucie, że spogląda w oczy sfinksa. Sfinksa, któremu za cały ten koszmar dobrowolnie płaci pięćset koron na godzinę – lecz ku swojej rozpaczy nie kamienieje.

Niestety wciąż tu jest.

– Co z panem? – pyta sfinks. – Niech pan wreszcie wyrzuci z siebie te emocje. Niech pan śpiewa! Tańczy! Płacze!

– Tak pani myśli? – pyta Mojmir nieprzekonany.

– Jest pan zablokowany, ale ja pana odblokuję – zapewnia go psychoterapeutka.

– Naprawdę nie sądzę…

– Niech pan tańczy, do jasnej Anielki! – krzyczy na niego.

Mojmir nagle pojmuje, że przegrał.

Najpóźniej za trzy sekundy będzie stać obok niej i z zaangażowaniem falować swoimi zablokowanymi biodrami. Przy ABBIE. Będzie podrygiwać przy ABBIE. Założę się o tysiąc. Założę się o milion!

– Pan mi nie ufa?

Mojmir znów czuje w nosie smród surowej ryby.

– Oczywiście, że ufam – mówi. Za takie pieniądze? – dodaje w duchu.

Ona przygląda się mu podejrzliwie.

– Oczywiście, że ufam – znów próbuje ją przekonać.

– To proszę tańczyć! Jeśli naprawdę mi pan ufa…

– Ja… nie mogę – mówi zgodnie z prawdą.

– Śmiało! Niech pan to z siebie wyrzuci! Cały ten brud! Tę swoją straszliwą chorobę! Te pańskie straszliwe dziwki!

Czy ona coś brała? – przychodzi Mojmirowi do głowy. Skąd wytrzasnęła te *dziwki*? – zastanawia się. Pewnie się wygadałem – uświadamia sobie. Ostatnio. A może przedostatnio. Cholera! Jeśli ta karetka przedarłaby się na Rynek Staromiejski o pięć minut później, od dawna miałbym spokój!

– Niech pan krzyczy! Niech pan płacze! Chłopie, do cholery, odblokuj mi się!!! – wrzeszczy na niego psychoterapeutka.

Pieprzone pięć minut – myśli Mojmir.

Kiedy lekarka tańczy dziko, sapiąc coraz bardziej, ta rzecz na jej klatce piersiowej lata z boku na bok. Żabot! – przypomina sobie wreszcie Mojmir.

– Żabot! – ryczy.

– Co?

– To, co ma pani na szyi. To żabot! – śmieje się Mojmir. Zamyka oczy, jakby naprawdę chciał wyskoczyć przez okno, ale nagle ku własnemu zdumieniu zaczyna tańczyć.

Uda się – myśli zaszokowany. To się jednak uda. Jeśli nie otworzy oczu, wszystko pójdzie dobrze.

– No proszę, jak panu świetnie idzie! – z ciemności dochodzi do niego głos kobiety.

– Tak pani sądzi? – pyta Mojmir z lekką zadyszką. Oczy wciąż ma zamknięte. Ciągle czuje wasabi, a teraz też jej pot.

– Ja pana w końcu odblokuję, niech się pan nie boi!

Dlaczego miałbym się bać? – automatycznie pyta się w duchu Mojmir.

No, już wkrótce się dowie.

Chi chi!

XXIII

A teraz, moje drogie damy, skupcie się, bowiem nadchodzi węzłowa scena małżeństwa Mojmira i Hedviki (a może nawet jeden z najważniejszych momentów życia Mojmira).

Gotowe? To zaczynamy.

Świeżo odblokowany Mojmir (chi chi!) wieczorem wraca od psychoterapeutki-tancerki do praskiego mieszkania. Otwiera drzwi, ale w środku panuje niezwykła cisza, bo jestem tu tylko ja. Obie córki są w Sazawie u koleżanek, a Hedvika (o czym oczywiście mówiła Mistrzowi wiele razy) poszła z koleżanką Martiną do kina – tyle że Mojmir jak zawsze wszystkie tego typu informacje zapomina, co wkrótce okaże się okolicznością niemal kluczową.

Jeszcze moment. Wybaczcie mi to wtrącenie, ale uświadomiłam sobie, że w tym miejscu muszę koniecznie powiedzieć wam kilka słów o dosłownie chorobliwej zazdrości Mojmira. Nadeszła odpowiednia chwila. Jest już nawet za pięć dwunasta.

Musicie wiedzieć, że Mojmir to największy ekspert od zazdrości w całym kraju.

Czytał naukowe książki o zazdrości!

Czytał i *trzy razy* był w teatrze na Otellu!

Sam poświęcił zazdrości całą powieść! Rozumiecie: całą jedną książkę napisał tylko o zazdrości! (Materiału na ten temat nazbierał wystarczająco dużo, prawda?)

Czy może być coś bardziej wymownego?

Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś na temat zazdrości, spytajcie naszego Mistrza – jego osobiste doświadczenia są warte więcej niż dziesiątki respondentów badań psychosocjologicznych.

Cha cha!

Zatem Hedviki nie ma w domu, ale Mojmira na razie w ogóle to nie niepokoi. Jest dopiero wpół do siódmej, więc zakłada, że żonie przeciągnęło się jedno z tych szkoleń o doradztwie finansowym (które, mówiąc na marginesie, całkowicie błędnie uważa za kolejne dziwaczne, ale w zasadzie niegroźne hobby żony, jak na przykład robienie biżuterii z koralików czy batikowanie). Zgodnie ze swoim przyzwyczajeniem z ostatnich lat natychmiast po przyjściu do domu przebiera się w swój strój pacjenta: czarny dres firmy Adidas, obecnie niezbyt czysty, z centymetrową dziurą od rozpalonego węgla na wysokości uda (musicie mi wierzyć, damy, że nawet takie pozornie nieistotne szczegóły są dla zrozumienia nadchodzącej szekspirowskiej sceny bardzo ważne) i oczywiście niezwłocznie otwiera sobie konserwę z szynką i butelkę czerwonego wina, kroi dwie kromki chleba, po czym włącza w telewizji to swoje HBO (mnie nawet nie pyta, czy wybrany program mi odpowiada).

Że Hedviki wciąż nie ma w domu, zaczyna docierać do niego dopiero tuż przed dziesiątą, kiedy kończy się głupi serial kryminalny, który chcąc nie chcąc musiałam obejrzeć z nim (fabuła jest następująca: jakiś cyniczny kretyn morduje żonę w tak wyrafinowany sposób, że podejrzenie pada na jej kochanka, natomiast to zazdrosne bydlę ma pozornie niepodważalne alibi – ale jest to *Made in Hollywood*, więc morderca zostaje na końcu złapany…). Ze względu na temat Mojmir robi się nerwowy już w trakcie filmu – ale naprawdę szaleć zaczyna dopiero po jedenastej, kiedy nawet pozwala sobie bez pukania wtargnąć do mojego pokoju.

– Nie wie pani przypadkiem, gdzie jest?

– Co? Kto? Pańska ładowarka do telefonu? Pańska stracona młodość? Czy Elvis Presley?

Wydaje mi się to naprawdę dowcipne i błyskotliwe, ale ten hipokryta jak zwykle mnie nie docenia.

– No przecież Hedvika! – mówi bez uśmiechu.

Kiedy nie dowcipkuje i ma *taką* minę, zawsze się go boję. W końcu mężczyźni to tylko ucywilizowane zwierzęta. Lecz tym razem na przekór nastrojowi Mistrza pozwalam sobie na dość kąśliwy wypad.

– Nie jest pan odrobinkę zazdrosny? Czyż to nie pan twierdził, że kochać nie znaczy posiadać?

– Niech mnie pani łaskawie nie wkurza – odpowiada ten chorobliwy zazdrośnik i prostak i idzie otworzyć sobie drugą butelkę wina.

Kiedy więc Hedvika wraca o północy do domu, Mojmir jest już nawalony jak stodoła. Ona ładnie ubrana i umalowana, w białych czółenkach – on pijany, spocony, rozczochrany, nieogolony, a na dodatek tupiący tak, że z podeszew jego pogryzionych przez psa kapci nawet w tej dramatycznej chwili kruszy się obeschnięty korek.

– Gdzieś ty kurwa była? – ryczy na Hedvikę ten elegant w dresach (cha cha!).

Słyszycie? *Gdzieś ty kurwa była?*

Wtrącenie: Tego zdania powinno uczyć się dziewczynki już w przedszkolu – podobnie jak uczymy je na przykład, żeby po siusianiu się podcierać, że ogień parzy albo że niektóre grzyby są bardzo trujące. Zdania *Gdzieś ty kurwa była?* powinny uczyć się dziewczyny i kobiety na całym świecie – tak jak uczniowie na całym świecie muszą znać słowa hymnu państwowego. Zdanie *Gdzieś ty kurwa była?* powinno znajdować się na szyldzie każdego sklepu z sukniami ślubnymi oraz wszystkich firm

organizujących śluby i wesela… To zdanie, siostry moje, powinnyście wygrawerować sobie na tych swoich drogich obrączkach. Nie *Z miłości!*, *Na zawsze!* czy *Teraz jestem już tylko twój!* ani żadne tego typu kłamliwe romantyczne pierdoły, ale prosto z mostu i zgodnie z prawdą: *Gdzieś ty kurwa była?*

Może dopiero wtedy, drogie siostry, zrozumiałybyście, dokąd zmierzacie w tych swoich welonach i białych koronkach.

– Gdzieś ty kurwa była? – znów ryczy Mojmir na Hedvikę. – Jest wpół do pierwszej rano!

Jest dokładnie jedenaście po dwunastej i raczej głęboka noc niż rano, ale nie czepiajmy się szczegółów, prawda?

– Piłeś, mam rację? – pyta Hedvika łagodnie.

– A co ma kurwa wspólnego moje picie z tym, że wracasz tak późno?!

– Niby nic – mówi Hedvika, pozornie wciąż zachowując spokój. – Chyba tylko to, że kiedy pijesz, zachowujesz się dokładnie tak nieznośnie jak teraz.

Jej szybka i celna riposta mile mnie zaskakuje.

Jestem z Hedviki naprawdę dumna!

Mojmir też jest zaskoczony, ale chyba z innego powodu.

– Nieznośnie? *Ja* zachowuję się nieznośnie?!

– Tak.

– A co jest kurwa nieznośnego w tym, że uprzejmie pytam, gdzie byłaś?

Niezła dialektyka, co? Co jest *kurwa* nieznośnego w tym, że *uprzejmie py*ta? Marks i Engels zbledliby z zazdrości.

– Po pierwsze w ogóle nie pytasz uprzejmie, tylko napastliwie i wulgarnie, a po drugie, jak oboje dobrze wiemy, zachowujesz się tak tylko dlatego, że znów jesteś zazdrosny.

– No – mówi ten skwaszony idiota – mąż zazwyczaj jest zazdrosny, jeśli żona daje mu do tego powody, nie?

I w tej chwili się to stanie.

– Tyle że ja ani dziś, ani nigdy nie dałam ci powodu do zazdrości, żadnego! – Hedvika niespodziewanie zaczyna krzyczeć. – Nigdy! Bo *ja* w odróżnieniu od ciebie jestem wierna!

Patrzy mu prosto w oczy, a Mojmir, ewidentnie zaskoczony jej kontratakiem, nie zdobywa się na odpowiedź – więc to *w odróżnieniu od ciebie* natychmiast zmienia się w kilka małych płomieni, na które jeszcze teraz wystarczyłoby trzy razy nadepnąć – i byłoby po pożarze. Tyle że sparaliżowany Mojmir nie jest w stanie wykonać nawet tej podstawowej interwencji strażackiej. Nawet niegroźny kontratak Hedviki okazuje się zbyt mocny na jego osłabioną chorobą obronę.

Milczy – a milczenie, jak wiadomo, zawsze było równoznaczne z przyznaniem się do winy. Wiatr gniewu Hedviki rozdmuchuje pożar, a płomienie nabierają na sile.

Po kilku sekundach płonie cały las.

– Widzisz?! Już nawet nie potrafisz zaprzeczyć! – mówi Hedvika z głębokim smutkiem bohaterki antycznego dramatu. – Ale to nieważne, i tak zawsze to przeczuwałam!

I – jak to z upodobaniem mawia często nasz kurwiarz – *jest pozamiatane.*

Chi chi!

Tę swoją *fatalną konspiracyjną wpadkę* Mojmir próbuje później wyjaśnić Feliksowi i innym swoim przyjaciołom nie przy pomocy porównania strażackiego, tylko za pośrednictwem własnej metafory – *komunikacyjnej* (twierdzi bowiem, że mało kto widział pożar lasu, ale doświadczenie

z kryzysową sytuacją na drodze ma prawie każdy). W każdym innym przypadku Mistrz starałby się uniknąć czołowego zderzenia z tą *rozpędzoną ciężarówką o imieniu Hedvika* (porównanie żony do kilkutonowego wozu wydaje mi się wręcz żałosne), ale w tamtej chwili ku swojemu wielkiemu przerażeniu stwierdził, że na przekór wieloletniemu doświadczeniu w prowadzeniu relacji damsko-męskich nie jest po prostu w stanie wykonać tego prostego manewru… Twierdzi, że zobaczył sam siebie, jak kurczowo ściska w rękach kierownicę, i nie ruszając nią ani o milimetr, pędzi wprost ku przedniej masce jadącej z naprzeciwka ciężarówki Hedviki… Kiedykolwiek wcześniej dzięki instynktowi samozachowawczemu zaśmiałby się bez wahania i dzięki kilku wiele razy wypróbowanym zdankom typu *Ach, kochanie, cóż to bzdurka wyleciała z twojej rozkosznej buźki?* albo wręcz *Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak piękna kobieta jak ty myśli, że mógłbym dobrowolnie przelecieć jakąś maszkarę? Ja?! No wybacz! Ty mnie obrażasz!* na pewno uniknąłby wypadku – lecz tym razem z jakiegoś nieznanego powodu tylko zamknął oczy i czekał na to straszliwe zderzenie…

Oczywiście, że jak każdy facet w kraju, on również zna słynne stwierdzenie Plzáka: *zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać!* (za to ogólnonarodowe przesłanie powinni pana kurwiarza Plzáka powiesić, powiesić, powiesić!), ale nie zdało się ono Mojmirowi na nic, ponieważ w tamtej chwili żadnego banalnego kłamstwa *nie był w stanie wymówić* – jakby ktoś wyciął mu język.

– No to strzeliłeś sobie w kolano, debilu! – skomentował to jego przyjaciel Feliks, a ja po raz pierwszy w życiu przyznaję mu rację.

XXIV

Zatem małżeństwo Mojmira jest rozsypce. W kolejnych tygodniach Hedvika prawie z nim nie rozmawia – o pieszczotach czy kochaniu się w ogóle nie ma mowy. Śpi w sypialni ze mną, a w nocy płacze (nie wiem dlaczego).

Titanic życiowego sukcesu Mojmira właśnie zderzył się z krą.

Wszyscy wiemy, że ten okręt w końcu zatonie, ale mimo to musimy obejrzeć jeszcze wszystkie bezskuteczne próby ratownicze, prawda?

Pierwsza i chyba nawet druga wizyta w poradni małżeńskiej miała według Mistrza *jaki taki sens*, lecz już przy trzecim, a tym bardziej przy czwartym spotkaniu męczyło go nieprzyjemne uczucie, że on i Hedvika na dany temat (*Dlaczego dwie osoby, które kiedyś darzyły się miłością, przestały się rozumieć?*) już dawno powiedzieli sobie wszystko, i to tak szczerze, jak potrafili – ale mimo to wciąż tkwią w kręgu tych samych pytań i odpowiedzi i nie stają się ani odrobinę mądrzejsi, a ponadto terapeutka nie tłumaczy im, dlaczego znów krążą wokół identycznych pytań (jej) i identycznych odpowiedzi (ich) niczym tresowane konie lipicańskie na arenie cyrkowej…

Na piątym spotkaniu Mojmir oczywiście nie wytrzymuje.

– Pani doktor, naprawdę powiedzieliśmy już pani zupełnie wszystko, i to cztery razy – przerywa niegrzecznie terapeutce zaraz po tym, gdy na początku spotkania zadaje mu jakieś pytanie. – Proszę nie odbierać tego

jako nieuprzejmej niecierpliwości, ale czy pozwoli pani, żebym teraz ja zadał pani kilka logicznych pytań?

– Oczywiście – odpowiada terapeutka niby bez wahania, a nawet prawie wesoło, niemniej i tak po jej minie można poznać, że nie jest przyzwyczajona do pytań z drugiej strony biurka…

– Może wystraszyła się, że kiedy tak odwrócę sytuację, będzie musiała zapłacić ona mnie – mówi dziś Mojmir sarkastycznie.

– Jak ocenia pani naszą sytuację? – zapytał podobno wtedy terapeutkę. – Po tym wszystkim, co już wiele razy pani powiedzieliśmy… Przy pani bogatym doświadczeniu z tyloma parami w kryzysie… Krótko mówiąc: jak to z nami wygląda? Proszę konkretnie. Nasza *aktualna* sytuacja – podkreśla wyraźnie.

– Aktualna? – powtarza po nim prześmiewczo terapeutka, jakby zamiast słowa aktualna powiedział na przykład *animalna* lub *analna.*

– No, aktualna – odpowiada Mojmir, już podrażniony. – Czego w tym pani nie rozumie? No, *teraz*! Nasza obecna sytuacja, którą opisaliśmy już pani bardzo szczegółowo i bardzo szczerze cztery razy…

Terapeutka zaczyna się śmiać z naiwności Mojmira.

– Ja?! Ja mam wam to powiedzieć?

Mojmir rzuca jej swoje najchłodniejsze spojrzenie.

– Tak, pani – upiera się. – Przecież to do pani tu przyjeżdżamy, więc chyba pani…

Psychoterapeutka już otwiera usta, ale Mojmir nie dopuszcza jej do głosu.

– Szczerze mówiąc, ja od początku opowiadałem się za karciarką albo dobrą wróżką i nawet do głowy by mi nie przyszło, że moja ekożona nie będzie ze mną zgodna, ale ona ku mojemu zdziwieniu nagle odrzuciła pomoc wszystkich swoich przyjaciółek-karciarek i uparła się na panią…

Podobno bardziej wierzy w wiedzę *psychiatryczną* – Mojmir teatralnie rozkłada ręce. – Nagle! Cóż za zmiana – dodaje jeszcze, ale patrzy przy tym na Hedvikę.

Urażona terapeutka milczy.

Mojmir trochę się opamiętuje.

– Nie chciałem pani urazić, przepraszam – mówi. – Mam już zszargane nerwy.

– Rozumiem – odpowiada kobieta pojednawczo.

– To może, na Boga, wreszcie coś nam pani powie! – wybucha znowu Mojmir. – Czy jest dla nas jeszcze nadzieja? Mamy się rozwieść, czy nie?

– To państwo muszą to powiedzieć mnie! – odcina się psycholożka dialektycznie.

– No tak – wzdycha zrezygnowany Mojmir. – W takim razie żegnam.

Wstaje i podchodzi do drzwi. Kiedy ostatni raz ogląda się na gabinet za plecami, widzi, że obie kobiety wymieniają właśnie porozumiewawcze spojrzenie, co jeszcze bardziej go denerwuje – dostrzega w tym geście kolejną zdradę swej żony. Jakby nie wystarczyło, że go opuszcza – myśli. Nie, ona musi jeszcze nawiązać *kobiece porozumienie* z tym dyplomowanym kwestionariuszem… Jego chory mózg natychmiast podpowiada mu dwa nazwiska znanych na całym świecie morderców żon, co go – gdzieś na drugim planie – szczerze bawi.

– Pani doktor, czy zgadnie pani, o jakich nazwiskach pomyślałem na widok waszej wzruszającej kobiecej solidarności? – pyta.

Obie niemal jednocześnie kręcą głową.

– Oscar Pistorius i O.J. Simpson – mówi z satysfakcją Mojmir, ale najwyraźniej ani terapeutka, ani Hedvika nie mają pojęcia, o kogo chodzi. Hedvika to przynajmniej przyznaje.

– A co to za jedni? – pyta prawie z obrzydzeniem.

Mojmir ma już obu tych kobiet powyżej uszu.

– Jeśli nie wiedzie, drogie panie, to sobie to wygooglujcie!

– Na te pytania bez odpowiedzi bez wątpienia odpowiemy sobie sami – mówi potem Hedvice na ulicy skrajnie niezadowolony Mojmir. – Tylko wyjaśnij mi, dlaczego za te pięć godzin absolutnego psychoterapeutycznego milczenia zapłaciliśmy piętnaście tysięcy koron?

– Bo pomogła nam dojść do tych odpowiedzi – mówi Hedvika spokojnie.

– Poważnie? – dziwi się Mojmir. – Ja wciąż cię kocham i, jak dobrze wiesz, wcale rozwodu nie chcę. Tyle że *tę* odpowiedź znałem i znam bez terapeutki.

Hedvika nie mówi na to nic. Nawet na to *ja wciąż cię kocham.*… Ale prosić się nie będę, chyba tyle dumy jeszcze mam – nakazuje sobie Mojmir. Chociaż teraz najchętniej – jeśli ma być wobec siebie szczery – padłby na kolana i błagał… Boże, daj mi siłę, żebym tego nie zrobił – powtarza w duchu. Boże, proszę!

– A ty? Dowiedziałaś się tam czegoś?

Hedvika milczy.

Mojmir patrzy na jej ładną twarz, ładne oczy, ładne piersi, ładne nogi – i ten ładny tyłeczek.

– Tak – mówi Hedvika. – Że ja chcę rozwodu.

Mistrz zapewne czeka (znamy go, prawda?), że rozstąpią się niebiosa albo że przynajmniej zderzą się czołowo dwa auta – ale nie dzieje się nic. W ogóle nic. Najwyraźniej on i Hedvika są niebiosom całkowicie obojętni – myśli.

– Aha. No skoro tak… – mówi.

Wciąż jeszcze stoi na nogach, wciąż nie padł na kolana na bruk, ale nie potrafi już spojrzeć na żonę.

– No to przynajmniej coś się nam wyjaśniło. Mnie dawała tylko pytania, ale tobie, jak widzę, protekcjonalnie również odpowiedzi… Czy ona nie jest tak trochę lesbijką?

Hedvika milczy.

– No cóż. Lepszy jakiś efekt niż żaden – kontynuuje Mojmir już naprawdę zdruzgotany. Tylko się nie rozpłacz! – nakazuje sobie. – W takim razie to nie było w sumie aż takie drogie, nie? – dodaje.

Ostatni żart – myśli.

Ostatni pocałunek mają dawno za sobą.

Przez resztę drogi do domu uparcie milczą.

– Kim są ci dwaj? – odzywa się wreszcie Hedvika, kiedy parkują przed blokiem.

Po raz ostatni – myśli prawdopodobnie żałośnie sentymentalny Mojmir. Od dziś już tu nie mieszka, więc nie będzie tu też parkować. Już nie zobaczy wiosną tych magnolii w parku.

Do Bansethów i do Baretty też już raczej chodzić nie będzie. Od dziś w jego rodzinnym domu mieszka ona.

– Pytałam, kim są ci dwaj? – odzywa się znów Hedvika.

– Jacy dwaj? – nie rozumie Mojmir, który większość rzeczy zapomina po pięciu sekundach.

– No ten Pistorius i ten drugi?

– Lekkoatleta i futbolista amerykański, chwilowo być może najsłynniejsi przestępcy na świecie.

Hedvika wciąż nie rozumie.

– Obaj zabili swoje żony – wyjaśnia Mojmir sucho.

Z pewnością chciał nacieszyć się tą starannie przygotowaną pointą, ale ku mojej radości Hedvika mu to psuje.

– Razem? – pyta dość naiwnie.

– Jak razem, do cholery? – mówi zirytowany Mojmir. – Każdy swoją.

XXV

Stało się!

Nasz biedulek kurwiarz czuje się poniżony i skrzywdzony… Przecież aż tak bardzo nie nabroił, nie? To przecież niesprawiedliwe! – wścieka się nasz trzyletni chłopczyk. No dobrze, zgoda, bzyknął jedną salę konferencyjną pełną kobiet, nie mówi, że nie, nie będzie się wypierać. Owszem, to prawda, że był tak jakby żonaty – no i co?! Pokażcie mi faceta, który czasem nie odleje się pod latarnią zamiast w toalecie!

Jesteśmy *latarniami*, damy, słyszycie tego idiotę?

Czyż nie kochał Hedviki? – zawodzi ten biedak. Czyż nie zbudował jej domu za pięć milionów? Czy nie kupił jej volvo? Nie zabierał na Malediwy? Nie umożliwił wspaniałomyślnie realizacji wszystkich tych zasranych hobby? Nie chodził z nią na prezentację połowy alternatywnych szkół w całym kraju, żeby wybrać tę najlepszą, tę najbardziej alternatywną? Nie gryzmolił pism do ministerstwa edukacji i nie prosił o rozszerzenie edukacji domowej na wyższe stopnie szkoły podstawowej (pomimo iż Mojmir – podobnie jak panowie ministrowie – całą tę edukację domową miał głęboko w dupie?). Czy kiedykolwiek zakazywał im tego uczenia w domu? Nie zakazywał! Nawet gdy wszędzie biegało dziesięcioro dzieciaków zajmujących się tylko hałasowaniem i bałaganieniem! Czy nie pisał po nocach do sazawskiego burmistrza petycji przeciwko wycince drzew w alejach? Czyż nie umożliwił Hedvice rozpoczęcia kursów najpierw na doulę, a potem na doradczynię finansową (chociaż o tej

kafkowskiej przemianie myślał i myśli swoje – i chociaż wiedział przecież już wtedy, że swoim błogosławieństwem podcina gałąź, na której siedzi?).

– Kiedy pozwolisz feministce zarobić własną kasę, w ciągu tygodnia zwieje ci z domu – mówi mu (oczywiście w mojej wyobraźni) Feliks. – Trzeba było krócej ją trzymać!

– Ale ja nie chcę nikogo trzymać krótko! – krzyczy oburzony Mojmir. – I nikogo tu na siłę nie trzymałem! Czy nie miała pieniędzy i swobody? Czy ja, do cholery, naprawdę nie robiłem nic innego, tylko pisałem, biegałem, piłem, jadłem i cudzołożyłem?

– Nie, coś ty. Jeśli tak twierdzi, to jest niesprawiedliwa – mówi Feliks.

– No właśnie! – wścieka się Mojmir.

– *Prawie* nic innego nie robiłeś – uściśla Feliks. – Ale takich subtelnych niuansów kobieta nie zrozumie.

Mojmir prawdopodobnie zastanawia się, czy ma Feliksowi przyłożyć, ale po chwili z tego pomysłu rezygnuje. Zbyt wiele osób już mu na tym świecie nie zostało – myśli zapewne.

– Wiesz co, Szwejku jeden? – proponuje. – Lepiej nalej mi czegoś bardzo drogiego…

– No, dzięki Bogu! – podsumowuje z zadowoleniem Feliks. – Wreszcie zaczynasz mówić do rzeczy!

XXVI

Mistrz zostawił Hedvice i dzieciom swoje snobistyczne mieszkanie w Pradze (oczywiście ze wszystkimi włoskimi meblami, fińskimi łóżkami i pozostałym wyposażeniem), a brat Janek potem dwoma kursami swoim dużym autem przeprowadził go do domu w Sazawie. Hedvika i ja dzięki olbrzymiemu bagażnikowi brązowego volvo nazajutrz bez problemów przemieściłyśmy się do praskiego mieszkania. Nam również, podobnie jak Mojmirowi, wystarczyły zaledwie dwa kursy. Mistrz przyglądał się naszej przeprowadzce przygnębiony, ale przynajmniej pomógł zapakować wszystkie te przepełnione skrzynki i ciężkie, niebieskie torby z IKEA.

– Nie wydaje ci się smutne, że piętnaście lat ludzkiego życia mieści się w bagażniku samochodu? – pyta jeszcze tego dnia Feliksa.

– Volvo dziewięćdziesiątka to wielkie, terenowe auto – odpowiada mu zapewne przyjaciel. – I oczywiście ładne – dodaje od razu, żeby Mojmir nie poczuł się urażony (to brązowe volvo było urodzinowym prezentem dla Hedviki).

– No dobrze, ale i tak – nie poddaje się Mojmir. – Nie rozumiesz, co miałem na myśli? Przecież nieważne, jakie to auto, nie?

– Właśnie, że ważne. A jakie auto ma twój brat?

– Superb combi – wzdycha Mojmir.

– Superb, i to combi? Tę wielką krowę? To wszystko jasne! – mówi Feliks zadowolony. – W takim razie nie dziwię się, że nawet twoje *bogate, ludzkie życie* zmieściło się w bagażniku!

Ale na przeprowadzce ta smutna historia się nie kończy. Trzeba zmienić też adresy w dokumentach, stałe przelewy i wymienić wszystkie zamki.

– Małżeństwo, madame, widzi pani? – mówi mi Mojmir, zapłaciwszy młodemu ślusarzowi prawie pięć tysięcy koron. – Najpierw jubiler, a na koniec ślusarz… Dobre, nie?

– Nie – odparowuję.

– Niech pani nie kłamie, jako przyszła pisarka musi pani przecież wyraźnie słyszeć, że właśnie udał mi się całkiem niezły aforystyczny skrót. Może to pani wysłać do tych swoich „Krzyżówek", czy jak się to pisemko nazywa?

Milczę.

– Pani naprawdę tego nie słyszy? W takim razie zaczynam się poważnie martwić o pani karierę pisarską. Słyszała już pani kiedyś o głuchym kompozytorze?

Cholera! Smetana – uświadamia sobie Mistrz od razu. To mi nie wyszło – wyrzuca sobie zapewne.

– W odróżnieniu od pana rzeczywiście słyszałam – odpowiadam z dumą.

– Naprawdę? – Mistrz głupkowato udaje, że nie wie, o czym mówię. – Michal David?

I nawet zaczyna śpiewać!

– Żegnają się dyskochłopaki… – kracze fałszywie (i zaraz przerywa, bo uświadamia sobie, że następnych słów nie zna). Oboje jednak wiemy, że tymi przygłupimi żarcikami stara się zakryć to, że po rozstaniu z Hedviką znalazł się na dnie.

Ale cóż zrobić – myślę złośliwie – jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, prawda?

XXVII

Hedvika mieszka teraz z dziećmi w Pradze, więc już tak często jej nie widuję, ale zawsze, kiedy spotykamy się w którejś z praskich kawiarni i rozmawiamy, jestem z niej dumna (przy moim boku przeszła wielki rozwój!) – natomiast na widok Mojmira do dziś śmieję się rozbawiona.

Siedzimy akurat na tarasie domu w Sazawie. Przed południem pomagałam z Feliksem Mistrzowi w coraz bardziej zaniedbanym ogrodzie: stękający pan gryzipiór wlókł po trawniku hałasującą kosiarkę, ja wyrywałam pokrzywy i inne chwasty z klombów wzdłuż domu, a Feliks przycinał przerośnięte krzewy przy ogrodzeniu.

Po dwóch godzinach Mistrz ogłasza fajrant, otwiera butelkę drogiego włoskiego czerwonego wina (którego nazwa nic mi nie mówi), nalewa je do trzech kieliszków i jeden naprawdę podaje również mnie (do ostatniej chwili nie wierzyłam, że to zrobi).

– Niech pani pije, ale milczy – nakazuje mi przy tym prostacko. Potem obraca się do Feliksa i pokazuje mu brązowo-zielone palce i brudne paznokcie.

– Nieźle skończyłem, co?! – rzuca. – Patrzcie, co robię ja, a co teraz robi ona: gra w golfa!

– Ironia losu – wzrusza ramionami Feliks.

– Kurewsko *złośliwa* ironia losu! – poprawia go Mojmir i oczywiście znów zaczyna litanię, którą ja i Feliks słyszeliśmy przez ostatni tydzień przynajmniej pięć razy. Leci mniej więcej tak: Hedvika w końcu rzuciła

wszystkie te feministyczne i ezoteryczne *pierdoły,* ale on – Mojmir – nie mógł nawet nacieszyć się swoim rzekomym triumfem, ponieważ jego żona natychmiast zmieniła się w doradczynię finansową… Zatem zamiast odczuwać satysfakcję, wciąż jest wkurzony, tylko z innego powodu.

– Z deszczu pod rynnę – krzyczy Mojmir i rękoma z brązowo-zielonymi palcami gestykuluje tak zapalczywie, że wylewa to swoje drogie wino na trawnik.

Wpada w furię. Podobno znów okazało się, że miał rację!

Chi chi – myślę, ale wolę nic nie mówić.

– Normalnie zdradziła wszystkie te swoje feministyczne ekoideały – oświadcza Mojmir. – A razem z nimi wszystkie ekokoleżanki! Zaprzedała się mamonie! To jest zdrada! Nic innego niż zwyczajna zdrada!

Feliks i ja obawiamy się, jaki wpływ będą miały te nagłe emocje na chore serce Mojmira.

– Oczywiście, że to *jest* zdrada – przytakuje Feliks ostrożnie. – Ale zadaj sobie następujące pytanie: co czeskie kobiety mają od pokoleń w genach? I co od pokoleń przekazują swoim córkom?

Mrugam zaszokowana, ale nikt z panów mojego mimicznego śmiechu nie zauważa.

– Nie wiem. A synom tego nie przekazują? – pyta Mojmir. – W genach?

– Jasne, że synom też. Ale kto rodzi dzieci? Kobiety!

Śmieję się wymownie z tej mądrości, ale Mojmir poważnie rozważa upław myślowy Feliksa. Nagle pojmuję, do czego ta tyrada Feliksa zmierza – i nie mogę uwierzyć własnym uszom.

– No dobrze. To co mają w genach czeskie kobiety? – pyta tymczasem Mojmir.

– No przecież Białą Górę! – mówię prześmiewczo.

– Dokładnie! Białą Górę! Przymusową rekatolizację – krzyczy Feliks.

Mojmir również zaczyna rozumieć.

– Jasne! Ten Rynek Staromiejski! – wręcz krzyczy. – To przecież nie może być przypadek!

Dziko kiwa głową – niemal tak, jak te ohydne figurki na deskach rozdzielczych aut, których kierowcy stracili ostatnie resztki gustu.

– A co dokładnie? – mówię prześmiewczo. – Że prawie umarł pan blisko miejsca, w którym wykonano egzekucję na dwudziestu siedmiu czeskich przeciwnikach rekatolizacji? Panowie, za dużo pijecie!

– Niech pani trzyma język za zębami, madame! – ucisza mnie bezczelnie Mojmir.

Feliks podnosi głos.

– Nie kawałek od miejsca, tylko *w tym samym* miejscu! Czy to nie wydaje ci się przynajmniej dziwnie symboliczne?!

Lecz ku jego rozczarowaniu Mojmir na razie milczy.

– I jednocześnie jakieś *fatalne*?! – nalega Feliks. – Naprawdę mistyczne?!

– Nie. Wydaje mi się to trochę bezsensowne – mówi Mojmir.

– Bogu dzięki! – krzyczę. – Wraca panu rozum!

Piję łyczek wina i z zadowoleniem patrzę na zielony ogród, a Feliks siedzi z obrażoną miną.

– Ale kto wie, może masz rację – przyznaje niestety nagle Mojmir. – Może Czesi mają zdradę w genach.

– Jasne, że mają! Jeszcze w sierpniu *Do domu, Iwan*, a w grudniu *Ze Związkiem Radzieckim po wsze czasy!* Dlaczego przez te wszystkie lata zdradzałeś Hedvikę z tak swobodną oczywistością? Bo masz to w genach!

Śmieję się głośno, ale obaj panowie całkowicie mnie ignorują.

– A dlaczego ona zdradziła ciebie? Z tego samego powodu! Ma to w genach!

Najwyraźniej Mojmir przypomina sobie, że podczas gdy on dyskutuje tu na temat mistycznych powiązań między swoją niedoszłą śmiercią i predyspozycjami genetycznymi narodu do zdrady, jego żona jest na spotkaniu z jakimś klientem banku, dla którego oficjalnie pracuje od kilku tygodni – i bez wątpienia wyobraża sobie Hedvikę i jakiegoś młodego idiotę w zgrabnym kabriolecie BMW (czyli w aucie będącym symbolicznym przeciwieństwem jego ciężkiego i wielkiego volvo).

Feliks ma rację – myśli zapewne.

Czeskie kobiety mają zdradę w genach!

Przecież to ewidentne – przekonuje w myślach Mojmir sam siebie, znów dolewa sobie wina i wypija kieliszek jednym haustem.

– Oczywiście! To jest zdrada! – krzyczy nagle, patrząc prosto na mnie. – Już nie eko, tylko cash flow! Już nie spotkanie czy randka, tylko miting! Już nie pomoc, tylko sponsoring! Już nie mąż, tylko dłużnik! – wścieka się szaleńczo. – Już nie biosery, biomleko i biojajka, tylko pożyczki, kredyty i ubezpieczenia! Już nie doula, tylko dolar! Już nie EKO, tylko EURO! Już nie porody w domu, tylko home credit! Już nie jesteśmy spłukani, jesteśmy w insolwencji! Stop mulczowaniu, rozpocznijcie refinansowanie! – Na kilka sekund milknie, ale kiedy tylko łapie oddech i wypija kolejny łyk wina, kontynuuje zapalczywie: – Spotkania z kobietami, które nie chcą kupować warzyw pełnych azotanów, mięsa z niehumanitarnych farm, mydeł i proszków do prania pełnych niebezpiecznej chemii i które kategorycznie sprzeciwiają się wysyłaniu swoich dzieci do szkół prywatnych, które są zbyt drogie, a tym bardziej do szkół państwowych, które w ich cudownych latoroślach stopniowo zabiłyby całe piękno, witalność i indywidualność oraz pragnienie zdobywania wiedzy, i gdzie

zmęczone, kiepsko opłacane i permanentnie sfrustrowane *towarzyszki nauczycielki* zmieniłyby ich cudowne, dociekliwe i pewne siebie dzieci w niesamodzielne, niekreatywne i zakompleksione istoty – wyrzuca z siebie wściekły Mojmir – zostały z dnia na dzień zastąpione mitingami, briefingami, workshopami i teambuildingami! Wielogodzinne paplanie z kobietami, które przez całe dnie, tygodnie, miesiące i lata uczą swoje latorośle w domu, a po tej nauce spotykają się i wymieniają swoje ekopedagogiczne doświadczenia z innymi kobietami, które też uczą dzieci w domu – wścieka się Mojmir, uderzając nawet gwałtownie dłonią w masywny blat stołu – zostały za dotykiem czarodziejskiej różdżki zamienione na biurowe i kawiarniane spotkania z przedsiębiorcami, którym Hedvika obniża koszty, zwiększa zyski inwestycyjne, poprawia zyskowność lokat, korzystnie refinansuje ich pożyczki i w ogóle tak zupełnie bezinteresownie optymalizuje to ich zasrane cash flow!

– Mistrzu, niech pan się uspokoi – mówię, kiedy wreszcie zdyszany na chwilę milknie. – Bo znowu coś panu pęknie…

Ale Mojmir już się rozkręcił i całkowicie mnie ignoruje.

– Gdyby tę jej błyskawiczną przemianę zobaczył magiczny iluzjonista Houdini, zbladłby kurwa z zazdrości i natychmiast zawiesiłby swój fach na kołku! – krzyczy na Feliksa, który już szczerze żałuje, że wywołał to wszystko swoją lekkomyślną uwagą na temat wpływu pobiałogórskiej rekatolizacji na charakter Czeszek.

– Potrzebuję kartkę i długopis – krzyczy nagle Mistrz.

Zapewne sądzi, że powinien zapisać sobie całą tę litanię. Bo jeśli tego nie zrobi, bez wątpienia wszystko zapomni. Oczywiście nawet nie drgnę (nie pozwolę robić z siebie służącej!), ale Feliks wzdycha i odsuwa krzesło. Potem wstaje, idzie do domu i po chwili wraca z długopisem i małym notesem, w którym Mojmir zapisuje rzeczy, które powoli kończą się w jego

starokawalerskim domostwie. Bez słowa podaje notes Mistrzowi, a Mojmir rzeczywiście od razu zaczyna pisać. Minę ma wściekłą.

– Ale dlaczego tak cię to denerwuje – pyta po chwili Feliks. – To jest po prostu ewolucja. To jest życie.

Mojmir wciąż pisze.

– Ewolucja? – mówi prześmiewczo, nie podnosząc wzroku znad tekstu. – To jest dokładnie to samo, co rekatolizacja, w dodatku niewymuszona! Ona bez groźby jakichkolwiek egzekucji dobrowolnie zdradziła wszystkich wokół siebie!

– Kogo na przykład? – pytam odważnie.

Mojmir podnosi oczy i karci mnie wzrokiem.

– Na przykład matki, których dzieci uczyła w domu! Ludzi, z którymi tak zapalczywie dyskutowała o edukacji! Ludzi, którzy pomagali jej pisać petycje do ministerstwa! Swoich przyjaciół! Ludzi, którzy uzależnili się od jej ekoskrzyneczek. Feliksa. Mnie. Panią. Zdradziła ludzi, którzy ją kochali! Normalnie wysłała nas na egzekucję.

– Ja nie czuję się zdradzony ani stracony – mówi Feliks pojednawczo. – Po prostu życie to permanentna zmiana.

Być może uświadamia sobie, że role się odwróciły i że teraz paradoksalnie broni Hedviki, pomimo iż to właśnie on wywołał całą tę szaloną dyskusję.

Mojmir znów sobie dolewa.

– Zbrojne przewroty polityczne też w to wliczasz? – pyta zjadliwie Feliksa.

– Nie bądź demagogiem.

– Jakim kurwa demagogiem – krzyczy Mojmir. – Cywilizowane życie to łagodna, logiczna *ewolucja,* a nie krwawa *rewolucja*! Stopniowy,

powolny rozwój, a nie ten krwawy *pucz poglądów*! Nie to radykalne wyparcie się wszystkiego, co było tu jeszcze wczoraj!

– Gdzie jest ta krew? – pyta rzeczowo Feliks.

A teraz uważajcie! Nasz komediant jednym ruchem rozdziera koszulę i pokazuje Feliksowi i mnie swoją dawno zagojoną bliznę wzdłuż klatki piersiowej.

– Tutaj!

Nie tylko ja, ale nawet Feliks parska śmiechem. Mojmir naturalnie się obraża.

– Z czego się kurwa śmiejesz?! Czy to nie ty mówiłeś, że ten Rynek Staromiejski to nie był przypadek?!

– Wiesz co? Lepiej już nie pij…

– Czyli ty też mnie zdradziłeś?!

Mojmir jeszcze przez chwilę wykrzykuje, ale zaraz potem zgodnie z oczekiwaniami usypia.

Słowna rewolucja właśnie się zakończyła.

XXVIII

Tak jak świeżo pomalowany mur natychmiast zaczyna kusić graficiarzy, tak świeżo rozwiedziony, czy nawet tylko rozwodzący się mężczyzna automatycznie przyciąga swatów – pisał Mojmir. – Obcego człowieka z tego typu pomysłami wyrzucić jest łatwo, ale kolegom, jak wiadomo, odmawia się najtrudniej.

Wprawdzie nie jestem bezpośrednim świadkiem tych swatowskich manewrów, a tym bardziej spotkań zapoznawczych, ale możecie mi wierzyć, że wyglądają mniej więcej tak:

– Przyjedzie jutro! – oświadcza Mojmirowi w ogrodzie sąsiad Tomasz, którego z Mojmirem (podobnie jak z kilkoma innymi sąsiadami) oprócz płytkiej męskiej przyjaźni łączy też dziecinne opętanie mięsem pieczonym na grillu i fizyczne uzależnienie od alkoholu wszelkiego rodzaju i jakości.

– Kto? – nie rozumie Mojmir.

– No przecież twoja trzecia żona.

– Ja nie mam żadnej trzeciej żony – sprzeciwia się zdecydowanie Mojmir, próbując jednocześnie wyrwać spośród lawend broniącą się zaciekle pokrzywę.

– Ale *będziesz* miał! – zapewnia go Tomasz.

– Super – mówi przygnębiony Mojmir.

Rzuca pokrzywę na taczkę i kontynuuje plewienie.

– I nawet nie myśl, że będziecie tylko szczebiotać i że nie przyjdziesz jej nam przedstawić – uśmiecha się Tomasz. – To byłaby czysta

niewdzięczność!

Mojmir nie wie, czy najpierw ma zareagować na *szczebiotanie* czy na *niewdzięczność*. Musi to jakoś połączyć – myśli.

– Nie mogę wypowiadać się w imieniu tej damy, ale ja *szczebiotać* z pewnością nie będę. Moje szczebiotanie jest bez wątpienia wykluczone. A po drugie… – milknie, bo ten drugi argument od razu wyleciał mu z głowy. Co to było, do cholery? Już wie! Niewdzięczność! Ten Geratam chyba naprawdę działa. – A po drugie: czy na pierwszym spotkaniu mam jej przedstawiać swoich *sąsiadów*? Żeby zaprzyjaźniła się z wami, bo przecież wkrótce się tu wprowadzi?

Na znak sprzeciwu macha inną, tym razem ponad metrową pokrzywą.

– Dokładnie tak! – mówi zadowolony Tomasz. – W ten sposób pokażesz jej, że wierzysz w waszą wspólną przyszłość.

Pokrzywa w powietrzu przyśpiesza.

– Tyle że ja *nie wierzę* w naszą wspólną przyszłość! Ja chwilowo nie wierzę nawet w *swoją własną* przyszłość! Nikomu nie mogę zagwarantować, że jutro nie rzucę się pod którąś z twoich ciężarówek, więc jak mam do cholery wierzyć we wspólną przyszłość z jakąś całkowicie obcą laską?!

– Pod moje ciężarówki łaskawie się nie rzucaj, wybierz sobie kogoś z konkurencji, dobra? – odpowiada Tomasz niewzruszony. – A po drugie: to nie jest żadna obca laska, tylko sprawdzona koleżanka kolegi… A przy okazji: ma na imię Kamila! Mówiłem ci to już ze cztery razy. Spróbuj chociaż dzisiaj utrzymać tę wiadomość w swojej chorej głowie, jasne?

Pokrzywa prawie się zatrzymuje.

– *Sprawdzona koleżanka kolegi?* – powtarza Mojmir sarkastycznie. – To całkowicie zmienia postać rzeczy! W takim razie z tą… jak ma na imię?

Bezradnie przejeżdża wzrokiem po pobliskich krzakach ligustra pospolitego, jakby spodziewał się, że to zapomniane imię będzie na nich wypisane.

– Kamila, idioto!

– W takim razie za miesiąc biorę z Kamilką ślub!

Tomasz radośnie kiwa głową.

– Byłbyś głupi, gdybyś tego nie zrobił – przytakuje. – Kolega sprawdził ją pod każdym względem!

Mojmir przesuwa wzrok z ligustra pospolitego na Tomasza i wskazuje na sąsiada pokrzywą.

– To świetna informacja. Wreszcie będę miał w życiu coś godnego zaufania! Na pewno pod każdym względem? Nie chciałbym po ślubie dowiedzieć się, że nie potrafi strzelać z cipki piłeczkami pingpongowymi…

Tomasz rozprawia się z jego sarkazmem jednym machnięciem dłoni.

– Chyba nie jesteś zazdrosny? To logiczne, że kiedy spała z nim, ciebie jeszcze nie znała, nie?

– Logiczne – potwierdza Mojmir i znów parzy się o pokrzywę.

– Logiczne, że kiedy cię pozna, nie będzie już sypiać z nikim innym, nie?

– Tego nie wiem – mówi Mojmir. – Wprawdzie *brzmi* to logicznie, ale z drugiej strony pewności mieć nie można, prawda?

– Za mało pieprzysz i za dużo myślisz! – konstatuje Tomasz.

Mojmir wzdycha i podnosi wzrok znad pokrzyw do nieba.

– Od dwóch lat nie pieprzę *wcale*, a myślę według mnie tyle, ile trzeba… – oświadcza, ale Tomasz najwyraźniej na żadne inne wykręty nie zamierza już reagować.

– Przede wszystkim nie zapomnij jej nam przedstawić! – powtarza uparcie.

– Ty naprawdę myślisz, że na pierwszej randce mam jej przedstawiać swoich *sąsiadów*? – protestuje Mojmir.

– Dokładnie! – potwierdza Tomasz wesoło, ale potem dodaje poważnie: – Dlaczego nie?

– A kogo przedstawię jej na *drugiej* randce, o ile w ogóle do niej dojdzie? Swoich czytelników? Czy kogo?

– Na drugiej randce przedstawisz jej już tylko swojego wojownika – śmieje się Tomasz. – Normalnie powiesz jej: A to jest ten mój Winnetou, czerwony dżentelmen! Zabawne, nie?

– Nie.

Do taczki leci ostatnia dzisiejsza pokrzywa. Tomasz ignoruje odpowiedź Mojmira. Mistrz odkłada rękawice robocze i razem z Tomaszem wchodzi z ogrodu do domu.

– Nie sądzisz, że też powinienem pisać? – zastanawia się Tomasz na głos. – Słuchaj, na przykład taka powieść o tirowcach, to musiałby być bestseller! Dam ci całą fabułę, a ty to tylko napiszesz. Kasą podzielimy się uczciwie, pół na pół… Wchodzisz w to?

Mojmir wyciąga z lodówki dwie butelki piwa, zamyka drzwiczki – i dopiero kiedy zauważa moje spojrzenie, jeszcze raz niechętnie otwiera lodówkę i sięga po trzecią butelkę, którą podaje mi z należycie skwaszoną miną. Potem znów zwraca się do Tomasza.

– Jasne, to *uczciwy deal*. Ty opowiesz mi kilka historyjek, ja rozpiszę je na trzystustronicowy bestseller, którego sprzeda się sto tysięcy egzemplarzy, a około trzech milionów koron zysku podzielimy na pół…

– Dokładnie! – potwierdza Tomasz radośnie. – Widzę, że już to przemyślałeś! Stary, bardzo się cieszę!

Nagle znów poważnieje i zatroskany rozgląda się po domu.

– Tylko weź tu trochę posprzątaj! – nakazuje Mojmirowi. – Żeby nie myślała, że jesteś bałaganiarzem!

– Ale ja *jestem* bałaganiarzem. Sprzątać nie będę. Nie będę ukrywać swojej prawdy.

– Jasne! – mówi Tomasz z dezaprobatą. – Dokładnie to zrobiłeś ostatnio, i jak to się skończyło?

– Źle – wzdycha Mojmir.

Ta odpowiedź ewidentnie Tomasza nie satysfakcjonuje.

– Jak to się *dokładnie* skończyło? Powiedz to! Przypomnij sobie, żebyś przypadkiem znów nie zapomniał!

– Daj mi spokój, kretynie – mówi Mojmir, ale uśmiecha się. Nawet do mnie!

– Nie ma mowy! Powiedz to głośno i wyraźnie. Na czym człowiek ląduje, kiedy za dużo mówi?

– Na ryju – przyznaje niechętnie Mojmir.

– Dokładnie – mówi Tomasz zadowolony. – Więc widzisz! Bądź tak miły i tym razem tę swoją pieprzoną prawdę starannie ukrywaj, dobra?

XXIX

– Nie muszę ściągać butów, prawda? – mówi ta dziewczyna, kiedy tylko przekracza próg.

Ma szczupłą, wysportowaną sylwetkę i całkiem ładną, choć tuzinkową twarz, która na dodatek z powodu mocnego makijażu i piercingu pod dolną wargą wygląda trochę wulgarnie.

Mimo to powinienem zachowywać się całkiem swobodnie – nakazuje sobie Mojmir. Nie mogę sprawiać wrażenia pacjenta – przypomina sobie tę rzekomo najważniejszą radę Tomasza.

– Nie. Wystarczy, że zdejmiesz ubranie. Nie lubię kupować kota w worku – stara się być rozluźniony, lecz wszystko wskazuje na to, że dziewczyna zaraz wyjdzie. Szuka czegoś w torebce, ale ku zdziwieniu Mojmira nie jest to gaz pieprzowy, tylko papierosy. I natychmiast jednego zapala.

Dopiero potem odpowiada.

– Ha ha – mówi bez uśmiechu.

Chyba jest o dziesięć sekund opóźniona – myśli Mojmir. Zresztą męski i kobiecy czas od zawsze się rozchodzą – w małżeństwie z Hedviką zrozumiał to doskonale. Skoczę do Ani, będę za *godzinkę* – mawiała, ale z jednej godzinki zawsze robiły się trzy. Lecz bądźmy obiektywni – my, mężczyźni, pod tym względem zbytnio się od kobiet nie różnimy – rozważa Mojmir, podczas gdy wysokie szpilki złotych bucików bezbłędnie trafiają do pokoju dziennego (ma orientację w terenie – zauważa Mojmir na drugim

planie swych myśli – to może okazać się przydatne). Na przykład on sam wrócił kiedyś z *popołudniowego* występu na Sazawafest w Beneszowie dopiero nazajutrz w południe, a w swojej *tułaczej torbie* miał tylko wymięty i przemoczony tekst opowiadania, które czytał tam młodej widowni, oraz mokre slipy, bowiem pół nocy spędził całkowicie pijany w jakimś rodzinnym basenie. Jedyne, co pamiętał, to pary i trójkąty całkowicie obcych ludzi wesoło kopulujących w wodzie. On oczywiście też chętnie by wtedy kopulował, ale ponieważ po południu, wieczorem i w nocy wypił około trzech litrów czerwonego wina, nie stanął mu, chociaż reanimował tam tego maluszka jak topielca. (Nie opowiadał już tego? A jeśli tak – to czy przynajmniej tak samo?) Jednak jego brneński kolega Paweł jak zwykłe go przebił: on wyszedł w kapciach wynieść śmieci do kontenera przed domem i wrócił dopiero po trzech dniach, i to tylko po skrzypce, bo kompani w barze wpadli w rzewny nastrój…

Rozmowa na początku zbytnio się nie klei. A czego się spodziewał? – pyta sam siebie Mojmir. Głębokiego, wewnętrznego zrozumienia po pierwszym *dzień dobry?*

– Upał, co? – mówi ta dziewczyna i wsuwa palec wskazujący prawej ręki za dekolt koszulki, niezwykle cnotliwie odchyla materiał tak, by Mojmir nie dostrzegł ani centymetra rynienki między piersiami, pochyla głowę i około dziesięciu razy głośno dmucha na swoje zakulisowe skarby. Kiedy wreszcie podnosi głowę, jest jeszcze bardziej czerwona niż przedtem. Jakieś trzy lata temu Mojmir zaproponowałby (całkiem poważnie, nie tak żartobliwie jak przed chwilą), żeby tę koszulkę ściągnęła, ale dziś zastanawia się już tylko, co by poczuł, gdyby do tego zaparzonego kobiecego chlewika wsunął na chwilę swój przewrażliwiony nosek. Tylko mi się tu nie rozbieraj, babo – myśli w duchu.

– Chcesz coś do picia? – pyta.

Ma nadzieję, że to neutralne pytanie nie może niczego zepsuć. Chętnie dodałby do niego imię, ale zdążył je już zapomnieć. Sonia? Joanna? Naprawdę nie wie.

– Jakiegoś długasa – prosi dziewczyna. – Lubisz długasy? – upewnia się jeszcze.

Jestem absolutnie pewna, że Mistrz nie ma najmniejszego pojęcia, o czym ta dziewczyna mówi, ale prawdopodobnie nawet on pojmuje, że *długasy* odgrywają w jej życiu ważną rolę. Może nawet większą niż fagasy – myśli zapewne. Jeśli więc on nie lubiłby długasów – *cokolwiek by to kurwa nie było* – nie ma u niej szans..

– No jasne. *Lubię* długasy.

Gdyby to zdanie usłyszał krytyk literacki Jiří Peňás – myśli być może Mojmir gorzko – do końca życia nie odezwałby się do mnie ani słowem – a on, Mojmir, nie mógłby nawet mieć mu tego za złe.

– A jakie konkretnie?

Trudno, musi to jakoś przecierpieć – stwierdza z pewnością Mojmir. Długasy i całą resztę. Tylko ten jeden raz – i basta. Wytrzyma jeszcze pół godziny, żeby fiasko nie było tak oczywiste, a potem się jej pozbędzie – planuje w duchu. W wojsku mawiało się, że kilka miesięcy człowiek wytrzyma nawet z bagnetem w dupie… Wprawdzie tych miesięcy było dwanaście, ale i tak jakoś je przeżył, podobnie jak pozostali, więc chyba, na Boga, przetrwa też jakoś godzinę z Piercingiem… Ale jutro na wszelki wypadek wymieni wszystkie zamki. Robił to po odejściu Hedviki, ale będzie musiał zrobić raz jeszcze – bo nie chciałby obudzić się w nocy i zobaczyć nad sobą wkurzonego Piercinga (w gorszym przypadku z nawalonym kumplem Dziarą).

– Z czego się śmiejesz? – pyta teraz Piercing.

Być może Mojmir uświadamia sobie, że słowo *piercing* brzmi podobnie jak nazwa tych rakiet balistycznych. Czy wcześniej randki też były *aż tak* męczące? – zastanawia się.

– Z długasów – kłamie.

Nigdy by nie uwierzył, że wymówienie jednego, wprawdzie całkowicie nieznanego, lecz fonetycznie prostego słowa, może być dla człowieka tak niewiarygodnym wysiłkiem psychicznym. Wydaje mu się to dziwne. Oczywiście rozumie, że wypowiadaniu słów typu *kiła* lub *białaczka* towarzyszą pewne problemy emocjonalne – ale *długasy*? Ta dziewczyna już patrzy na niego krzywo, a on przy spojrzeniu na nią właśnie głośno przełyka ślinę. Dlaczego jest przy niej taki spięty? – wyrzuca sobie. Kurwa, przecież to on jest u siebie! Tylko co to są te długasy? Jego wciąż jeszcze nie w pełni zdrowy mózg ślizga się jak zepsute sprzęgło. Uspokój się! – rozkazuje sobie. Masz trzy lata, do cholery! Nie musisz nic.

– A co to tak właściwie jest, ciociu? – pyta dziecięcym głosem. – Te długasy?

Przygląda mu się podejrzliwie.

– Nie jesteś naćpany?

– Nie jestem, ciociu. A co to znaczy *naćpany?*

– Serio niczego nie brałeś?

– Nie, ciociu. To co to są, do diabluszka, te długasy?

– Long-drinki, ty diabluszku – wyjaśnia mu dziewczyna z pełną urazy uprzejmością.

Czy może mieć jej to za złe? Czy on sam nie śmiał się kiedyś (podobnie jak wielu jego rówieśników, mających podobne przeżycia w różnych wariacjach) z biednej babci Wery, która jakieś piętnaście-dwadzieścia lat temu, kiedy nawigacja samochodowa wciąż była imponującą nowinką

techniczną, za każdym razem dziękowała tej miłej pani, radzącej Mojmirowi z głośnika na desce rozdzielczej, gdzie i kiedy ma skręcić?

– To lubisz je czy nie?

Patrzy na niego jak na debila. A przecież to *pisarz*! – myśli zapewne. Kiedyś myślała, że pisarze są normalniejsi niż na przykład rzeźbiarze lub malarze. Szczególnie, jeśli normalnie mają volvo... Gdyby jeździli na przykład na świni – nic by nie powiedziała, ale volvo? Przecież volvo oznacza chyba, że jego właściciel powinien być normalnym, racjonalnie myślącym człowiekiem, któremu zależy przede wszystkim na bezpieczeństwie, designie i tak dalej. Więc co to ma być? Jak wyglądałaby randka z tym dziwakiem Knížákiem. Albo z van Goghiem, który obciął sobie własne ucho? Z kolei Bartošová rzuciła się pod pociąg, a Hrzán podobno pijany wypadł z okna czy coś w tym stylu. Wierzcie mi, dziewczyny, wszystkich artystów trzeba od razu wrzucać do spamu! I kasować z kontaktów! Wiem, o czym mówię. Spałam kiedyś u Gotta, a teraz na weekend niestety byłam też u jednego pisarzyny w Sazawie…

Mojmir wreszcie się otrząsa. Czyli long-drinki… Do dzieła!

– Jasne, że tak. Lubię long-drinki. Latem na plaży człowiek robi nawet gorsze rzeczy, nie?

– Ja nie – oburza się Longdrink-Piercing.

– Oczywiście nie *to* miałem na myśli – tłumaczy.

– A co miałeś na myśli?

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje…

– No że na plaży na przykład się opalamy albo budujemy dzieciom zamki z piasku. Tego typu bzdury…

– To są dla ciebie bzdury? Zabawa z własnorodzonymi dziećmi?

Ależ madame ma wyobraźnię językową – myśli Mojmir. Co za partia! Nikt nie mógłby powiedzieć, że do siebie nie pasujemy!

– A ile masz tak właściwie dzieci? – pyta dziewczyna.

– Jedenaścioro. Mówię na nich Kłapząby. No co, oryginalność dawno przestała istnieć!

Patrzy na niego, jakby właśnie przyleciał z kosmosu.

– Nie, poważnie?

Mojmir bierze głęboki wdech.

– Troje. Same dziewczyny. Wszystko nówki. Z zasady nie kupuję używanych, bo nigdy nie wiadomo, kto nimi jeździł. Kiedy mam jechać czyimś autem, najchętniej całe bym je wydezynfekował.

To już przesadził – myśli. Ta pizda się wkurzy. Czy dostanie od niej przynajmniej po gębie? Może dzięki temu z tej *wszyściutkoszybciutko* zrobiłaby się jeszcze kuchnia dla smakoszy. Nie wytrzymuje i uśmiecha się. Taka strata kontroli nad sobą – co to ma być, na Boga?

– Z czego się śmiejesz?

– Przypomniało mi się, jakie moje córki mają wielkie oczy, kiedy podwyższam im kieszonkowe.

To w ogóle nie było złe! – myśli na pewno Mojmir. Powinienem zająć się polityką. Konferencje prasowe to byłaby dla mnie pestka: z uśmiechem łgałbym tym kretynom z mediów, a oni łykaliby wszystko.

– Otworzyłeś im chociaż konta oszczędnościowe?

– Nie ma opcji. Wszystko wydaję na długasy.

Przez chwilę wygląda na to, że Piercing naprawdę się obrazi i walnie go albo przynajmniej na zawsze odejdzie z życia Mistrza, ale niestety okazuje się, że po niej wszystko spływa... Ku rozczarowaniu Mojmira panna ogranicza się do *obowiązkowego kobiecego zgorszenia* – które jest równie oryginalne jak *obowiązkowe ubezpieczenie*.

– Wciąż mi nie odpowiedziałeś – zwraca pisarzowi uwagę. – Według ciebie budowanie zamków z piasku z własnymi dziećmi to *bzdura?*

Podwójne ostrzeżenie – uświadamia sobie Mojmir. – Po pierwsze Piercing ma niezłą pamięć – niczym prawdziwa *księgowa konwersacji,* a po drugie właśnie przemówiło przez nią Przyszłe Macierzyństwo! W tym miejscu kończy się zabawa (przy założeniu, że jakaś się w ogóle zaczęła).

– Oczywiście, że nie. A wiesz, co lubiłem już jako brzdąc?

Milknie. Czy nie powiedział *Co lubiłem rżnąć?* Chyba nie.

– Łączenie pracy i zabawy, na przykład – dodaje zamyślony. – Osobno są do niczego, ale kiedy dwa składniki wymiesza się idealnie, pół na pół, jest w porzo.

Nagle ma wrażenie, że tym służalczym *w porzo* zdradził wszystkie swoje ideały, a może nawet całe swoje pokolenie. Ile on ma do cholery lat, żeby mówić *w porzo?*

Trzy – odpowiada sam sobie. Mam trzy lata.

– Tyle że na taki koktajl trzeba mieć kasę, bo dobra zabawa kosztuje. Droższa jest już tylko kokaina – uzupełnia swoją myśl.

Dziewczyna wreszcie wybucha śmiechem. Czyli ona jednak żyje – stwierdza w myślach Mojmir. Chyba już zaczynał się bać, że to zombie. Szkoda, że nie wyleciał jej ten piercing. Czy to możliwe, że z takimi dziewczynami chodził kiedyś do łóżka? Że ich *dotykał*? Gołą ręką? I że nawet – Panie Boże – wciskał w nie tego swojego krecika? Jakby to powiedziała ona? Jak oni mówią na pieprzenie? Nie miał pojęcia – ale na pewno nie pieprzenie, bzykanie, walenie, rżnięcie ani kochanie się. Te słowa są już na pewno *totalnie out.* Ich użycie to przypał. Więc jak? Nie wiedział. Nie znał języka plemienia indiańskiego o nazwie *Od piętnastu do trzydziestu pięciu.* Może mówią: *Wczoraj się do niej zalogowałem.* Albo:

Wczoraj mój indianek dodał jej wianuszek do znajomych... Albo: *Wczoraj lajknąłem ją trzy razy i rano jeszcze raz.*

Jak, na Boga, radził sobie z tym wcześniej? – zastanawia się. Przecież nie było to tak strasznie dawno. Nagle ma wrażenie, że całe jego poprzednie życie przeżył za niego sobowtór. Jakiś sobowtór-kurwiarz.

– Kokaina? – śmieje się młoda dama, aż podskakują je te dwie nabrzmiałe wejściówki na siłkę. – Jasne, że jest droga. Ale warta swej ceny, nie? Jeśli porównasz cenę i moc? Weź na przykład, po ile dziś chodzą dwa wjazdy do mulciaka.

W pierwszej chwili Mojmir podejrzewa, że *mulciak* to slangowe oznaczenie napoju multiwitaminowego, ale z kontekstu domyśla się po chwili, że chodzi o multikino.

– Po ile chodzą dwa wjazdy do mulciaka? – pyta z odrobiną obrzydzenia, jakby przymierzał czyjeś przepocone ubranie. – Dwie stówy?

– *Trzy* stówy! Minimalnie!

Nastaje długie milczenie. Mojmir przypomina sobie, jak w młodości bawił się z braćmi w basenie u rodziców: zawsze nabierali powietrza, nurkowali i trzymali się chromowanych schodków – a potem już tylko siedzieli, wywalali oczy i czekali, który z nich się podda. Zatem na podobne sytuacje jest w pewnym sensie przygotowany. I niech go wezmą wszyscy diabli, jeśli to nie ona odezwie się pierwsza.

Piercing długo patrzy przez okno na ogród – a potem rzeczywiście poddaje się i wypływa na powierzchnię.

– Na facebooku piszesz, że oprócz koktajli lubisz jeszcze kosiarki ogrodowe. Lubisz kosić trawę? Mnie też to bardzo uspokaja.

– Ja nie mam facebooka – protestuje Mojmir.

– Oczywiście, że masz, ty zapominalski misiu! Przecież wczoraj oglądałam twój profil!

Najwyraźniej Mojmir jest dość zaskoczony.

– Ale ja sobie żadnego profilu nie zakładałem – mówi. – Nawet nie wiem, jak to się robi.

– No chyba musiałeś założyć, skoro go masz, nie?

Albo założył mi go ktoś inny – myśli Mojmir.

– Masz tam boską fotkę! Powiedzieć ci coś? Przyjechałam tu z powodu tej fotki.

Mojmir nagle z przerażeniem przypomina sobie ten dowcipny kalendarz sprzed piętnastu lat, w którym pozowali nadzy pisarze, a wśród nich nie zabrakło niestety również jego.

– Naprawdę? A co jest na tym zdjęciu? – pyta z wyraźnie słyszalną obawą w głosie.

– Ty tego nie wiesz? – mówi z zaskoczeniem Piercing.

Mojmir wzrusza ramionami.

– Nie. To co tam jest? Jestem nagi?

– Dlaczego miałbyś być nagi, skoro kosisz trawę.

To niemożliwe – myśli Mojmir. Co za świnie. Jak oni to robią? Czy do tego wystarczy photoshop? Pewnie tak.

– Naprawdę *koszę?*

– Nie kosisz, ale stoisz przed nią. Przed kosiarką.

– Jaką kosiarką? – pyta Mojmir po chwili. – Jakiej firmy?

– Nie pamiętam – mówi Piercing. – Ale zupełnie nową! Jeszcze błyszczącą!

– Naturalnie – odpowiada Mojmir. – Żadnemu fotografowi nie pozowałbym z kosiarką całą w trawie. Mam, kurwa, swoją godność, nie?

– Dlaczego ciągle jesteś taki wulgarny?

– Bo życie też jest wobec mnie wulgarne. Bo sprzedawcy kosiarek też są wobec mnie wulgarni. Bo żony też są wobec mnie wulgarne! Dlatego! Odpłacam pięknym za nadobne, jak powiedziałaby jedna moja koleżanka.

Nagle w duchu dziwi się: naprawdę powiedział *koleżanka*? Naprawdę użył tego słowa?

Piercing prześmiewczo kręci głową.

Chyba powinienem być bardziej asertywny – przypomina sobie Mojmir. Przecież niczego nie musi – nawet nikogo poznawać. Widzieliście kiedyś trzyletnie dziecko, które ma randkę zapoznawczą?

– Chyba powinnaś już jechać do domu, ciociu – mówi głosem trzyletniego dziecka.

Piercing przez chwilę patrzy na Mojmira z niedowierzaniem, a potem odwraca się na pięcie, robi kilka szybkich kroków i trzaska za sobą drzwiami.

Wolność to zrozumiana konieczność – przypomina sobie zadowolony Mojmir.

XXX

– I to wszystko. Co pani powie o *tej* swojej siostrze? – pyta mnie Mistrz po zrelacjonowaniu wczorajszej randki. Idzie do kuchni. – Napije się pani długasa? Czy może kawę?

– Poproszę kawę – mówię chłodno.

Gładzę bawełniane podkładki stołowe z IKEA, które kiedyś pomagałam wybrać Hedvice, a w duchu zastanawiam się, jak skomentować opowiastkę Mojmira, żeby znów się z nim nie pokłócić.

– Jestem skłonna przyznać, że ta młoda kobieta nie najlepiej reprezentowała moje siostry – mówię ostrożnie. – Ale ta poprzednia, jak słyszałam, podobno była mądra, a i tak wyrzucił ją pan już po godzinie... Niełatwo będzie panu kogoś wybrać!

Mistrz ewidentnie zastanawia się, czy nie mam w jego domu ukrytej kamery (nie mam, ale nie jestem ślepa ani głucha – i na przekór swej wadze potrafię poruszać się niemal bezszelestnie).

– Była mądra – przyznaje – ale zupełnie nieciekawa. Miała prawie zerowy seksapil. Czy była wystarczająco wyemancypowana, tego jakoś nie zdążyłem ocenić...

Uśmiecha się.

– Lecz jeśli, madame, podejrzewa pani, że po doświadczeniach z Hedviką będę, jak to pani prymitywnie określiła, *wybierać* kobiety przede wszystkim wystarczająco wyemancypowane, to chyba się pani zesrała

w kinie – informuje mnie ten praczłowiek przebrany za prozaika. – Dla mnie emancypacja stała się raz na zawsze słowem wulgarnym!

Jeśli nie chcę stracić życia w tym dużym, wygodnym domu, muszę niestety przecierpieć neandertalską grubiańskość Mistrza – przypominam sobie po raz sto pięćdziesiąty. Hedvika nie przeklina i oczywiście rozumiem się z nią jakieś sto razy lepiej, ale w praskim mieszkaniu nie mam niestety *własnego pokoju* (a własny pokój stanowi dla każdej myślącej kobiety – o czym oczytani ludzie z pewnością wiedzą – alfę i omegę swobody życiowej).

– A słów wulgarnych wystrzega się pan, jak diabeł krzyża, prawda? – nie odpuszczam sobie tej uwagi.

– Lepiej bym tego nie ujął...

– Pche... – reaguję na te głupoty.

Rzuca mi jedno z tych swoich prześmiewczych spojrzeń, ale potem mnie zaskakuje.

– Chociaż... wyjątkowo muszę się z panią zgodzić. Te sprawy nie są wcale kluczowe.

Tego naprawdę się nie spodziewałam.

– Nie? – pytam ironicznie. – A co jest?

Patrzę mu prosto w oczy.

– To, że jestem wybredny. I snobistyczny – mówi całkiem poważnie. – Niech pani spojrzy na moje auta, moje urlopy, wszystkie te pięciogwiazdkowe hotele... Najwyraźniej nie jest w stanie zadowolić mnie kobieta, która ma tylko, mówiąc obrazowo, dwie gwiazdki...

Takich słów się po nim nie spodziewałam. Autorefleksja to zdolność, której Mojmir nigdy nie posiadał. Ale nie daję po sobie poznać zaskoczenia.

– Nigdy nie spał pan w dwugwiazdkowym pokoju?

– Ani razu – przyznaje bez ogródek. – Omijam je, tak samo, jak nigdy nie spałem z kobietą, która...

Milknie. Oboje wiemy, co wisi w powietrzu.

Moja nadwaga.

– Słucham – mówię znów bardzo lodowato. – Która co?

– ...która na przykład ma na bluzce brudne plamy – żenująco improwizuje, ale i tak jestem mu za to wdzięczna.

– Ach tak – wzdycham neutralnie.

Nad czymś się zastanawia.

– Przyznaję – zaczyna niepewnie. – Tak. *Byłem* snobem, nie da się ukryć. Ale już nim nie będę.

– Obiecanki, cacanki – mówię mądrze.

Ale nie chodzi tylko o snobizm Mistrza – każdą nową znajomość z kobietą utrudnia mu bardziej niż kiedykolwiek wcześniej jego starczy konserwatyzm, przez który nie chce poznawać nowych miejsc czy nowych sportów.

– Niech wszystko zostanie tak, jak było, a będę całkowicie zadowolony! – brzmi jego życiowa mantra. Słowo *nowy* jest dla Mistrza synonimem słowa *odpychający.* Każda istotniejsza nowość go przeraża... Konserwatyzm jest dla niego praktycznie tym samym, co insulina dla diabetyka: bez niego nie przeżyje – twierdzi patetycznie. Nie chce kupować nowych aut, nowych telefonów, nowego telewizora – a czasem nawet nowych butów czy spodni. Co jest nie tak z tymi starymi? – pyta zdumionych rozmówców, którzy mają podstawy, by sądzić, że Mistrz definitywnie zwariował.

Zamiast poznawać nowe, Mistrz został ogrodnikiem -amatorem. Nie tylko kosi trawę, ale nawet plewi klomby, krzywo przycina przerośnięte

krzewy i niezdarnie tnie gałęzie drzewek. Jednocześnie sprzeciwia się jakimkolwiek większym zmianom w ogrodzie. Żadnych nowych grządek, drzew, krzewów ani nawet kwiatów nie chce.

– Jest dobrze tak, jak jest – mawia często. – W moim życiu zmiany są już tylko na gorsze – twierdzi.

Dlatego nie chce też poznawać żadnych nowych ludzi.

– Ci, których znam, w zupełności mi wystarczają – oświadcza butnie.

Ponadto od rozstania z Hedviką upiera się, że *na razie definitywnie skończył z kobietami.*

– Piercing-Longdrink mi wystarczyła! – dodaje zazwyczaj.

– Na razie, ale definitywnie? – mówię sarkastycznie. – Czy to nie jest taka trochę dialektyka? A może raczej totalna bzdura?

Mojmir od razu asekuracyjnie dodaje, że *oczywiście nie może wykluczyć*, że *w przyszłości pozna kogoś interesującego* (tym samym *de facto* przyznaje – jeśli przełożę wam jego pisarski żargon – że nawet on czuje się czasem samotny jak kołek w płocie, choć na pewno sam tak by tego nie ujął).

Lecz ponieważ nasz Mistrz jest zbyt wybredny, wciąż pozostaje sam.

– Osiołkowi w żłoby dano, w jeden owies, w drugi siano – ostrzegam go.

XXXI

Jak już, drogie czytelniczki, od dawna wiecie, zawsze byłam przekonana, że małżeństwo Mojmira i Hedviki było jedynie wersją soft pradawnej opowieści o Sinobrodym, który morduje swoje żony, a w końcu sam niemal umiera, po czym przeistacza się w niezdarny, marudny wrak człowieka. W pacjenta VIP. Koniec bajki – myślałam jeszcze niedawno, ale dziś obserwując Mojmira, Feliksa i sąsiada Tomasza, którzy niczym trzej spoceni muszkieterowie walczą szpadlami i siekierami z jakimś na wpół przegniłym pieńkiem (podczas gdy ja w cieniu na tarasie popijam wino rozcieńczone wodą i czytam gazetę, chi chi), nagle muszę w duchu przyznać, że – choć jest to całkowicie niewiarygodne i pod wieloma względami niewybaczalne – zaczynam tę szowinistyczną świnię, którą dopiero choroba potrafiła zmienić na powrót w człowieka, darzyć sympatią.

– Mistrzu, chyba nie znam innego faceta, który przeszedł reinkarnację nie po śmierci, ale jeszcze za życia! – wołam do niego.

Spocony Mojmir obraca się do mnie zaskoczony. W roli dominy mogłabym czuć się całkiem nieźle – myślę.

– Ostrożnie, madame! – krzyczy do mnie. – Czy pani się w ogóle słyszy? Przecież ta inwektywa brzmiała prawie jak pochwała…

Nawet podchodzi do mnie bliżej. Jest spocony, do pasa nagi, ale na szczęście ma na sobie przynajmniej spodnie robocze. Siekierkę już odłożył, więc wciąż się uśmiecham.

– Bo to była pochwała – oświadczam i mnie samą zaskakuje ten miły ton.

Mojmir mruga z niedowierzaniem. Trochę śmierdzi potem.

– Z tą reinkarnacją to oczywiście metafora – dodaję szybko. – Naturalnie nie mam na myśli *prawdziwej* reinkarnacji, czegoś takiego niestety nie jest pan w stanie osiągnąć, ale i tak pańskiej przemiany nie sposób nie dostrzec.

Patrzy mi prosto w oczy.

– Muszę przyznać – mówi ostrożnie – że pani niezwykle przyjazny ton nieco mnie niepokoi.

Miał to być chyba zwykły cyniczny sarkazm, ale w uroczej sprzeczności z tą *pseudocool* uwagą w Mojmirze zaczyna narastać wzruszenie. Cha! Głos drży mu w znany sposób, a oczy wilgotnieją, czego oczywiście się wstydzi, bowiem jak wiadomo, wszyscy mężczyźni wstydzą się swoich prawdziwych uczuć, a Mojmir nie jest wyjątkiem. Dlatego również teraz (tak jak przez wszystkie poprzednie lata) stara się nie okazywać emocji, więc przed moim ironicznym spojrzeniem ucieka do domu za pięć milionów – ale po chwili ku mojemu zdziwieniu powraca i idzie prosto do mnie. W ręce trzyma kopertę z logo, które zakrywa dłonią. Przyglądam mu się podejrzliwie.

Odkasłuje.

– To jest… ehm… dla pani.

Mej uwadze nie umyka, że Feliks i sąsiad Tomasz przyglądają się tej scenie z zainteresowaniem.

– Chyba tradycyjnie pomylił pan datę moich urodzin – mówię, ale przyjmuję kopertę i nawet z należycie sceptyczną miną zaczynam ją otwierać.

– Rzeczywiście, nie pamiętam, kiedy ma pani urodziny – przyznaje Mojmir bezczelnie – ale to nie jest prezent urodzinowy.

Rozdzierany papier dramatycznie szeleści.

– W takim razie co to za okazja? Został pan bez żony i seksu, więc zamierza pan złowić mnie?

– *Złowić*, madame? Czy ja się nie przesłyszałem? – uśmiecha się Mojmir i rzuca spojrzenie obu mężczyznom. – Obawiam się, że nieco przecenia pani dwie rzeczy naraz: moją chcicę i swoją atrakcyjność seksualną.

Feliks i Tomasz idiotycznie rżą, ale ja całkowicie ignoruję inwektywy Mistrza. Orzeł nie łapie much – przypominam sobie.

– Czy pan sądzi, że moje piękne ciało o pełnych kształtach można przywłaszczyć sobie za pomocą tanich prezencików? – uśmiecham się.

– Na Boga, madame, proszę się opanować! – krzyczy Mojmir. – To jest naprawdę niesmaczne. Właśnie zobaczyłem to oczami wyobraźni – wykrzywia twarz i nawet otrząsa się teatralnie.

Słyszę, jak mężczyźni śmieją się głośno.

– Nicpoń!

Oglądam się i karcę wzrokiem tych dwóch prostaków w tle.

– Zamierza pani zajrzeć do tej koperty jeszcze dzisiaj? – pyta już trochę znudzony Mojmir.

Zaglądam więc do środka ostrożnie, bowiem po swoich wieloletnich doświadczeniach z Mistrzem oczywiście spodziewam się jakiegoś ordynarnego dowcipu.

– Dla pani informacji: nie jest to najtańszy prezent, ale proszę nie czuć zakłopotania… Pani wzruszenie nikogo tu nie interesuje! – mówi Mojmir.

– Był dość drogi! – krzyczy z oddali Feliks.

– Kurewsko drogi! – zapewnia mnie jeszcze głośniej Tomasz.

Już widzę dobrze znany prospekt biura podróży oraz ten biały piasek i to turkusowe morze, i mniejszą, ale jednocześnie dość grubą kopertę z logotypem Emirates Airlines. Otwieram szybciej, niż przystoi damie.

– Ale to są *trzy* bilety! – mówię zaskoczona.

– A co w tym dziwnego, madame? – Mojmir udaje skwaszony głos. – Czy pani, kurwa, myśli, że podczas gdy pani będzie się wylegiwać w pięciogwiazdkowym hotelu na Malediwach, ja i mój równie samotny przyjaciel Feliks będziemy tu pielić grządki?

Mistrz jak zawsze próbuje ukryć swoje uczucia pod osłoną głupich żarcików, ale nikt się na to nie nabiera.

Nawet on sam.

Obserwujemy się nawzajem. Inaczej niż kiedykolwiek wcześniej.

– A pan Tomasz z nami nie leci? – wolę zapytać ironicznie.

– Bardzo mi przykro, ale nie leci – przepraszającym tonem Mojmir informuje sąsiada, a potem obraca się do mnie. – Mój wyborny przyjaciel Tomasz ma czteroosobową rodzinę, co oznaczałoby koszty dużo większe niż moje obecne możliwości finansowe.

– Sknera – mówi kwaśno Tomasz.

– A pańskie córki? – pytam.

– Moje wszystkie cudowne córki już tam były, a jeśli Bóg pozwoli, zabiorę je tam jeszcze kiedyś – odpowiada spokojnie Mistrz.

– Ten sam Bóg, którego jeszcze niedawno pan przeklinał – nie odpuszczam sobie.

– Tak, ten sam – mówi Mojmir poważnie.

Patrzę mu prosto w oczy. Dopiero po chwili mój wzrok ześlizguje się na jego spodnie ogrodowe. Oczywiście to zauważa – i nagle również on widzi

swój nietypowy strój innymi oczami.

Zdziwiony patrzy najpierw na mnie (niestety dokładnie w tej samej chwili wydaję z siebie pierwszy płacz wzruszenia), a potem znów na swoje spodnie – i nareszcie pojmuje również on.

Zmienił się w *ekomęża.*

Jego reinkarnacja zakończyła się sukcesem.

EPILOG

Musi natychmiast coś zrobić – najwyraźniej uświadamia sobie przerażony Mojmir. Nie może przyglądać się tej wstydliwej, poniżającej przemianie bezczynnie. Gorączkowo myśli – i nagle już wie.

Napisze o tym książkę.

Powieść humorystyczną – myśli.

Napisz dobrze, co zrobiłeś źle, a dostaniesz rozgrzeszenie!

Uśmiecha się z zadowoleniem – jak zawsze, kiedy do głowy przychodzi mu choć odrobinę nośny pomysł. Biedak zapomniał chyba, że go uprzedziłam. À propos: mężczyźni lubią wierzyć w to, że są pierwsi – chociaż w rzeczywistości zawsze są drudzy.

– No – mówi Mojmir z zadowoleniem – zrobione.

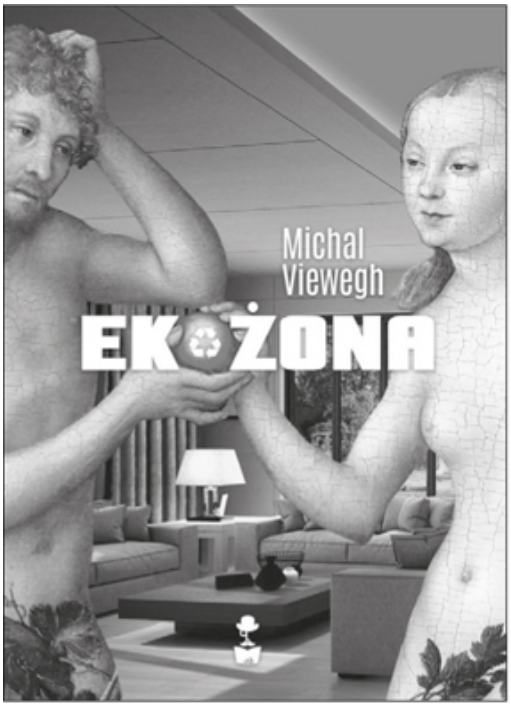

Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

Poruszane przez autora poważne tematy zostały ubrane w brawurową narrację. Szczerość, autoironia i humor sprawiają, że mamy do czynienia z powieścią niezwykle inteligentną i nowoczesną.

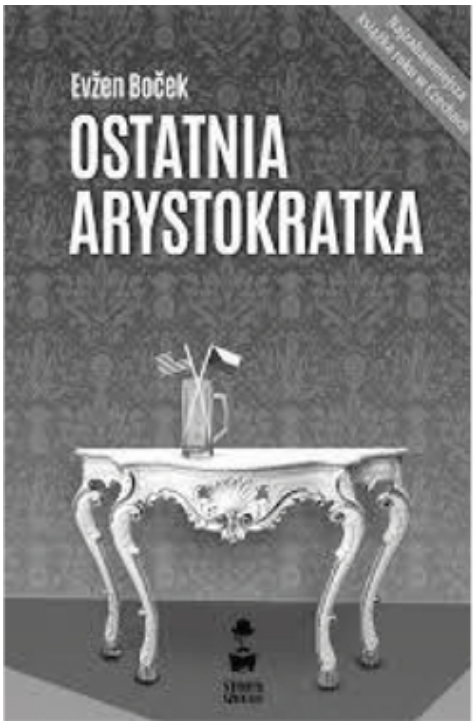

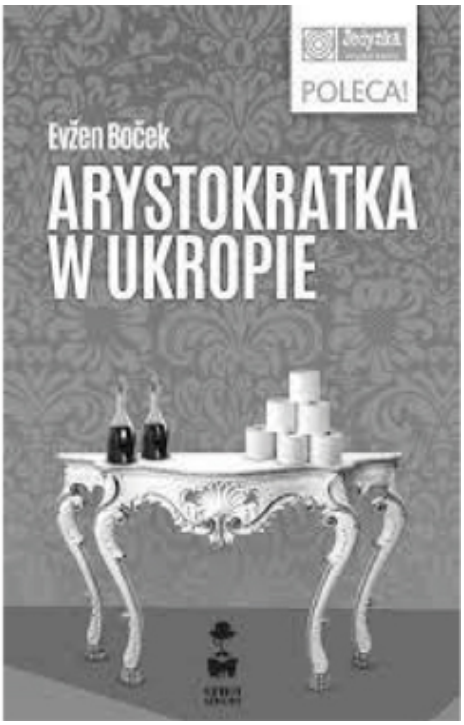

NAJLEPIEJ SPRZEDAJĄCA SIĘ CZESKA KSIĄŻKA 2015 ROKU!

Pamiętnik surrealistyczny. Gwarancja czeskiego humoru.
Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?

UWAGA: CZYTANIE W MIEJSCACH PUBLICZNYCH NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka dość zagadkowy personel oraz… demony przeszłości.

Tajemnicze odgłosy i niewyjaśnione zdarzenia przejmują władzę nad Wiktorem i jego rodziną. Czy mają swoje wytłumaczenie? Czy racjonalny umysł Wiktora rozwikła tajemnicę zamku?

Pamiętajcie: niczemu się tutaj nie dziwcie!

MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?

Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)

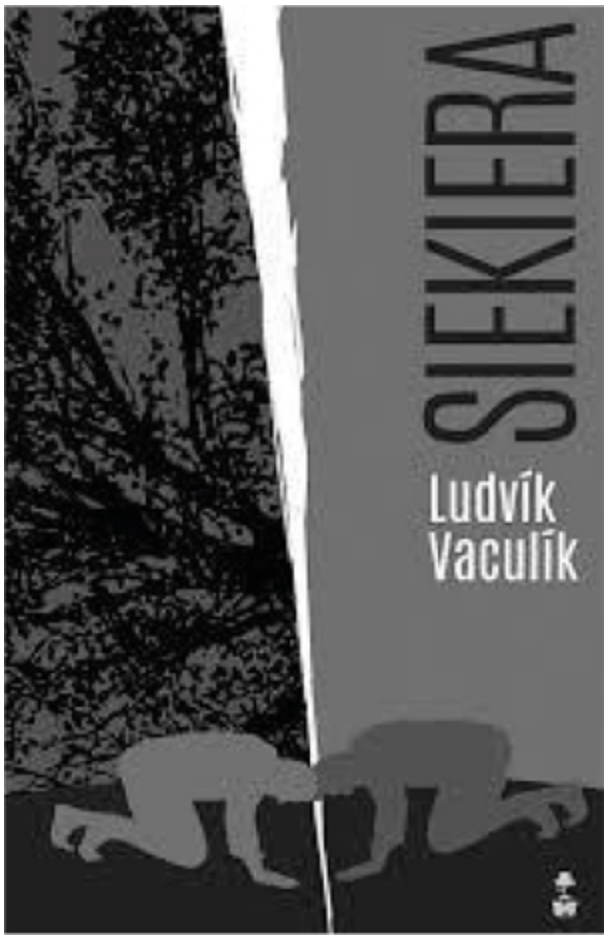

Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.

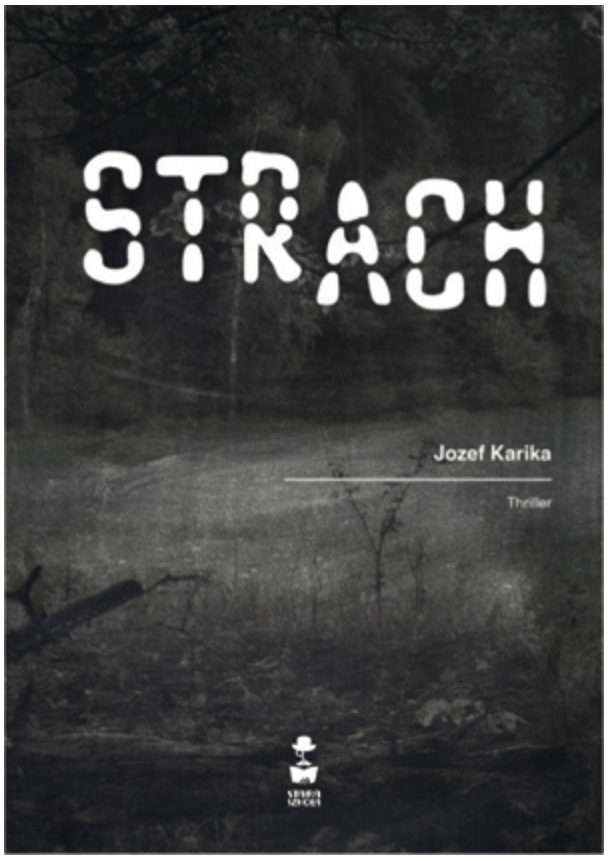

Mistyczny thriller przesiąknięty strachem.

Po rozpadzie kilkuletniego związku Jożo Karski powraca do rodzinnego Rużomberka. Tam czeka na niego puste mieszkanie rodziców, najmroźniejsza od kilku dziesięcioleci zima i podnóże góry skrywające mroczną tajemnicę.
Wkrótce w sąsiedztwie zaczynają znikać dzieci.

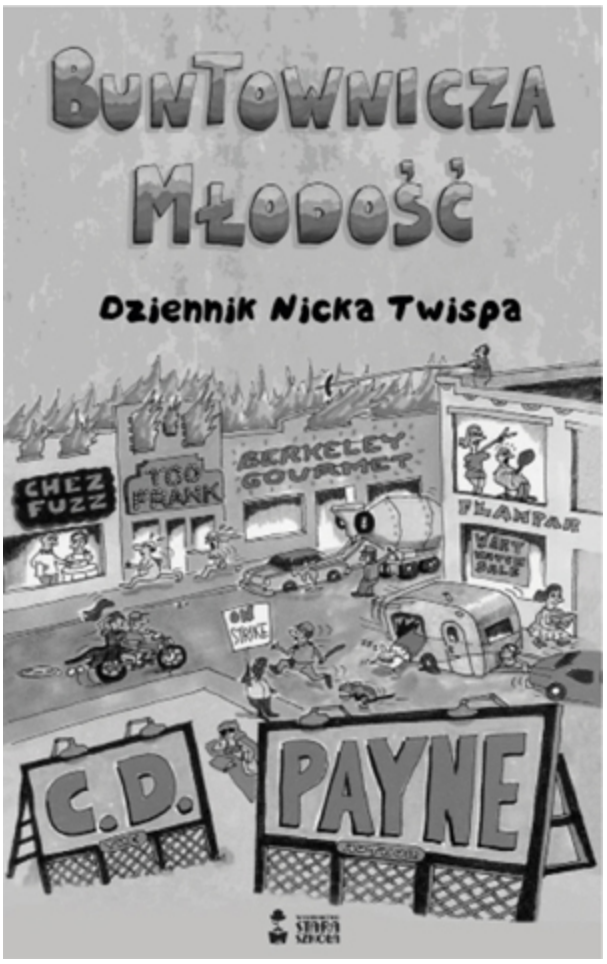

Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.

Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces.

To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłaganie się zatrzyma?

Puchar od Pana Boga to zbiór tekstów, w których sport stanowi pretekst do opowieści o sprawach najważniejszych: życiu i śmierci, miłości, przyjaźni i pasji. Ota Pavel mówi o zwycięstwach i porażkach równie pięknie, jak o sarnach i rybach.

Lektura dla czytelników w każdym wieku i wspaniała lekcja życia.

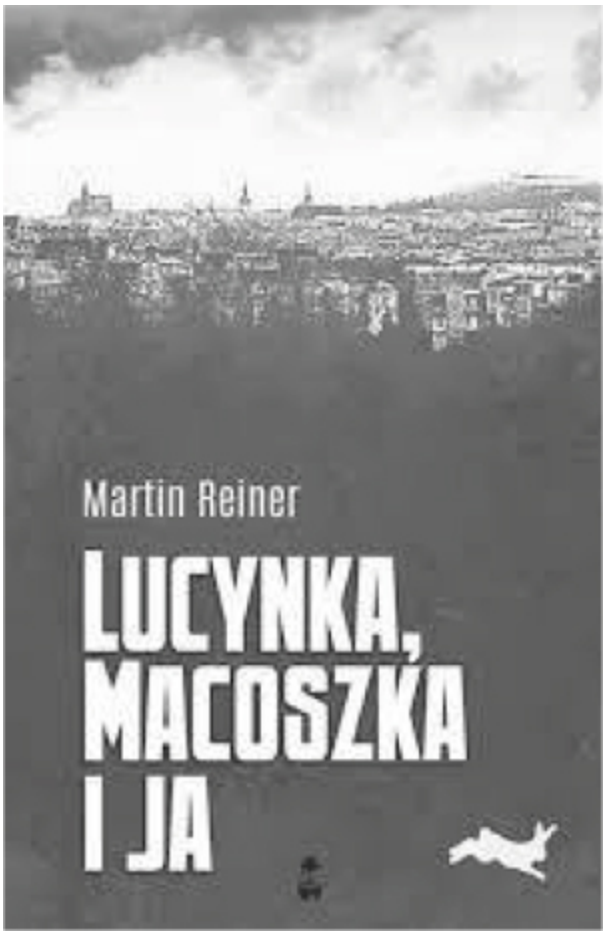

Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)

Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.
Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Tytuł oryginału: *Biomanžel*

Copyright © Michal Viewegh, 2015
Copyright © Druhé město, 2015
Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2017
All rights reserved

Książka została przełożona dzięki wsparciu finansowemu
Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej

Tłumaczenie: Mirosław Śmigielski
Korekta: Dagmara Ślęk-Paw
Projekt okładki: Jakub Šolín
Projekt typograficzny: Dagmara Ślęk-Paw

Wydawca:
Stara Szkoła Sp. z o.o.
Rudno 16, 56-100 Wołów
biuro@stara-szkola.com
www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-948856-7-0

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek